

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Cenckiewicz zlustruje Tuska?
- Po co studiować w Kielcach
- Raperka pomaga w coming outcie • Houellebecq ratuje białych mężczyzn



WYSOKIE OBCASY
Gwałt w taksówce
Kto pomoże, co robić
Dobry lekarz
z internetu



GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

Młodzi
**Nie chcą PiS,
ale kogo chcą?**

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**I ty zostaniesz
komunistą**
Senator McCarthy,
nauczyciel lustratorów



**Prawdziwy
generał**
chodzi
pieszo

**Elity za bardzo
podskakują**
Co zawdzięczamy
„Przekrojowi”

**Wcześniej
czy później**
liberałowie
wygrywają

Lesya
Vakulyuk

Zapraszam Grete Thunberg do Ukrainy

W ostatnim sezonie serialu „Ted Lasso” właścicielka klubu piłkarskiego odmawia podróży prywatnym samolotem na mecz w Holandii. Woli jechać autokarem razem z piłkarzami. „Tak będzie lepiej dla środowiska”.

Od półtora roku nad Ukrainą nie latają cywilne samoloty. Można powiedzieć, że w pewnym stopniu Ukraińcy wykonali swoją część pracy na rzecz ochrony środowiska. Z drugiej strony codziennie na ukraińskim niebie setki wrogich maszyn wojkowych powodują większe szkody w przyrodzie niż cała cywilna flota przed inwazją. Do tego trzeba dodać tysiące czołgów i wozów bojowych. Ministerstwo ochrony środowiska ocenia wzrost emisji do atmosfery prosto: cały ten sprzęt o masie 50 tysięcy ton codziennie włącza silniki.

Z każdym rosyjskim pociskiem ukraińska ziemia doświadcza ekologicznej przemocy. Wysadzenie tamy przy Kachowskiej

Elektrowni Wodnej to tylko najbardziej spektakularne świadectwo ekocydu, jaki organizuje Rosja w Ukrainie.

Rzecz jasna, kiedy woda sięga sufitu, meble i łódki pływają po pokojach jak zabawki w dziecięcej wanience, a ludzi z domów-akwariów ratuje się przez okna – nie

myśli się o skutkach dla środowiska. Myśli się o tym samym, co w momentach zmasowanego ataku rakietowego: aby tylko przeżyć.

Ale według danych Państwowego Inspektoratu Środowiska na początku 2023 roku powstałe w wyniku wojny szkody środowiskowe wyniosły 48 miliardów dolarów. Trudno ocenić, ile do tej sumy trzeba będzie dodać po zniszczeniu tamy. Eksperti twierdzą, że rolnictwa w obwodzie chersońskim być może nigdy nie da się odbudować, a klimat w regionie zmieni się na zawsze.

Splonęła jedna trzecia ukraińskich lasów (a to dane z końca 2022 roku). Ogarnięte wojną terytoria są usiane ciałami żołnierzy. Są usiane szczątkami zwierząt domowych. Na fermach drobiu masowo giną ptaki. W porzuconych oborach umierające z głodu krowy obgryzają sobie nawzajem ogony. Wszystko to gnije, zmieniając ziemię w niezdatną do zamieszkania i zanieczyszczając powietrze. W Morzu Czarnym zginęło 50 tysięcy delfinów. To jedna piąta populacji.

Jakże przydałby się potężny chór aktywistów ekologicznych z całego świata! Albo chociaż głos ich solistki – Grety Thunberg. Ironizuję tylko trochę – jej głos jest ważny, dociera również do tych ludzi dobrej woli, którzy wciąż naiwnie uważają, że „obie strony są winne” albo „jedni i drudzy powinni ustąpić”.

Droga ze Sztokholmu do zatopionego Chersonia jest daleka, ale jeśli w końcu przybył do nas osobisty wysłannik papieża Franciszka, to może i Greta? ●

Z języka ukraińskiego przeł. Jacek Świąder

• Lesya Vakulyuk – dziennikarka telewizyj Espresso.tv, felietonistka „Wysokich Obcasów”

Andrzej rysuje



Francja

Zaraz nadpłyną wyzwoliciele



FOT. THOMAS PADILLIA/AP

6 czerwca, Saint-Laurent-sur-Mer, zbiórka na plaży Omaha przed rekonstrukcją słynnego desantu w rocznicę – już 79. – lądowania w Normandii. Krwawy dziesięciogodzinny szturm na silnie umocniony odcinek wybrzeża stał się jednocześnie symbolem całej operacji „Overlord” i bohaterstwa amerykańskich żołnierzy.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata czytaj teraz na

wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU i bądź na bieżąco przez cały weekend *

CLW6238

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumery w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 10.06.2023 r. do 11.06.2023 r.

Cytat tygodnia

Kościół robi wszystko, co tylko możliwe, żeby uchronić życie dzieci



KARDYNAŁ ZUPPI
podczas wizyty w Ukrainie. Zaufany dyplomata papieża Franciszka rozmawiał z prezydentem Zełenskim i modlił się w Buczy

Zlatan Ibrahimović Niekoronowany król Szwecji

Jesienią skończy 42 lata i uznał, że „pora powiedzieć „pas”.

Potomek emigrantów z Bośni zaczął w Malmö FF, by niemal od razu przeskoczyć do Ajaxu. Potem był już sam top: Juventus, Inter Mediolan, FC Barcelona, Paris Saint-Germain, AC Milan, Manchester United, Los Angeles Galaxy.

Choć nigdy nie triumfował w Lidze Mistrzów, zdobywał mistrzostwa Holandii, Hiszpanii, Francji i Włoch – z Milanem, aż dwukrotnie. Przy drugim był już po czterdziestce, ale i tak strzelił osiem goli w Serie A. Dzięki sile, doświadczeniu, pewności siebie i bajecznej technice nie musiał biegać po boisku tyle, ile inni.

Ze swoimi klubami wywalczył 33 trofea – tyle co Xavi, Cristiano Ronaldo, Karim Benzema i Thomas Mueller. Łącznie kwota jego transferów to aż 170 mln euro.

W barwach narodowych grał na mundialach w Korei i Japonii (2002) oraz w Niemczech (2006).

W 122 spotkaniach (przedostatnie przeciw Polsce w barażach o mundial w Katarze) zdobył 62 bramki.

Rozczarowanie spotkało go w Barcelonie. Trener Pep Guardiola powta-



FOT. ANTONIO CALANCA/AP

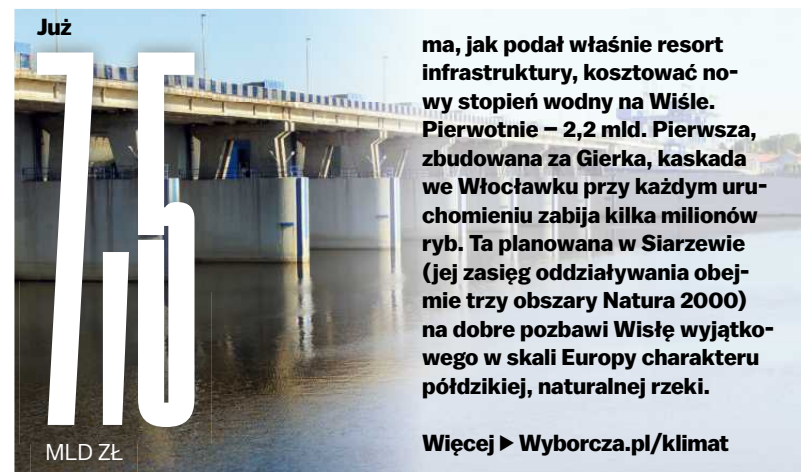
rzał, że Ibrahimović będzie mógł zagrać tyle słabych meczów, ile zechce, ale kredyt zaufania wyczerpał się po jednym sezonie. „Wyrzucił mnie ten filozof” – powtarzał zdumiony Zlatan.

Był jedną z najbardziej niebanalnych postaci w piłce. Mówiąc o sobie, używał trzeciej osoby liczby pojedynczej. Na początku kariery zasłynął z bójek z kolegami z zespołu. W 2003 r. imię Zlatan zostało zarejestrowane w Szwedzkim Urzędzie Patentowym, a w macierzystym Malmö postawiono mu pomnik (lokalni kibice zniszczyli go, gdy dowiedzieli się, że ich idol zainwestował w sztokholmski klub Hammarby IF).

Mówił o sobie jak o bogu, ale było w tym tyle samo pychy, co autoironii. ●

Dariusz Wołowski

Rząd wycenił śmierć Wisły



Już 7,5 mld zł
ma, jak podał właśnie resort infrastruktury, kosztować nowy stopień wodny na Wiśle. Pierwotnie – 2,2 mld. Pierwsza, zbudowana za Gierka, kaskada we Włocławku przy każdym uruchomieniu zabija kilka milionów ryb. Ta planowana w Siarzewie (jej zasięg oddziaływania obejmuje trzy obszary Natura 2000) na dobre pozbawi Wisłę wyjątkowego w skali Europy charakteru półdzikiej, naturalnej rzeki.

Więcej ► Wyborcza.pl/klimat



KOLOR DOSKONAŁOŚCI

Oto nasza zielona pieczęć. Od 2015 roku symbolizuje ona naszą zegarmistrzowską doskonałość i choć pozornie nie różni się od innych oficjalnych pieczęci, jej inskrypcja i kolor czynią ją wyjątkową. Unikalny zielony odcień reprezentuje najwyższe standardy jakości i wydajności, którym poddajemy każdy pojedynczy element wszystkich naszych czasomierzy: precyzję, wodoodporność, autonomię czasu pracy, niezawodność i trwałość. Ta nieskomplikowana

pieczęć jest bowiem świadectwem niesamowitej podróży, jaką każdy zegarek odbył w naszych warsztatach i laboratoriach – od wstępnego szkicu po ostateczne testy przed opuszczeniem placówki Rolex. Ze wszystkich elementów, które składają się na nasze zegarki, ta pieczęć, choć nie najtrudniejsza do wykonania, jest naszą ekskluzywną własnością i jej wartość jest nieoceniona. Ponieważ symbolizuje nasze nieustanne dążenie do perfekcji.

#Perpetual

W. KRUK
1 8 4 0


ROLEX

Pokolenie X, Y, Z idzie na wybory

MŁODA
POLSKAKiedy Kaczyński z Tuskiem ustąpią, polityka stanie się młodsza,
ale czy lepsza?

JAKUB MAJMUREK

Jak dotąd serialowym wydarzeniem tego roku był ostatni sezon „Sukcesji” – produkcji przedstawiającej walkę trojga dzieci medialnego magnata Logana Roya o kontrolę nad zbudowanym przez ojca imperium. Senior rodu, choć wkracza w dziewiątą dekadę życia, a na początku serialu składa go wylew, nie zamierza oddawać władzy. Przez ponad trzy sezony opiera się kolejnym próbom zamachu stanu w swojej korporacji, wielokrotnie ogrywa własne dzieci, które, jakkolwiek byłyby skłócone z ojcem, nie potrafią się wyzwolić spod jego wpływu.

W Polsce trudno było oglądać zmagania Royów bez skojarzeń z naszą polityką. Polska polityka ostatnich lat jest bowiem historią wstrzymanej sukcesji. Najlepiej pokazuje to fakt, że jesienne wybory zmieniają się najpewniej w pojedynek między Jarosławem Kaczyńskim a Donaldem Tuskiem – politykami, którzy rolę liderów partyjnych zaczęli odgrywać już na początku lat 90., gdy na świecie nie było jeszcze młodszej części pokolenia dzisiejszych 30-latków.

Powstanie nowego, zastępującego postkomunistyczny, podziału w polskiej polityce w 2005 roku – na PiS i PO – sprofesjonalizowało naszą politykę, zwłaszcza po prawej stronie, która do 2001 roku składała się z półamatorskich, wiecznie skłóconych partii. Profesjonalizacji towarzyszyła personalizacja, skupienie politycznego sporu wokół dwóch postaci: Tuska i Kaczyńskiego. Inne partie i ich liderzy zostali zepchnięci na drugi polityczny plan.

Przy wszystkich ich niewątpliwych talentach ani jeden, ani drugi nie potrafili jednego: skutecznie przekazać władzy w partii następnemu pokoleniu. Choć podział PiS-PO zbliża się pomalą do swoich dwudziestych urodzin, zarówno Kaczyński, jak i Tusk ciągle wydają się niezbędni swoim partiom.

Podwójna klęska Platformy i jej kandydata na prezydenta Bronisława Komorowskiego w 2015 roku miała wiele przyczyn – w tym takie podjęte przez Tuska decyzje, jak podwyższenie wieku emerytalnego – ale istotną rolę odegrało w niej to, że lider partii objął stanowisko w Brukseli, a wyznaczona następczyni Ewa Kopacz znacznie słabiej radziła sobie z kierowaniem partią.

Bez Tuska u steru Platforma nie tylko nie była w stanie pokonać PiS, ale też musiała walczyć o rolę lidera opozycji najpierw z Nowoczesną, a potem z Polską 2050 Szymona Hołowni. Ani Grzegorz Schetyna – młodszy od Tuska o sześć lat, ani Borys Budka – polityk urodzony pod koniec lat 70. – nie byli w stanie skutecznie odnowić wizerunku partii, zmienić ją w siłę zdolną odebrać władzę PiS. Biorąc pod uwagę wyjątkowe szczęście, jakie PiS miał ze świetną koniunkturą w pierwszej kadencji, być może od początku było to zadanie niemożliwe do wykonania, niemniej jednak dopiero po powrocie Tuska Platforma staje przed realną szansą odsunięcia PiS od władzy.

Kaczyński jako prezes PiS przetrwał wszystkie bunt i secesje w partii. Odejście z PiS koronowanego przez media na nieformalnego delfina i naturalnego następcę Zbigniewa Ziobry zakończyło się sromotną klęską jego partii, Solidarnej Polski, w wyborach europejskich w 2014 roku i pokutną pielgrzymką Ziobry do nowogrodzkiej Canossy.

Prezes PiS postawił co prawda na czele rządu znacznie młodszych od siebie polityków – Beatę Szydło i Mateusza Morawieckiego – a zorganizowana przez PiS kampania wygrała prezydenturę dla urodzonego na początku lat 70. Andrzeja Dudy. Nikt nie ma jednak wątpliwości, że Szydło i Morawiecki nigdy realnie nie kierowali swoimi gabinetami, a strategiczne decyzje podejmował ktoś inny. Także Duda, mimo siły mandatu, jaki uzyskał, dwukrotnie wygrywając bezpośrednie wybory prezydenckie, dopiero z czasem zaczął bardzo nieśmiało się usamodzielniać.

Morawiecki, Duda, Ziobro, Szydło, Błaszczak – wszyscy notabie PiS znajdują się dziś wobec prezesa PiS w relacji przypominającej relację dorosłych dzieci do wszechwładnego ojca-patriarchy. Kaczyński jako nadpremier i „superprezes” przypomina XIX-wiecznego tytana przemysłu, przydzielającego dzieciom różne zadania w zbudowanym przez siebie gospodarczym imperium, ale dającego też nieustannie do zrozumienia, że cała władza, jaką się w nim cieszą, zależy od jego aprobaty. Wszyscy znoszą zmiany łaski i nienaszy patriotyzmu w pokorze, licząc, że jeden z nich kiedyś przejmie po nim schedę. Lata jednak mijają, a żadna sukcesja nie następuje.

Wszystko to sprawia, że w polskiej polityce nastąpiło wręcz absurdalne przedłużenie okresu, w którym politycy mogą ciągle uchodzić za młodych. Można nawet złośliwie powiedzieć, że nie ma lepszego sposobu, by wydłużyć sobie społecznie postrzeganą młodość, niż zostając zawodowym polskim politykiem. Jako młodzi politycy traktowani są dziś 50-latkowie: Trzaskowski, Morawiecki, Duda, Ziobro.

Choć już jakiś czas temu weszli w wiek średni, ciągle czekają na swój moment, by móc przejąć przywództwo we własnym obozie i w państwie, wyjąc w końcu z poczekalni na pierwszy polityczny plan.

Nie zawsze pojęcie młodości było aż tak bardzo przesunięte ku wiekowi średniemu. Wałęsa nie miał 40 lat, gdy został przywódcą „Solidarności” i symbolem demokratycznej opozycji wobec PRL, nie miał 50, gdy objął urząd prezydenta, który – inaczej niż dziś – był jednym z kluczowych węzłów władzy w formacyjnych latach III RP. W drodze do prezydentury kluczowym sojusznikiem Wałęsy jest młodszy o sześć lat Kaczyński, który nawet po kłótni z prezydentem jako lider PC staje się jednym z kluczowych graczy Sejmu I kadencji – choć w wyborach w 1993 ro-



ku na własne życzenie spada na lata do politycznej trzeciej ligi.

Czterdziestolatkami na początku lat 90. są osoby kluczowe dla gospodarczej transformacji: Leszek Balcerowicz i Janusz Lewandowski. Kwaśniewski nie ma 40 lat, gdy prowadzi w 1993 roku SLD do pierwszego zwycięstwa, a następnie staje na czele komisji konstytucyjnej, przygotowującej do dziś obowiązującą – przynajmniej w teorii – ustawę zasadniczą. Gdy Kwaśniewski kończył drugą kadencję jako prezydent, miał 51 lat. Mniej niż dziś Ziobro, tyle samo co Trzaskowski.

Nawet biorąc pod uwagę poprawkę na rewolucyjny charakter lat 90., coś się zablokowało w mechanizmie pokoleniowej sukcesji w dwóch głównych blokach politycznych. Owszem, są partie, w których ten mechanizm działa – jak kierowane przez urodzonego na początku lat 80. Władysława Kosiniaka-Kamysza PSL – są formacje całkowicie zdominowane przez pokolenie 40-latków z wyżu demograficznego z przełomu lat 70. i 80. i młodsze: jak Konfederacja, Partia Razem czy w mniejszym stopniu Suwerenna Polska. Żadna nie ma jednak szans, by odegrać kluczową rolę w najbliższym politycznym rozdaniu.

Pokoleniowość nie jest oczywiście jedynym czynnikiem różnicującym społeczeństwo i wybory, jakich ono dokonuje. W Stanach w prawyborach w 2016 roku młode pokolenie lewicy Partii Demokratycznej znalazło przedstawiciela w wiekowym senatorze Bernie Sandersie. Równie ważne, jeśli nie ważniejsze, co różnice pokoleniowe są te klasowe, regionalne, światopoglądowe. Niemniej jednak w wielu współczesnych demokracjach różnice polityczne coraz bardziej determinowane są właśnie pokoleniowo.

W wyborach w Wielkiej Brytanii w 2019 roku wiek był kluczowym czynnikiem określającym prawdopodobieństwo głosowania na Partię Pracy lub Partię Konserwatywną. Laburzyści według exit poll wygrali wśród wyborców między 18. a 39. ro-

ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI



kiem życia, w grupie 18-29 lat zdobyli ponad 50 proc. głosów. Im starszy elektorat, tym bardziej glosował na torysów – w grupie 70+ poparcie dla konserwatystów wyniosło aż 67 proc. W grupie 18-24 lata trzykrotnie mniej – 21 proc. Wiek był też silnie różnicującym czynnikiem w głosowaniu nad wyjściem Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej – im starsza grupa wyborców, tym więcej głosów za brexitem. W grupie 18-44 lata przeważały głosy za pozostaniem w Unii. Najwięcej zwolenników wyjścia z niej było wśród wyborców 65+.

W ostatnich wyborach prezydenckich we Francji młodszy wyborcy – grupa 18-34 lata – w pierwszej turze oddali najwięcej głosów na lewicowo-populistycznego Jeana-Luca Mélenchona. Drugie miejsce w tej grupie zajęła radykalnie prawicowa Marine Le Pen, która wygrała w następnej grupie wiekowej – 35-59 lat. Macron, najmłodszy prezydent w historii V Republiki, wygrał pierwszą turę dzięki głosom najstarszego elektoratu.

Podobne podziały widzimy też w Polsce. PiS nie bez racji postrzegany jest jako partia generacyjnie stara. Mimo wszystkich młodych polityków, którzy w ostatnich latach zrobili kariery jako ministrowie, posłowie, rzecznicy prasowi, sztabowcy, realna władza spoczywa w partii w rękach polityka wkraczającego pomalutka w środkową część ósmej dekady swojego życia,

Młodszy wyborcy mogą słabiej odnajdować się w polaryzacji PO-PiS, ale też są silnie spolaryzowani. Dwie najmłodsze generacyjnie formacje – Konfederacja i Razem - to dwa krańce politycznego spektrum

a najważniejszy blok jej poparcia stanowią dziś seniorzy. Znajduje to zresztą odzwierciedlenie w szeregu jej polityk – od zmian w kodeksie wyborczym skupionym na ułatwieniu oddania głosu starszym mieszkańcom obszarów wiejskich po kolejne dodatkowe emerytury. Z kolei wszystkie próby dotarcia PiS do młodych kończyły się albo zupełną klęską, jak „piątka dla zwierząt”, albo nie przyniosły żadnych wymiernych wyborczych efektów, jak zerowy PIT dla młodych.

Jakiegokolwiek szanse na walkę o młodszy elektorat PiS zablokował idący na jego polityczne konto wyrok Trybunału Konstytucyjnego z jesieni 2020 roku praktycznie zakazujący w Polsce aborcji.

Wielkie protesty, jakie mu towarzyszyły, ujawniły pierwszą fundamentalną pokoleniową przepaść w polskim społeczeństwie: związaną nie tylko ze stosunkiem do dopuszczalności przerywania ciąży, ale także relacji państwa i Kościoła. Bo dopuszczalność przerywania ciąży, podobnie jak wiele innych rozstrzygnięć bioetycznych, jest pochodną przyjętych przez elity polityczne i prawnicze lat 90. z całego politycznego spektrum założeń na temat „przyjawnego” rozdziału Kościoła i państwa.

Te założenia nie są już dłuższe do przyjęcia dla 40-latków i młodszych pokoleń. Od lat 90. społeczeństwo radykalnie się zsekularyzowało, zwłaszcza jego młodsza część. Badania pokazują, że Polska jest społeczeństwem o największej luce religijności między młodszymi i starszymi. Nawet młody elektorat skrajnej prawicy jest elektoratem dość świeckim, jak wynika z badań, bardziej liberalnym w wielu kwestiach światopoglądowych niż ultrakonserwatywni, by nie powiedzieć: reakcyjni, liderzy tej formacji. Prędzej czy później będą musieli przynajmniej nauczyć się sprzedawać swój program w języku wolnym od uzasadnień odwołujących się do religii.

Ta postawa młodszych pokoleń, zmiany cywilizacyjne, które się z nią wiążą (dotyczące praw kobiet, definicji małżeństwa, praw i widoczności osób LGBT+) budzą lęk bardziej konserwatywnej, często też starszej części społeczeństwa, który bezwzględnie instrumentalizuje PiS. Młodsze pokolenia nie mają więc w tych kwestiach czego szukać u rządzącej partii.

Tusk rozumie procesy sekularyzacji i liberalizacji i dostrzega je również wśród kiedyś raczej konserwatywnego elektoratu Platformy, obiecał więc po wyborach liberalizację ustawy aborcyjnej – wykraczając poza „kompromis” z lat 90. – czy związki partnerskie. Nowy rozdział Kościoła i państwa może więc teoretycznie dokonać się bez pokoleniowej zmiany na czele PO.

Jeśli jednak się nie dokona, to dalsze trwanie ustaleń z lat 90. będzie umacniać w młodszych pokoleniach poczucie, że polityka i politycy nie liczą się z ich głosem, wrażliwością, że ciągle tkwią w ramach założeń aksjologicznych będących zwyczajnie niezrozumiałymi dla coraz szerszych grup, które same do niczego nie potrzebują Kościoła i jego nauki.

Druga kwestia najczęściej przedstawiana ostatnio w mediach jako konflikt pokoleniowy dotyczy stosunku do pracy i opiekuńczych funkcji państwa. Nie ma tygodnia bez krytycznego artykułu o przedstawicielach pokolenia Z – trochę starsi milenialsi coraz rzadziej są przedmiotem tych narzekań – którzy nie potrafią pracować, są roszczeniowi, domagają się od pracodawców nie wiadomo czego, samemu dając z siebie minimum. Narzekaniom tym towarzyszą na ogół wspomnienia heroicznych początków budowania polskiego kapitalizmu w latach 90., pracy po kilkanaście godzin na dobę siedem dni w tygodniu, zaciskania pasa, odkładania gratyfikacji, dawania z siebie 150 procent.

Jako milenialsi, i to ze starszej części tego pokolenia, sytuuję się pokoleniowo pomiędzy dwiema stronami tej dyskusji. W heroicznym okresie transformacji byłem uczniem podstawówki i liceum. Rynek pracy przybrał kształt przyjmowany jako oczywisty przez pokolenie Z – ze względną stabilnością, minimalną stawką godzinową, rynkiem bardziej przyjaznym pracownikowi, pewną świadomością takich kwestii jak mobbing czy molestowanie seksualne – dopiero w okresie, gdy pomalutka zacząłem wkraczać w wiek średni. Pokolenie urodzone na początku lat 80., po walce o miejsca w wymarzonych liceach i na upragnionych kierunkach studiów (gdzie na jedno miejsce uprawniające do bezpłatnych studiów przypadało siedmiu-dziesięciu kandydatów), trafiło na rynek pracy z dwucyfrowym bezrobociem, często oferujący umowy śmieciowe, kiepskie płace, zajęcia dające małe szanse rozwoju. Często jedyną szansą nawet nie na rozwój i wymarzoną pracę, ale na elementarne stanięcie finansowo na nogi była migracja.

Nie miałem wtedy poczucia, że politycy dostrzegają ten problem. Dominowało raczej przekonanie, że klasa polityczna wykonała swoje zadanie, doprowadziła kraj do Unii Europejskiej, młodzi powinni korzystać z niezwykle dużych szans, jakie dostali, i być wdzięczni.

Fakt, że moje pokolenie miało cięższej, nie zmienia jednak tego, że bliżej mi do stanowiska zeteka. Cały wysiłek transformacyjny podejmowaliśmy jako społeczeństwo także po to, by zbudować w Polsce rynek pracy dający możliwie dużej liczbie pracowników szanse na pracę w godnych warunkach, z możliwościami rozwoju, pozwalającą – przy wsparciu do-

brych polityk państwa, np. na rynku mieszkaniowym – na życie bez liczenia każdego grosza między jedną wypłatą a drugą.

Mam wrażenie, że bez zmiany pokoleniowej trudno będzie o rozumiejącą to władzę. PiS potrafi być hojny przy uruchamianiu społecznych transferów, ale nie potrafi budować kultury sprzyjającej systematycznej poprawie rynku pracy, usług publicznych i standardu życia. Państwo pod władzą Kaczyńskiego potrafi być zresztą fatalnym pracodawcą, zwłaszcza gdy jakaś grupa – jak nauczyciele – postrzegana jest jako politycznie wroga Zjednoczonej Prawicy.

Tusk mówiący „mieszkanie prawem, nie towarem” zauważył potrzebę socjalnej korekty polskiego liberalizmu, ale nawet jeśli przyjmiemy, że lider PO faktycznie wyciągnął wnioski z dwóch ostatnich zwycięstw PiS, to czy zrobiło to w pełni jego pokolenie liberalów?

Jednocześnie sama zmiana pokoleniowa wśród politycznych liderów wcale nie musi przynieść politycznych rozstrzygnięć, jakich życzyłaby sobie młodsza część społeczeństwa. Wszak tymi, którzy najpewniej zablokują w przyszłym Sejmie wprowadzenie zgodnych z europejskimi standardami przepisów aborcyjnych przez blok demokratyczny – zakładając jego

Wojnę PiS i PO – czy szerzej: KO – napędzają różne czynniki: autorytarny populizm PiS, osobista niechęć Kaczyńskiego do Tuska, resentymenty, urazy i uprzedzenia sięgające początków transformacji.

Jednocześnie napędza ją jak najbardziej współczesna, oparta często na importowanych zza oceanu skryptach wojna kulturowa, w której na pierwszym planie znajdują się politycy mający 40 lat i mniej. Najbardziej radykalnymi harcownikami Zjednoczonej Prawicy są przecież młodzi politycy Solidarnej Polski. Ta wojna może organizować politykę, podkreślając polaryzację do dysfunkcyjnych dla systemu politycznego rozmiarów także wtedy, gdy Kaczyńskiego i Tuska zabraknie.

Polaryzacja młodego pokolenia utrudnia też mu wspólne działanie, mimo wspólnych interesów co bardziej znaczących polityków urodzonych w ostatnich dekadach XX wieku, związanych z odblokowaniem sceny. I niezależnie od tego, czy „młodzi” chcą bardziej progresywnej czy konserwatywnej, rynkowej czy prospołecznej polityki – bez budowy mądrych, międzypokoleniowych sojuszy młodszy wyborcom trudno będzie dokonać zmiany polityki na bardziej odpowiadającą ich preferencjom.

W polskiej polityce nastąpiło wręcz absurdalne przedłużenie okresu, w którym politycy mogą ciągle uchodzić za młodych. Jako „młodzi” traktowani są dziś 50-latkowie: Trzaskowski, Morawiecki, Duda, Ziobro

zwycięstwo – będą najpewniej Kosiniak-Kamysz i Hołownia, przywiązani do idei referendum aborcyjnego. Choć w obecnych warunkach jest ono w Polsce receptą na zamianę retorycznej w niemałej mierze medialno-polityczno-facebookowej wojny kulturowej na prawdziwą pokoleniową wojnę domową.

Potrzebujemy pochodzących z wyborów polityków między innymi po to, by podejmując decyzje, skupiali na sobie społeczny gniew, jakie one wywołują – tak by ludzie o różnych poglądach, zamiast nienawidzić siebie nawzajem, negatywne emocje kierowali w stronę aktualnej większości i jej liderów. Jeśli z exit poll wydzie w referendum, że starsi ludzie przegłosowali młode kobiety, odbierając im na lata dostęp do zabiegu powszechnie dostępnego w Unii, to gniew, jaki w 2020 roku skupiał się na PiS, Trybunale Konstytucyjnym i Kościele, rozleje się na całe społeczeństwo, podzieli jego starszą i młodszą część, matki i córki, babcie i wnuczki.

Nie ma też co żywić naiwnej nadziei na to, że ewentualna zmiana pokoleniowa w polskiej polityce wyzwoli nas od polaryzacji. Młodzi wyborcy może słabiej odnajdują się w polaryzacji PO – PiS, ale także sama grupa 40- jest silnie politycznie spolaryzowana. Dwie najmłodsze generacyjne formacje – Konfederacja i Partia Razem – znajdują się na najbardziej przeciwstawnych krańcach politycznego spektrum.

Lecz te sojusze, niezależnie od polaryzacji młodszych wyborców i ich przyszłych reprezentantów, wymusi demografia. Polskie społeczeństwo się starzeje, starszych wyborców jest po prostu więcej niż młodszych, i ta tendencja będzie się tylko pogłębiać. Polityka PiS wyraźnie skrzywiona pod kątem potrzeb seniorów jest na razie efektem struktury poparcia tej partii, ale w przyszłości coraz więcej rządów będzie zmuszonych z powodu arytmetyki wyborczej kierować się preferencjami starszych wyborców – kosztem nie tylko młodszych, ale też inwestycji w przyszłość.

Im bardziej polityka będzie siwieć – i nie chodzi nawet o wymiar ideologiczny czy obyczajowy, bo ci starzejący się wyborcy będą mentalnie coraz odleglejsi od, jak ich obraźliwie nazwano, „moherów”, lecz rozwojowy, kwestię rozwiązań socjalnych czy gospodarczych – tym bardziej młodzi obywatele będą albo pogrążali się w apolitycznej apatii, albo ulegali podszeptom sił radykalnych, populistycznych, antyliberalnych, dążących do wywrócenia stolika.

Także w interesie starszych jest więc budowa sensownych międzypokoleniowych sojuszy – co oznacza nie tylko politykę uwzględniającą perspektywę młodszych wyborców, ale też stworzenie mechanizmów skuteczniejszej i szybszej pokoleniowej wymiany politycznych elit. ●

Wyborcy przed trzydziestką

MŁODZI, NAIWNI, RADYKALNI

Czy różnią się tym od wcześniejszych pokoleń? Nie

Z PSYCHOLOGIĄ SPOŁECZNĄ **MARTĄ MAJCHRZAK***
ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI**

Młodzi mężczyźni zgłoszą na prawicowych polityków?

– Tak wynika z badań CBOS o postawach politycznych młodych Polaków. Kobiety są bardziej liberalne i lewicowe, a mężczyźni identyfikują się raczej jako konserwatywni.

Dlatego zgłoszą na Konfederację?

– Nie możemy generalizować. Młodzi mężczyźni zgłoszą i na Koalicję Obywatelską, i na Nową Lewicę, a także na partię Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Niemniej w ostatnich miesiącach miałam okazję prowadzić kilka projektów badawczych, między innymi z udziałem młodych chłopaków z generacji Z, czyli osób urodzonych po 2000 roku. Badania miały charakter komercyjny, prowadzę je dla klientów, którzy kierują produkty i usługi do osób z pokoleń X, Y i Z albo zatrudniają osoby z tych pokoleń i dlatego interesują ich opinie, doświadczenia, poglądy ludzi z tych grup wiekowych. Opowiem o kilkunastu wywiadach jakościowych z chłopakami między 20. a 25. rokiem życia. Byli wśród nich górnicy, przedsiębiorcy, absolwenci elitarnych liceów z dużych miast, pracujący w konsultingowych korporacjach.

I rzeczywiście akurat ich łączyło jedno: wszyscy będą głosowali na Konfederację.

Zanim zapytam o powody, interesuje mnie, o czym rozmawialiście?

– O stosunku do pracy, pieniędzy, o planach na przyszłość. Mimo wielu różnic wszyscy wyrażali potrzebę zmiany politycznej i społecznej. Szansy upatrują w partii Sławomira Mentzena. Są antyestablishmentowi, stosunkowo często anty-PiS. Szukają partii, która w ich odczuciu jeszcze nie splamiała się dużymi aferami. Chcą, cytując Trumpa, zagłosować na polityków „spoza bagna”.

Jednocześnie szukają partii, która ich widzi i odpowiada na realne problemy. Czyli mówiąc inaczej: ich partią pierwsze-go wyboru będzie Konfederacja, która spełnia wszystkie te kryteria, a także zrozumiałym językiem opisuje mechanizmy gospodarcze, postulując chociażby uproszczenie podatków czy zminimalizowanie roli państwa. Bo dla nich państwo jest przeszkodą w drodze do indywidualnej przedsiębiorczości i bogacenia się.

Pieniądze są dla nich ważne?

– Młodzi mężczyźni znacznie częściej niż kobiety deklarują, że zarabiają, aby gromadzić dobra materialne. Nie miałam poczucia, że fetyszysują dobra materialne, raczej

czują potrzebę sprawdzenia się jako mężczyźni zapewniający dobry byt samym sobie, a potem rodzinom. Jeśli więc ktoś proponuje niskie podatki, dzięki którym zaoszczędzą więcej na wkład własny do kredytu, to trafia w ich potrzeby. To dla niskich podatków zamierzają zagłosować na Mentzena.

Z tego wynika, że młodzi mężczyźni nie mają poglądów bardzo konserwatywnych czy prawicowych, raczej liberalne, tylko szeroko rozumiane?

– To ciekawy wątek, ponieważ moi rozmówcy często zaznaczają, że nie poszukują partii prawicowych, ale oddając głos na Konfederację, po prostu nie mają innego wyjścia. Jednocześnie dla części z nich istotne są wartości chrześcijańskie, szanują starsze pokolenia, liczą się ze zdaniem dziadków i rodziców, którzy głosują na PiS. Większość z nich jest już po rozmowach z rodziną, której ogłosili, że nie zgłoszą na partię władzy. Bo ich po prostu nie reprezentuje.

Spójrzmy z bliska na tych wyborców.

Zacznijmy od absolwenta elitarnego liceum. Co go pociąga w Konfederacji?

– Jest przedstawicielem niezwykle uprzywilejowanej grupy społecznej i o tym wie. Rozumie swój przywilej. Z pasją opowiada o realizacji projektu pod nazwą: udane życie. Wierzy, że głosując na Konfederację, w pewnym sensie głosuje za i dla swoich kolegów, którzy są przedsiębiorczy, mają fajne pomysły i chcą zakładać start-upy, ale przeszkadza im w tym władza. Nie tylko ta obecna, ale też każda poprzednia.

Mój rozmówca mówi, że nigdy nie zgłosuje na partię centrowe czy lewicowe, bo się skompromitowały.

A jak na to samo pytanie odpowiada młody górnik?

– Oprócz pracy pod ziemią prowadzi mały sklep. Myśli o sobie jako o osobie pracowniwej, przedsiębiorczej, której zależy na budowie dobrobytu i zapewnieniu przyszłości rodzinie. Choć jeszcze jej nie założył, to już teraz wie, że chce zapewnić jej po prostu dobre życie. Szczegółowo opowiada o tym, jak obecne warunki stworzone przez PiS podcinają skrzydła przedsiębiorcom, jak on i jego koledzy mają totalnie pod górkę. „A to przecież na naszych barkach leży PKB”, mówi.

Jego koledzy czy rówieśnicy prowadzą jednoosobowe działalności gospodarcze, które według niego są solą polskiej gospodarki, a rząd rzuca im kłody pod nogi. Młodzi



dy górnik jest z siebie dumny, ponieważ daje radę, ciągnie etat z działalnością gospodarczą, dlatego trudno mu zrozumieć, czemu jego własne państwo mu w tej przedsiębiorczości przeszkadza.

On, jak i wielu innych rozmówców, opowiada, że tylko dzięki desperackiemu kombinowaniu jest w stanie utrzymać się na powierzchni.

Co opowiada góral?

– To człowiek, który na przykład skończył studia wyższe, finanse i rachunkowość. Wspaniale rozmawia się z nim o ekonomii, słychać, że się nią pasjonuje. To zresztą dość emblematyczne, ponieważ młodzi wyborcy Konfederacji mają poczucie, że znają się na sprawach gospodarczych. Pochodzi z konserwatywnej rodziny, która od zawsze głosuje na prawicowe i chrześcijańskie partie.

Mówi dokładnie to samo, co poprzednia dwójka: nie zgłosuje na „stare” partie, ponieważ w jego oczach się skompromitowały. Nazywa Mateusza Morawieckiego kłamcą, mówi wprost o rozkradaniu Polski, nie zgadza się z receptami rządu na wysoką inflację, nie popierał wprowadzonych obostrzeń w czasie pandemii. Denerwują go wojenki polityczne, widzi je też w łonie Konfederacji, ale mimo wszystko odda na nią głos ze względu na propozycje gospodarcze i hasła wolnościowe.

Góral opowiada, że działacze Konfederacji pomagali restauratorom w najcięższych miesiącach pandemii, namawiali ich do otwierania barów. Szczegółowo rozważa, że likwidacja podatku od czynności cywilnoprawnych oraz podatku Belki nie będzie dużym uszczerbkiem dla budżetu, a jednocześnie ta decyzja pomoże zwykłym ludziom.

I mówi o sytuacji mieszkaniowej. Okazuje się, że koszty budowy domu na Podhalu znacząco urosły, z tego powodu wyprowadzka od rodziców staje się po prostu niemożliwa. Uważa, że tylko obniżenie podatków może tę chorą sytuację zmienić.

Wylania się z tego ponury obraz polskiej klasy politycznej, która nie potrafi rozwiązać problemów związanych ze skomplikowanym systemem podatkowym, brakiem mieszkań czy hamowaniem innowacyjności.

– Oni oskarżają o to wszystkie rządy III RP. Interesowało mnie, skąd moi rozmówcy czerpią informacje. Czy naprawdę przestrzegają tradycyjne media jako nierzetelne i niewiarygodne, dlatego szukają informacji na kanałach politycznych na YouTu-

bie? Odpowiedź może być bolesna: wyborcy Konfederacji nie traktują poważnie TVN 24, „Wyborczej” czy nawet TVP Info, choć wszystkie je oglądają i czytają. Nie znajdują w nich jednak swojej reprezentacji, ona jest w szeroko pojętym internecie.

Czy wiedzą, w jakim państwie chcieliby żyć, skoro marzy im się kraj, który nie zapewnia usług publicznych?

– Posługują się naiwnym anarcholiberalizmem, powielają slogany wyborcze, nie znając szczegółów, nie zdając sobie sprawy, że prywatyzacja systemu emerytalnego oznacza społeczną katastrofę. Oczywiście żaden z nich nie powiedział, że chciałby żyć w kraju, w którym służba zdrowia

Jednoznacznie lewicowa partia na pewno młodych mężczyzn chcących głosować na Konfederację nie przekona, ale centrowa zdecydowanie tak. Wielu dopiero na drugim, trzecim, nawet czasem na czwartym planie ma wartości prawicowe i chrześcijańskie

będzie odpłatna.

Rozmawiamy o młodych ludziach, którym nie podoba się określenie „infantylizm”, które jest jednak mocno oceniane. Ale nie da się od niego uciec. Młodzi wyborcy Konfederacji nie mają jasnego wyobrażenia o tym, jak dokładnie miałyby funkcjonować państwo z radykalnie niskimi podatkami.

Oni chyba w sumie nie wierzą, że ten program mógłby zostać zrealizowany. Oddają głos na partię antysystemową, ponieważ chcą publicznie opowiedzieć o swoich problemach. Nie rozmawiamy o ludziach, którzy domagają się płatnej opieki zdrowotnej, tylko o osobach, które potrzebują zmiany.

Na czym ta zmiana miałaby polegać? Na wymianie elit politycznych? To trochę nieodpowiedzialne.

– Optyka młodych jest inna: nieodpowiedzialnie jest zostawić elity polityczne, które wielokrotnie się skompromitowały. To oso-

by, które mają poczucie, że mają trudniej niż ich rodzice, czują ogromną niesprawiedliwość.

Co mówią o kobietach? Mają partnerki, które podziwiają ich poglądy?

– Część jest w związkach, dla wszystkich rodzina jest ważna. Mają tradycyjny obraz kobiety, z którą chcieliby założyć rodzinę. Nie są feministami, nie rozumieją lewicowych postulatów związanych z równością płci. Czują się odpowiedzialni za dobrobyt swoich przyszłych dzieci. Jest dla nich oczywiste, że dla kobiet, z którymi będą chcieli założyć rodzinę, korzystny będzie jasny podział ról: mężczyzna zapewnia godne warunki życia, a kobieta zajmuje się domem. Za te pieniądze wykształcą dzieci i pojadą nad morze na wakacje.

Nie odnosisz wrażenia, że ci młodzi mężczyźni dali się podpuścić radykałom z Konfederacji?

– Nie. Problem leży gdzie indziej: żadna partia oprócz Konfederacji nie proponuje programu, który byłby dla nich atrakcyjny. Naprawdę czują, że nie mają żadnej alternatywy.

Czy są oszołomami? Nie wydaje mi się. Ci, którzy zgodzili się ze mną porozmawiać – a wiedzieli, że mam lewicowe poglądy i żydowskie pochodzenie – w grzeczny sposób przedstawili mi własne argumenty.

Ale to raczej nie oznacza, że zagłosowaliby na lewicową partię z wyrazistym liderem?

– Jednoznacznie lewicowa partia na pewno ich nie przekona, ale centrowa zdecydowanie tak. Wielu z moich rozmówców dopiero na drugim, trzecim, nawet czasem na czwartym planie ma wartości prawicowe i chrześcijańskie.

Dla nich, podkreślę to raz jeszcze, najważniejsze są sprawy gospodarcze. Program gospodarczy Konfederacji jest według nich bez zarzutu. W pełni go popierają, a z pozostałymi kwestiami zgadzają się mniej.

Nie oburza ich antysemityzm, homofobia, antyukraińska narracja i po prostu zwykły rasizm?

– Niektórzy mówią, że nie chcą, aby ich dzieci były indoktrynowane przez lewicowe organizacje. Nie potrafią jednak podać przykładów na to, że gdzieś w Polsce tak się dzieje. A większość uważa, że kontrowersyjne wypowiedzi niektórych polityków Konfederacji są wyrwane z kontekstu. „Kiedyś tak uważał, ale zmienił zdanie”

• 26 maja, Warszawa, „Piwo z Mentzenem” - spotkanie współlidera Konfederacji z sympatykami

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

– powiedział mi jeden z rozmówców, oceniając tzw. piątkę Mentzena. Wiedzą więc, że w debacie publicznej nie można obrażać gejów i Żydów.

I właśnie tutaj upatruję szansy: pewna część elektoratu Konfederacji nie akceptuje jej programu światopoglądowego. I to właśnie może pomóc ich pozyskać.

I serio nie przeszkadza im, że ich lider chce Polski bez gejów i Żydów?

– Ci, którym niewygodnie z antysemitkami i homofobicznymi poglądami Mentzena, stosują dobrze znany ludzkości mechanizm: wyparcie. Pozostałym ani antysemityzm, ani homofobia serio nie przeszkadza.

Są naiwni?

– Są młodzi i naiwni oraz radykalni. Czy różnią się tym od wcześniejszych pokoleń? Nie.

Ale wcześniejsze pokolenie 10 lat temu wybrało do Sejmu geja i osobę trans oraz aktywistkę aborcyjną, a tej jesieni wprowadzą do Sejmu nacjonalistów.

– A to pokolenie widziało zmiany po 2008 roku, pandemię i wojnę. I jak wiadać, państwo ich rozczarowało, więc szukają rozwiązań, które wzmacniają ich indywidualizm i osobisty sukces – poza państwem i poza uwikłaniami w jakiejkolwiek zależności i niuanse. Wiedzą, że ich pieniądze są ich, a reszta ich nie obchodzi.

Co zatem powinny zrobić inne partie? Jak mogłyby zaważać o tych młodych mężczyznach?

– Proste hasła gospodarcze są łatwiejsze do zrozumienia niż opowieść o społeczeństwie, obowiązkach społecznych, roli państwa itd. Ten przekaz zawłaszczyl już Mentzen i nie sądzę, żeby warto było z nim konkurować. Warto natomiast uważnie przyjrzeć się motywacjom młodych mężczyzn, w szczególności „blue collars”, niebieskich kolnierzyków – wszystkich tych ludzi z sektora usług, produkcji czy z korpo najniższego szczebla – którzy znacznie gorzej odnajdują się na rynku pracy niż „white collars”.

Doraźne zaważanie o młodych mężczyznach wydaje się krótkowzrocznym pomysłem, prowadzącym do niechybnego rozczarowania i, tak czy siak, odpływu takich wyborców do partii populistycznych. Jeśli chcemy ludzi, którzy odpowiedzialnie będą tworzyć społeczeństwo przyszłości, to potrzebna jest realna, równościowa rozmowa i długofalowy plan, w który młodzi uwierzą. Czy któraś z partii politycznych go proponuje?

Zaczelismy od podziału genderowego, nim też zakonczmy: co o wyborcach Konfederacji myślą wyborczynie Lewicy i PO?

– Najczęściej myślą o nich jako o osobach niedoinformowanych lub zindoktrynowanych. Pojawiają się też określenia: antysemityta, rasista, osoba absolutnie niewrażliwa na problemy społeczne, osoba, która nie chce troszczyć się o innych, a tylko o własne potrzeby. Widzą w nich osoby radykalnie zrażone do obecnego systemu i chcące zmian w wąskim zakresie spraw gospodarczych, których cała reszta funkcjonowania państwa i społeczeństwa nie interesuje. Są zagrożeniem dla marzeń o Polsce, której po drodze z różnorodnością. ●

***Marta Majchrzak** jest psycholożką, badaczką społeczną, właścicielką agencji badawczej Herstories i współautorką pierwszego w Polsce raportu o siostrzeństwie

Dziadkowie i rodzice słusznie mają nam za złe?

W końcu trzeba wyjść na ulicę

To trudna prawda dla uciekającego od odpowiedzialności milenialsa:
wpisy na Fejsie nie wystarczą

Zielińska-Dao Quy

Lato 2022. Siedzę na przystanku, walcząc z lepkiem upałem. Do przystanku zbliżają się dwie starsze kobiety, eleganckie, na oko 70-letnie. Przysłuchuję się swojskim narzekaniom na ceny, które tamtego roku, po raz pierwszy tak radykalnie, rosły wprost proporcjonalnie do sierpniowych temperatur. Na końcu słyszę urażony ton: „Dlaczego młodzi nie wychodzą na ulicę? Za naszych czasów już byśmy dawno strajkowali”. Niemal instynktownie w głowie zaczyna orbitować mi odpowiedź: „OK, Boomer”. Autobus linii 131 podjeżdża. Wsiadam i wraz z pierwszą ulgą, którą przynosi chłodny podmuch klimatyzacji, zadaję sobie pytanie: „No właśnie, właściwie to dlaczego?”.

16 grudnia 1773 roku 45 ton herbaty należącej do Brytyjczyków trafiło do wód bostońskiego portu. W ten sposób amerykańscy koloniści protestowali przeciwko niesprawiedliwemu ich zdaniem opodatkowaniu, za którym nie szło prawo do reprezentacji politycznej. Wpływu na rządy w starym kraju nie dostali, za to parlament uchwalił zamknięcie portu w Bostonie do czasu spłaty długu za zrujnowane towary. Iskra rewolucji amerykańskiej zapłonęła.

5000 sufrażystek demonstrowało w sprawie praw wyborczych kobiet 3 marca 1913 roku, w przeddzień inauguracji Woodrowa Wilsona. Doszło do zamieszek. Policja nie interweniowała. O czym myślała Alice Paul, czołowa amerykańska działaczka praw kobiet i jedna z organizatorek marszu? 100 kobiet straciło życie za sprawę, która wówczas musiała wydawać się bezgłośną pieśnią przyszłości. A jednak tego dnia paradę obserwowało ponad pół miliona ludzi. Studenci utworzyli żywy mur, który umożliwił kobietom swobodne przejście, a „New York Times” opisał wydarzenie jako „jeden z najpiękniejszych spektakli, jakie wystawiono w tym kraju”. Sprawa praw wyborczych stała się głośniejsza jak nigdy wcześniej – wraz z rozszerzającą się świadomością zwiększyła się także sympatia dla Narodowej Partii Kobiet. 19. poprawka do konstytucji, przyznająca kobietom prawo głosu, została ratyfikowana 7 lat później, 18 sierpnia 1920 roku.

W 1969 roku 89 rdzennych Amerykanów zaczęło okupację nieużywaną już przez władze federalne, po zamknięciu słynnego więzienia, wyspy Alcatraz. Powoływali się na porozumienie stanowiące, że rdzenni Amerykanie mogą ubiegać się o nieużywane ziemie federalne. Żądali umieszczenia na wyspie instytucji mogących zapewnić miejsca pracy, opiekę zdrowotną czy pomoc prawną. W szczytowym momencie liczba protestujących osiągnęła 400 osób, żyjących bez bieżącej wody i elektryczności. Policja i służby federalne usunęły ich siłą. Ale wkrótce wydarzenia na Alcatraz doprowadziły do nowej, upodmiotawiającej rdzenną ludność, polityki federalnej.

147 – tyle miast w całej Polsce wzięło udział w 2016 roku w protestach przeciwko projektowi „Stop aborcji”. Cztery lata później, po antyaborcyjnym wyroku Trybunału Konstytucyjnego

go Julii Przyłębskiej, w 410 protestach uczestniczyło blisko 430 tys. osób.

Szczepan Twardoch, w reakcji na postulaty Marty Lempart i Klementyny Suchanow, wykpił „kolejne bezwzględne ultimatum i następujące po nim kategoryczne „wyp*****lać”: „Od dawna chyba tak niewielu nie zmarowało tak szybko słusznego gniewu i energii kobiet tak wielu”. Ale przed protestami za liberalizacją przepisów aborcyjnych opowiadało się 53 proc. społeczeństwa. W marcu 2023 roku już ponad 80. Wiatr przesilenia powiał mocniej.

Społecznego gniewu było oczywiście więcej, a ludowe, oddolne ruchy odniosły wiele zwycięstw. Marsz Martina Luthera Kinga na Waszyngton, protesty 1968 roku na świecie, strajk w Stoczni Gdańskiej, Black Lives Matter, Arabska Wiosna, Marsze Równości – sporo tego zdzierania gardła za sprawę. I choć ten uliczny aktywizm dzielił idee, historia i współrzędne geograficzne, łączy je jedno – tłum niepewny finału. Havel pisał o sile bezsilnych, mając na myśli prawdę, która w końcu powali totalitarnego olbrzyma. Problem w tym, że taka optyka zakłada równy

Niby nic dziwnego. Żyjemy w świecie ekonomii reakcji. Gniew wyrażany w komentarzach i reakcjach szybko przynosi stopę zwrotu – natychmiast katalizuje oburzenie, a w dodatku reakcje na komentarz wywołują efekt potwierdzenia, utwierdzając w przekonaniach, dokładając się do poczucia samozadowolenia. Bycie w przestrzeni publicznej bez możliwości natychmiastowego reagowania przypomina wycieczkę do galerii handlowej na dzień przed wyplatą. Bodźców jest dużo, ale przyjemność z zakupów niewielka.

Oczywiście, że komentarze, virale, reakcje w mediach społecznościowych, memy są formą partycypacji społecznej. Ale jakkolwiek byśmy zaklinali rzeczywistość – że to nie gorsza forma uczestnictwa, tylko inna, że nacisk opinii publicznej na Fejsie już nie raz wpłynął na polityków czy wielki biznes – jednak jednostka nie jest pojmowana w nich tak samo, jak w starej, dobrej i nieco niemodnej liberalnej tradycji filozoficznej – jako autonomiczny podmiot z całym bagażem doświadczeń i intelektualnym kapitałem. Rozładowując gniew w komentarzach lub wyrażając bezsilność w memosferze,

Wystarczy zrobić pierwszy krok, aby rzecz raz dobrze zrobiona pozostała taką na zawsze. My jednak wolimy, niestety, tylko rozprawiać na ten temat, co zresztą nazywamy swoją misją

HENRY DAVID THOREAU, ROK 1849

rozkład sił. Tymczasem o ile olbrzym beztrosko hasa sobie po równym chodniku, o tyle człowiek bezsilny grzęźnie po kolana w błocie, które rozciąga się po horyzont. Opór nie jest hojny i laskawy. Wymusza raczej cierpliwość i trwanie w nadziei. I właśnie ta, granicząca z obsesją, gotowość do oczekiwania i niepewność finału jest dla mnie prawdziwą siłą bezsilnych.

29 maja 2023 roku, kiedy prezydent Andrzej Duda podpisuje wyjątkowo destruktyną dla struktur demokratycznych, porządku prawnego, zaufania do państwa, poczucia sprawiedliwości – listę mogę ciągnąć długo – ustawę o powołaniu komisji ds. rosyjskich wpływów, nikt nie wychodzi na ulice. Tego dnia wydaję stronę główną „Wyborczej”. Zaglądam do sekcji komentarze pod tekstem informującym o prezydenckim podpisie. Skala gniewu jest olbrzymia. Potem szybki przegląd okolicznościowych memów. Ale na ulicy trwa osten-tacyjna cisza.

stajemy się niczym więcej, jak przekaznikiem w półautomatycznej sieci wzajemnych reakcji. Wszystkie wzburzone tweety czy shitstormy w komentarzach są przez radykałów od samego początku wliczone w koszt ich opętanych pomysłów.

Memy być może są przejawem buntu, ale, co podkreślał Michail Bachtin, karnawał jest oczywiście formą życia, niestety – trwającą tylko przez chwilę. Dzisiaj, kiedy zaglądam do archiwum na swoim telefonie i przeglądam memy z czasów lockdownu, odczuwam palący wstyd na myśl, że swego czasu na ich widok krztusiłam się śmiechem. A Państwu rzucam wyzwanie – spróbujcie bez bólu obejrzeć jakiś skecz polskiego kabaretu, dajmy na to, z 2005 roku. To sporo mówi o trwałości tej formy buntu wobec rzeczywistości.

29 maja, w końcu, po długiej zimie, znów przychodzi lato, a ja przypominam sobie mądrość starszych kobiet, którą w upalny dzień lata usłyszałam na przystanku.

Bo to obywatelskie nieposłuszeństwo przynosi prawdziwie trwałe rezultaty. To trudna prawda dla przyzwyczajonego do wygody kapitalizmu społeczeństwa neoliberalnego. A jeszcze trudniejsza dla uciekającego od odpowiedzialności milenialsa. Pokrzepiające może być to, że połowa pracy została już wykonana – wrażliwość społeczna na stałe weszła do repertuaru życia publicznego. Ale nie wystarczy bić na alarm.

Henry David Thoreau w legendarnym eseju z 1849 roku „O obywatelskim nieposłuszeństwie” pisał tak: „Wystarczy bowiem zrobić pierwszy krok, aby rzecz raz dobrze zrobiona, pozostała taką na zawsze. My jednak wolimy, niestety, tylko rozprawiać na ten temat, co zresztą nazywamy swoją misją. Dziesiątki gazet służy reformom, ale nie służy im żaden człowiek”. Czasem podczas kolegiów redakcyjnych, po kolejnym tekście ujawniającym zuchwalstwo władzy ktoś rzucił chmurzenie, że ma wrażliwość, że wszyscy przyzwyczaili się już do rozmontowywania Polski przez grupę autokratów. „OK, Boomer”. Ale mimo wszystko zastanawiam się, kto i kiedy niezauważenie podał nam niebieskie pigułki. Najgorzej jest uwierzyć w wędzną symulację i poddać się jej mechanizmom.

W oscarowym filmie „Sieć” z 1976 roku jeden z głównych bohaterów, Howard Beale, wygłasza monolog, który na zawsze zapisał się w historii kina, a teraz, 4 czerwca, w dniu marszu całej demokratycznej opozycji, jest nadzwyczaj aktualną diagnozą, a zarazem moim życzeniem.

„Nie muszę ci mówić, że jest źle. Wszyscy wiedzą, że dzieje się źle. To jest kryzys. Wszyscy są bez pracy lub boją się utraty pracy. Dolar kupuje wartość pięciocentówki. Banki bankrutują. Wiemy, że powietrze nie nadaje się do oddychania, a nasze jedzenie nie nadaje się do jedzenia, więc siedzimy przed telewizorem, podczas gdy lokalny prezenter mówi nam, że dzisiaj mieliśmy piętnaście zabójstw i sześćdziesiąt trzy brutalne przestępstwa, jakby tak miało być.

Wiemy, że jest źle – nawet gorzej niż źle. Oni są szaleni. To tak, jakby wszystko wszędzie wariowało, więc już nawet nie wychodzimy. Siedzimy w domu, a świat, w którym żyjemy, powoli się kurczy, a my mówimy tylko: «Proszę, zostawcie nas przynajmniej samych w naszych salonach. Dajcie mi toster, telewizor i radia ze stalowym paskiem, a nic nie powiem. Po prostu zostaw nas w spokoju».

Chcę, żebyś wstał natychmiast. Pojdź do swoich okien. Otwórz je, wystaw głowę i krzyknij: «Jestem wściekły jak diabeł i nie zniosę tego więcej!». Rzeczy muszą się zmienić. Ale najpierw musisz się wściec!... Musisz powiedzieć: «Jestem wściekły jak diabeł i nie zniosę tego więcej!». Wtedy wymyślimy, co zrobić z kryzysem, inflacją i kryzysem naftowym. Ale najpierw wstańcie z krzesel, otwórzcie okno, wystawcie głowę, krzyczcie i powiedzcie: «Jestem wściekły jak diabeł i nie zniosę tego więcej!». ●

Edyta Zielińska-Dao Quy

JAKIE POKOLENIE, TAKI BUNT

Kiedy człowiek jest młody, to może udawać, że żyje poza systemem, szczególnie w UE, która daje możliwość podróżowania

Arkadiusz Gruszczyński

Lęki naszej liberalnej strony są oczywiste. Boimy się konsekwencji rządów Prawa i Sprawiedliwości, demontażu państwa prawa, niekontrolowanego zadłużania państwa. A czego boją się młodzi ludzie z liberalnej klasy średniej? Komu ufają? Z tymi pytaniami zgłaszam się do prof. Mikołaja Cześnika, politologa z Uniwersytetu SWPS.

BEZPIECZEŃSTWO RODZICÓW

Czego się obawiają ludzie, którzy nie pamiętają czasów sprzed rządów Prawa i Sprawiedliwości? – To zależy – słyszę w odpowiedzi. – Na początku trzeba pamiętać, że mówimy o grupie wiekowej, która 20 lat temu byłaby znacznie większa niż obecnie. W latach 80. rodziło się przecież po 600 tys. osób w jednym roczniku, a od początku XXI w. rodzi się ich nawet o 200 tys. mniej.

Znają słabo świat sprzed 2015 roku, przyznaje mi badacz. – Ale weźmy tych bardziej lewicowych czy progresywnych młodych wyborców. Im przeszkadza to, co się wydarzyło z aborcją w Trybunale Konstytucyjnym, ale też aksjologia rządu. Mówiąc inaczej: drażni ich przywiązanie partii rządzącej do Kościoła oraz konserwatywna wizja świata proponowana przez PiS. I to ich odróżnia od starszych pokoleń.

I od razu prof. Cześnik dodaje inną różnicę widoczną w ramach jednego pokolenia dzisiejszych 20-latków. Wyborczyni Adriana Zandberga nigdy nie spotka się na żywo z wyborcą Sławomira Mentzena. Jest też spora grupa niezainteresowana polityką. U moich rodziców na wsi spotykam ludzi, którzy cieszą się z małych sukcesów, rozmawiają o pogodzie. Na placu Zbawiciela, w Warszawie, o szkole, imprezach. – Kiedy człowiek jest młody, to może udawać, że żyje poza systemem, szczególnie w UE, która daje możliwość podróżowania – mówi badacz.

Opowiada mi również, że w ciągu ostatnich lat żadna grupa społeczna aż tak drastycznie nie zbiedniała. – Rozwój gospodarczy rozlewa się równo. Dlatego niezadowolone młodych, o ile się po-

jawia, ma charakter aksjologiczny, a rzadziej ekonomiczny – uważa prof. Cześnik. Szczególnie jeśli mówimy o osobach, które mieszkają z rodzicami. – Wiek wyfrunięcia z gniazda to w Polsce średnio 32 lata. To ich rodzice muszą bardziej uważać na pieniądze, a nie oni. Dlatego kwestia komfortu związanego z brakiem zaangażowania w sprawy polityczne jest tak istotna w opisie młodego pokolenia.

KOMU UFAJĄ MŁODZI?

Z moich obserwacji wynika, że to pokolenie nie ma autorytetów wśród polityków, może z wyjątkiem Mentzena i Rafała Trzaskowskiego, którego młodzi liberalowie uważają za lidera, choć jeszcze w 2018 roku wydawało się, że zostanie nim Robert Biedroń.

Cześnik: – Zaufanie w Polsce to

**Jakie wyrośnie
nam pokolenie
wychowane w okresie
tak silnej polaryzacji
i nieufności
do państwa?**

ciekawa sprawa, bo wiele mówi się o tym, że Polacy generalnie sobie nie ufają, a potem słyszymy o przypadkach kradzieży metodą „na wnuczka” czy poprzez złośliwe linki. Czyli jednak indywidualnie możemy ufać obcym, prawda?

Zdaniem Cześnika zaufanie w sieci jest większe, niż nam się wydaje. – Nie wiem, czy ta kategoria jest nadal aktualna, skoro żyjemy w coraz bardziej zmechanizowanym społeczeństwie. Kasjerki są zastępowane automatami tak samo jak osoby na infoliniach. Tracimy wiele kontaktów z żywymi ludźmi, więc tradycyjnie pojmowane zaufanie nie ma aż tak wielkiego znaczenia.

Według niego młodzi w tym ujęciu nie wyróżniają się na tle innych pokoleń. Próbuję to sobie wytłumaczyć i wychodzi mi, że jedni po prostu ufają ludziom, którzy mówią do nich prostymi komunikatami za pomocą mediów, kiedyś była to telewizja, dzisiaj TikTok. Inni nadal starają się czerpać wiedzę z książek i mediów drukowanych, a są też tacy, którzy ufają tylko swojej rodzinie.

Ale jakie wyrośnie nam pokolenie wychowane w okresie tak silnej polaryzacji i nieufności do państwa?

Wyobrażam sobie, że wychowanie w niepewnym świecie może skutkować alienacją, rozbić więzi. Ale mówię to z wielką ostrożnością, bo nadal mało wiemy – odpowiada Cześnik. Dodaje, że dorastanie w czasach, kiedy trudno odróżnić fake news od sprawdzonej informacji, również wpłynie na przyszłe wybory polityczne młodych.

Wydaje się, że po pogonieniu prawicowych populistów trzeba będzie dość szybko wprowadzić do wszystkich szkół, również tych wyższych, edukację związaną z poszukiwaniem informacji.

CZEGO BOI SIĘ PRAWICOWY WYBORCA?

– Młodzi oddający głos na prawicę boją się nowych prądów kulturowych, ruchów LGBT, które rzekomo mają stać za rewolucją obyczajową, oraz ideologii gender. Wedle ich wyobrażeń dojdzie liberalów i lewicy do władzy oznacza przymusowe przebieranie chłopców w stroje kobiece. I na odwrót. Problem w tym, że opinii publicznej trudno znaleźć przykłady takich nadużyć – mówi prof. Mikołaj Cześnik.

Jednocześnie profesor zauważa, że w deklaracjach światopoglądowych ogół polskiej młodzieży wypada nadzwyczaj tolerancyjnie. – Widać to nawet wśród wyborców PiS, którym raczej nie przeszkadza, że osoby tej samej płci trzymające się za ręce na ulicy. Rozbierając ich deklaracje polityczne na czynniki pierwsze, widzimy, że ich postrzeganie świata nie jest aż tak straszne, jak mogłoby się wydawać.

A równość na rynku pracy? Według badań Arlie Russell Hochschild opublikowanych w książce „Obcy we własnym kraju”, biali, heteroseksualni mężczyźni z klasy średniej i robotniczej, którzy stanowili rdzeń mitu powojennej Ameryki, poczuli się zdradzeni przez liberalnych i lewicowych polityków. Nagle się okazało, że w społeczeństwie żyją też inni, chociażby kobiety, osoby o czarnym kolorze skóry czy nieheteronormatywni mężczyźni, którym również należy się kawałek tortu. Dlatego wygrał Trump, dlatego wygrywa Kaczyński czy Erdogan. Zawsze chodzi o pieniądze i różnice klasowe.

Gdyby przełożyć te nienowoczesne obserwacje do stanu mentalnego polskiego mężczyzny, który ma około 25 lat, to wnioski mogą być podobne. Strajk Kobiet, który nie przeistoczył się w masowy ruch społeczny, ale przeorał społeczną wyobraźnię w kwestii praw kobiet, był przełomowym momentem



ILUSTRACJA IGOR MORSKI

w najnowszej historii Polski. Nie tylko dlatego, że dokładnie od tego momentu PiS radykalnie stracił w sondażach, ale też z powodu zmian społecznych, które można zamknąć w hasło: „Kobiety od teraz mają głos”. Dlatego Tusk, nie mając wyjścia, uzależnił obecność na listach wyborczych PO od poparcia dla prawa do aborcji przeprowadzanej do 12. tygodnia ciąży, to dlatego Mateusz Morawiecki opowiada w Radiu Maryja, że od zawsze był zwolennikiem kompromisu aborcyjnego, a ludowcy chcą sprawę przerywania ciąży poddać pod głosowanie w referendum.

Stawką jesiennych wyborów jest cały pakiet zmian, których domaga się liberalna i lewicowa część społeczeństwa, czyli dostęp do legalnej aborcji i antykoncepcji, programy zasypujące nierówności płacowe, zajęcia z edukacji seksualnej w szkołach, a także jeszcze więcej transferów socjalnych dla rodzin. W tej narracji nie ma miejsca dla polskiego mężczyzny, dlatego w większości zagłosują oni na partię, które obiecują im zatrzymanie tych zmian.

NIE UFAJĄ NAM

A czy młodzi ludzie głosujący na prawicę po przegranych wyborach będą chcieli zdobyć Kapitol na wzór swoich amerykańskich kolegów? Prof. Cześnik: – Wątpię. W Polsce nie ma nastroju do zakładania partyzantek czy protestów ulicznych nieuznających wyniku wyborów. Kiedy PiS przegrywał wybory, to pokojowo przekazywał władzę następcom.

A czy młodzi są w stanie zaufać starym partiom, skoro każda z nich coś zepsuła? SLD uwierzył w neoliberalne czary, PO nie zrobiła porządku z umowami śmiecio-

wymi, PiS niszczy wszystko, czego się dotknę. Nikt na poważnie nie zajął się polityką mieszkaniową czy publicznymi mediami, a także dostępem do nowoczesnej edukacji. No i rzecz kluczowa: wszystkie te partie są zarządzane przez osoby obecne w polityce od lat. Pytanie zatem brzmi: czy młodzi wyborcy ufają liberalnym elitom? – Młodych drażnią dziadzi, to fakt. Nawet względnie młodzi politycy ok. 40. roku życia są mentalnymi dziadziadzi. I nie widać, żeby to miało się zmienić – odpowiada prof. Cześnik.

Osoby młodsze ode mnie o 10 lat, czyli 23-latkowie, opowiadają mi, że zagłosowały na partię, która rozwiązałaby problemy opieki zdrowotnej, mieszkalnictwa, systemu edukacji, dałaby obietnicę godnej emerytury nawet za cenę przesunięcia wieku emerytalnego w górę, a także ponadpartyjne zadekretowanie zrównoważonego rozwoju szanującego klimat. Bo o katastrofie klimatycznej nie wspomnieliśmy ani słowem. Wydaje się, że to jedyna rzecz, która łączy prawą i lewą stronę. ●

SKĄD TA NIEUFNOŚĆ

Ta wobec innych ludzi, całych grup społecznych i instytucji – skąd się bierze i co z nami robi? I czy nadmierne zaufanie do „swoich” jest równie groźne? Zastanowią się badacze i politycy – wśród nich Michał Boni, Adam Daniel Rotfeld, Hanna Machińska profesorowie Krystyna Skarżyńska, Andrzej Elias i Mikołaj Cześnik – na konferencji „Nieufność: źródła i konsekwencje” 16 czerwca na Uniwersytecie SWPS w Warszawie. Zapraszamy, wstęp wolny, obowiązują zapisy. Szczegóły na www.swps.pl

ZRYWAM Z SUKĄ

Dostaję wiadomości od młodych ludzi,
że dzięki mojej muzyce przestali bać się coming outu

Z QUEEROWĄ RAPERKĄ **ALJAS**
ROZMAWIA **IWONA GÖRKE**

Jak się żyje młodej twórczyni w stolicy?

– Trudno to jednoznacznie ocenić. Dużo czasu pożera mi praca i dojazdy, więc trochę mało czasu i energii zostaje, by tworzyć. Szczerze mówiąc, czuję się strasznie wyciurana, bo koszty życia w Warszawie nie pozwalają mieć pracy na pół etatu. Z drugiej strony Warszawa jest idealnym miejscem, jeżeli chodzi o możliwość rozwoju. Jest sporo klubów grających alternatywę, ludzie przychodzą tej alternatywy słuchać, jest prościej o kontakty z innymi twórcami.

Co robisz na co dzień?

– Jestem grafikiem komputerowym w firmie marketingowej. Mam parę planów ilustracyjno-wydawniczych. Doszłam się w grafice. Robię okładki płyt.

Trochę tego jest jak na przedstawicielkę pokolenia Z, ponoć skupionego na samorealizacji i czasie wolnym, niechętnego tyranii i z wymaganiami wobec pracy.

– Ale o każdym młodszy pokoleniu mówią tak te starsze! Już Sokrates pisał, że młodzież w jego czasach nie chciała pracować i nie szanowała starszych.

Chociaż rzeczywiście jesteśmy rozczarowani i mamy pretensje.

Bo jak zasuwasz całe dnie, widzisz, jak rosną ceny wszystkiego, ale twoja pensja stoi w miejscu, mimo nadgodzin – oczywiście niepłatnych, bo „łatwo można cię zastąpić” – to się trochę nie chce.

Nasze pokolenie jest zmęczone późnym kapitalizmem. Wiemy od liceum, że wyścig szczurów absolutnie się nie sprawdza. A wciąż słyszymy od różnych majątnych ludzi, że „wystarczy ciężko pracować”, „nie ma tak, że wszystko można dostać”. Niedawno duża agencja reklamowa zaoferowała mi 3,5 tys. na rękę. Wynajem kawalerki w Warszawie kosztuje 2,5 tys. No to słucham, jak zbudować poduszkę finansową, z czego odłożyć, w co zainwestować. Zaraz usłyszę: „Zamiast przepłacać za nie swoje, kup mieszkanie”. Tylko jak mam se wypracować zdolność kredytową? A inflacja zapierdziela.

Czyli to nie tak, że wy nie chcecie iść ścieżką rodziców i dziadków – ślub, dzieci, kredyt – tylko nie macie takiej opcji?



– Na płycie, którą niedługo wydaję, poruszam wiele finansowych kwestii, o których moje pokolenie dyskutuje. Nie chcemy tyrać, bo co nam z tego przyjdzie? Odkładać na mieszkanie? Ceny rosną tak szybko i tak bardzo, że ile bym nie odłożyła, nadal będę w punkcie wyjścia. Znam przypadki osób, które ryzykowały, szły na swoje, też się sparzyły. Ludzie mieli knajpy, biznesy usługowe, które bardzo dobrze prosperowały, ale walnęła pandemia i tracili wszystko.

Wchodzimy w dorosłość w rzeczywistości, w której masło przez dwa lata skoczyło z 4 do 9 złotych, zaskórniaki z funduszy na czarną godzinę państwo przejada, za granicą toczy się wojna, a im goręcej się robi za oknem, tym droższa woda w kranie. To co się dziwić, że zamiast harować z założeniem, że a nuż znajdę się w tych 10 proc. szczęśliwców, którym się ułoży, a jak nie, to chociaż ten zapierdziel zwróci się w postaci kilkuset złotych więcej w emeryturze, chcemy czuć się dobrze tu i teraz. Zadbaj o siebie, swoje zdrowie, gdzieś pojechać, coś zobaczyć, pożyć.

Na TikToku jednym z najpopularniejszych polityków jest Sławomir Mentzen. Aż 14 proc. Polaków między 18. a 24. rokiem życia chce głosować na Konfederację, która przekonuje młodych wizją znikomych podatków. Co jakoś odpowiada na wasz bieżący problem – nie mamy hajsu! – ale na dłuższą metę tylko nakręci te wszystkie systemowe bolączki, o których mówisz. A tymczasem w twoim gatunku muzycznym status materialny też staje się coraz ważniejszy. Zawsze był, ale dawniej równolegle rapowano o walce z systemem, opresywności policji, biedzie, socjału.

– Jestem rozczarowana mainstreamowym hip-hopem. Śmiesznie posłuchać Żabsona i „10 000 w portfelu”, takie treści najczęściej podają faceci, albo na starcie bardzo dobrze usytuowani, jak Mata, albo tacy jak Taco Hemingway. Którzy zaczynali z nizin – przecież on na początku śpiewał, że szuka pracy, jeździ metrem i prosi mamę o przelew – i dorobili się dzięki ciężkiej pracy i talentowi, no ale siłą rzeczy teraz już im trudniej złapać kontakt z rzeczywistością.

Dla milenialsów, takich jak ja, to, o czym śpiewał, było ważne. Niektórzy mówili nawet, że jest głosem pokolenia.

– A teraz już nie jest, choć się stara. To nie jest wina jego ograniczeń mentalnych, tylko pozycji, jaką zajmuje, bo najpewniej jest tym jednym procentem najbogatszych w Polsce.

A Club 2020? Same głosy waszego pokolenia, projekt, jak czytam na jednym z portali, „dedykowany zetkom”.

– Który zbiera wszystkich gości robiących piosenki o tym samym, czyli flex*, swag** i kasa, kluby, narkotyki i chłanie.

Kiedyś ten opiewany w rapie status materialny miał inny kontekst. Złote łańcuchy i sygnety dopełniały opowieści takich raperów, jak 50 Cent, o tym, że kiedyś żyli w blokowiskach, walczyli o przetrwanie, ale się wybili, zarobili na te złote kajdany i dobre samochody. Oczywiście ich przekaz był taki – wdrapałem się, sam, ty mi rękoma – ale to, co nosili, podkreślało ich punkt wyjścia. A teraz? To, co noszą raperzy, i tak by nosili, nimi nie będąc, bo są w większości z klasy średniej.

Nie mówię, że jest coś złego w byciu z klasy średniej, też z niej jestem, czy w byciu bogatym człowiekiem, jak Mata, i rapowaniu. Rap po prostu przeszedł tę samą drogę, co wcześniej rock. Wyszedł z podziemia, przestał być kontrą, stał się mainstreamem. W pewnym momencie rockmani zaczęli śpiewać o tematach i życiu

białych facetów z klasy średniej w średnim wieku, a teraz raperzy rapują o życiu białych facetów z klasy średniej wkrótce w średnim wieku.

Ale w Club 2020 obok facetów jest Young Leosia. Może i jej „Szklanki”, którymi zawojowała YouTube’a, też były o imprezach, zabawie i korzystaniu z życia, traktowanych jak powietrze, coś oczywistego i niezbędnego – czyli tak naprawdę o odziedziczonym statusie – ale jednak ona wnosi aspekt buntowniczy i egalitarny. Bo jest kobietą w bardzo macyzystowskim środowisku. Podważacie szklany sufit?

– Pisałam magisterkę o mizoginii i o feminizmie w rapie, co prawda w kulturze amerykańskiej, ale na polskiej scenie da się zauważyć podobne mechanizmy. Raperki mają patronów, dzięki którym udaje im się wybić. Young Leosia miała Żabsona, Oliwka Brazil – Smolastego, nie wiem, jak było z Dziarmą, ale ona długo działała, zanim stała się bardziej znana. W USA Nicki Minaj wybiła się, bo miała Lila Wayne’a, Lil’ Kim, bo Biggie Small.

W Polsce ten sufit podważa raczej podziemie i raperki, które są pomiędzy nim

Aljas

• raperka (nie identyfikuje się stricte jako kobieta, przedstawia się feminatywem dla ułatwienia), aktywistka LGBT, aktywna na YouTube i TikToku (jej tiktokowy profil Aaljas. jestem ma 185 tys. obserwujących i 8 mln polubień).

i mainstreamem, jak Bambi. W samym mainstreamie dziewczyny są superzdolne, ale tematyka pozostaje podobna do męskiej, z dodatkiem „girl boss”.

A tak w ogóle jesteś pierwszą osobą, która zadaje mi inne pytania niż wszyscy. Bo my, queery, śmiejemy się, że jak do nas ktoś dzwoni po wywiad, to na pewno wkrótce idzie jakaś Parada Równości albo zaczyna się Pride Month. A pierwsze pytanie jest o seksualność, płęć i queer w muzyce.

Trochę trudno się dziwić. Skoro o to walczycie i to ważny temat waszej twórczości.

Transpłciowi mężczyźni mówią, że po tranzycji są lepiej traktowani. Nawet bliscy nagle im nie przerywają, dłużej ich słuchają, nie komentują ich wagi, bardziej liczą się z ich opinią

– Nie narzekam, tylko cieszę się, że mogę powiedzieć o czymś innym, szerszym, o różnych rzeczach, które zajmują mnie oprócz queer.

Queer i kobiecość łączy – i w necie, i w rapie – hejt. Oliwka Brazil, która nie wpisuje się w instagramowy wzorzec, a do tego mocno bezpośrednio rapuje o seksie, spotkała się z gigantyczną falą hejtu. Raperów internauci oceniają na podstawie ich twórczości, raperki – twórczości i ich wyglądu. I to dość dosadnie.

– To odzwierciedla, w jakim społeczeństwie żyjemy, a żyjemy w społeczeństwie, w którym kobiety są postrzegane, a nie widziane. Rozmawiałam z mężczyznami transpłciowymi, którzy przeszli tranzycję. Mówią, że teraz, gdy „zmężnieli”, są lepiej traktowani! Nawet przez bliskich, którzy nagle im nie przerywają, dłużej ich słuchają, nie komentują ich wagi, bardziej liczą się z ich opinią. Tak głęboko w podświadomości tkwią te kulturowe schematy.

No i nie da się być kobietą i nie dostać jakiejs etykiety. Pod teledyskami tak samo brzmiących i śpiewających o tym samym chłopczków jest po kilka komentarzy, w którym ktoś ewentualnie napisze, że coś jest po prostu słabe. A pod naszymi kilkadziesiąt albo i więcej komentarzy, a wszystkie dotyczą tego, jak któraś wygląda. Raczej w obrzydliwej formie.

Kiedyś Żabson i Rusina zarapowali, że kobiety mają cieczkę. Skomentowałam, że cieczkę to mają psy, a jeśli oni uprawiają seks z psami, to gratuluję. Na prywatnym Instagramie, ale ktoś zrobił screena, GlamRap*** napisał o tym artykuł i zaczęłam dostawać groźby śmierci! Na Instagramie, na maila, na Facebooku, pod moimi filmikami na YouTube, musiałam ograniczyć TikToka.

Zwróciłam uwagę w dość nieładny sposób, przysnąję, ale gdyby to napisał męski raper, to wszyscy by się nakręcili, że on broni kobiet i nie zgadza się na seksizm.

Takie podwójne standardy widać w reakcjach na to, o czym rapują kobiety i mężczyźni. Gdy faceci rapują o swoich penisach i cudzych piersiach, to w porządku, ale gdy kobiety rapują o swoich piersiach i cudzych penisach, podnosi się larum.

– Bo kiedy robi to mężczyzna, zaznacza swoją dominującą pozycję. A kiedy robi to kobieta, to poniekąd się wyzwała. I gdy nie wpisuje się w żadną z ról najczęściej przypisywanych kobietom – dziewicy, matki czy prostytutki – albo po prostu wylamuje ze znanych i spodziewanych ram, to budzi agresję. Ale to wynika z setek lat uwarunkowań kulturowych, a taki bagaż trudno z dnia na dzień porzucić, dlatego nawet ludziom dobrej woli i świadomym zdarzają się niefajne odruchy.

Ale w tym pesymizmie jest jakiś optymizm, na zasadzie, że jak jest źle,

to znaczy, że może być lepiej. I to się dzieje w rapie – ten konserwatywny, seksistowski, homofobiczny gatunek jest wykorzystywany przez twórców takich jak Lulu i Uazik czy Susk do opowiadania o queer, płci, społeczności LGBTQ+.

– Często słyszę: ja nie słucham hih-hopu, ale ty robisz supermuzę. I nie chodzi tylko o to, że moim słuchaczom podoba się to muzycznie, tylko o to, że te dzieciaki mają w końcu kogoś, kto mówi o rzeczach, z którymi mogą się utożsamiać.

Od kilku lat wątki queerowe eksplodowały w popkulturze. Powstają seriale i filmy o homoseksualnych bohaterach, są już nawet komedie romantyczne, coraz więcej twórców i osób publicznych dokonuje coming outów. To chyba pomaga dzieciakom i nastolatkom, zwłaszcza w tak nieprzychylnym klimacie politycznym jak u nas.

– Mam nadzieję. Ja jako nastolatka słuchałam głównie Nirvany czy Led Zeppelin, bo miałam dużo frustracji związanych z dojrzewaniem, a nie było w muzyce treści, z którymi mogłam się utożsamiać, więc skłaniałam się ku gniewnej, przekornej formie. Wiele queerowych osób z mojego pokolenia zna świetnie angielski, bo tylko w anglojęzycznych mediach i tworach mogliśmy czuć się reprezentowani. Teraz to się zmienia.

Dużo osób tak od 13. do 20. roku życia rozmawia ze mną po koncertach. Podchodzą, trzęsą im się ręce. Albo dostaję wiadomości od młodych ludzi, że dzięki mojej muzyce przestali bać się coming outu. Ale piszą też osoby, które nie wiedzą, jak sobie poradzić z tym, że nie mają kolegów, bo mieszkają w małym mieście albo wiosce i wydaje im się, że są jedynym chujowym dzieckiem w okolicy.

Jak reagujesz?

– Gdy byłam młodsza, to bardzo chciałam napisać do kogoś starszego, kto mógłby być dla mnie takim małym idolem, chciałam z nim porozmawiać, zapytać, jak sobie w ogóle daje radę. Ale te kilka lat temu nie było na naszej scenie nikogo takiego, nie było osoby, dzięki której mogłabym się czuć reprezentowana. Dlatego staram się odpisywać.

I co odpowiadasz?

– Że później jest trochę lepiej. I piszę, co mi pomagało nie czuć się samotnie. Ja szukałam na Facebooku różnych grup, które odpowiadały moim zainteresowaniom, takim jak fantastyka czy anime. Na konwentach miło było pogadać z kimś, kto jest do nas chociaż trochę podobny. To nie znaczy, że innym polecam akurat te dziedziny, po prostu podpowiadam, żeby spróbować wejść w środowisko związane z twoim hobby czy pasją.

A jeśli dowiaduję się czy wyczuwam, że dana osoba ma większy problem, to polecam rozmowę nie tylko z kimś zaufanym, ale też kontakt z odpowiednimi instytucjami, jak Telefon Zaufania czy Transfuzja. Tyle mogę zrobić.

Rozmawiamy o hejcie na rapujące kobiety, ty jesteś rapującą kobietą, w dodatku queer, ale pod twoimi teledyskami na YouTube nie ma chamstwa i agresji. – Bo mam ustawioną blokadę dla pewnych słów. Słucha mnie środowisko LGBT+, często młode osoby, i nie chcę, by trafiały do nich nienawistne komentarze. Nienawiści mają wystarczająco w przestrzeni publicznej, choćby tej z politycznej propagandy.

Trudniej jest z TikTokiem. Niedawno opowiadałam tam, że będę przechodzić jedynkę, czyli operację usuwania piersi, że noszę bindery, bo nie lubię mojej klatki piersiowej, mówiłam, co trzeba zrobić, by ją spłaszczyc. Wśród komentujących znalazły się chłopaczki, które pisały, że takie operacje powinny być zakazane, a takich jak ja powinno się wysyłać na leczenie psychiatryczne. Blokuję takich ludzi. Nie chcę, by szambo się wylewało.

W prywatnych wiadomościach i komentarzach dostałam już wszystkie możliwe wiązanki. 99 proc. komentujących w taki sposób to mężczyźni. Niektórzy upubliczniają takie rzeczy, żeby nagłaśniać problem hejtu i ukarać nienawistnika. Rozumiem, ale ja nie reaguję publicznie, bo nie chcę, by moje platformy w mediach społecznościowych nakręcały kłótnie i gównoburze.

Wspomniałaś, że w każdym wywiadzie pytają cię o to samo. Może dlatego, że jesteś reprezentantką środowiska, które długo było niewidoczne, bo w undergroundzie? A teraz stajecie się widoczni, queer hip-hop dociera nie tylko do dobrych liceów w Warszawie, ale też na Podkarpaciu i na Podlasiu – i to ciekawi. – Dlatego wkurzam się tylko trochę. Zdaję sobie sprawę, że oczywiście i skoncentrowane na seksualności pytania nie są winą człowieka, który je zadaje, ale sytuacji, w jakiej jesteśmy. Nie jesteśmy standardem.

Tylko innym, którego trzeba ośwoić?

– Takiego Żabsona raczej nikt nie zapyta, dlaczego rapuje o kobietach. Queerowego artystę – tak. Dlatego odpowiadamy cierpliwie na te same pytania. Bo musimy. Przecież też dlatego zaczęliśmy śpiewać.

Masz poczucie misji?

– Jasne, że tak! Jak byłam młodsza, to chciałam, by ktoś śpiewał z poczuciem misji o takich jak ja. Kiedyś mi wystarczyło zrobienie bangera, mógł być o czymkolwiek, teraz, gdy robię bangera, nawet z drillowym bitem****, który można puszczać w samochodzie, to np. o tym, że Kocham moją dziewczynę. Ale w moich kawałkach nie usłyszysz rutynowego w hip-hopie „dupa” czy „suka”. Trzeba zacząć czyścić język.

Ale nie unikasz wulgaryzmów.

– Muszę nad tym popracować, jeżeli chcę być puszczana w polskich rozgłośniach. Od Czwórki usłyszałam, że nie puszcza mojej muzyki, bo za dużo przeklinam. Obowiązuje ich ustawa o języku polskim. Ale pragmatyzm to niejedyny powód. Ostatnio na targach fantastyki mnóstwo ludzi mówiło mi i mojej dziewczynie, że

nas znają i że chciały pokazać moją muzykę mamie, żeby w ten sposób przemycić temat queer, ale nie mogą, bo przeklinam.

Rap bez przekleństw wydaje się niemożliwy.

– Da się. Odkryłam, że jestem w stanie zrobić agresywny i kontrowersyjny numer bez przeklinania. A już na pewno bez używania słów odnoszących się do płci, które mają obrażać czy uwłaczać. Bo te wszystkie „suka”, „dupa” niby w hip-hopie nie są używane w standardowym negatywnym kontekście, ot, taka konwencja – ale przecież pozostają nacechowane. One nie ważą tyle samo co „fiut”. Bo co znaczy „fiut”? Że ktoś jest niemiły, nieprzyjemny w obyciu. A „suka”? Wszyscy wyczuwamy, o co chodzi.

Słowa świadczą o tym, jak traktujemy kobiety. I ja też w niektórych numerach się nimi posłużyłam, zgodnie z kanonem gatunku. Przemyślałam to, doedukowałam się i uznałam, że wystarczy. I nie tylko ja. Rozmawiałam o tym z kolegami raperami. Zajęli podobne stanowisko.

A ja chciałam zapytać o zaimki. Czasem mówiąc o sobie, posługujesz się zaimkami

Słyszemy, że „wystarczy ciężko pracować”, „nie ma tak, że wszystko można dostać”. Duża agencja reklamowa zaoferowała mi 3,5 tys. na rękę. Wynajem kawalerki w Warszawie kosztuje 2,5 tys.

mi kobiecymi, czasem męskimi. Nawet w tym samym utworze.

– Używam ich zamiennie, bo jest mi niewygodnie mówić „ono”. Zaimki nie mają dla mnie większego znaczenia, zawsze wolałam być neutralna genderowo.

Kojarzysz taką bajkę „Fineasz i Ferb”? Tam jest Pepe Pan Dziobak. Jak zakłada kapelusz, to staje się Agentem Pepe Pan Dziobak. Czuję się trochę podobnie. Bo jak pokazuję się bez kolczyków, to mówią do mnie per pan. A jak mam takie małe drobiazgi, to jestem „panią”.

Byłam na jednym z twoich koncertów i zapamiętałam trzech chłopaków, którzy trafili na niego przypadkiem. Jak weszłaś na scenę, byli bardzo zaintrygowani, czy jesteś kobietą czy mężczyzną.

– Rozumiem, dlaczego to intryguje ludzi, niemniej to dość zabawne, że nie mamy większych problemów niż przypisanie kogoś do konkretnej płci. W jednej z piosenek śpiewam: „Ja nie jestem żadna pani, wbił se to do bani, ale czemu cię to martwi, jakbyś nie miał innych zmartwień”.

Niektórzy chodzą dookoła mnie tak dwacznie, przyglądają się, czają.

Reagujesz jakoś na takie obserwacje?

– Zależy od sytuacji. Bo one nie zawsze są jednoznacznie nefajne. Jakiś czas temu szłam z kolegą, który ma długie włosy. Niosłam kwiatek. Mijał nas jakiś dres, przypakowany, na oko agresywny, i rzucił. „E, ty, kolo, oddaj mu tego kwiatka”. Ale za chwilę się odwrócił: „O przepraszam”. Jednych wygląd takich osób jak ja, niejednoznacznych, frustruje, innych ciekawi, jeszcze innych peszy.

Konfrontujesz się czasem z frustratami i ciekawskimi?

– Kiedyś stałam na przystanku z moją byłą dziewczyną i w pewnym momencie ona mówi, że się boi, bo wokół nas krąży jakiś koleś. Zaczęłam się wgapiać w tego koleśia,

trochę się oddalił, ale wciąż się nam przypatrywał, więc podeszłam do niego. Zapytałam, czy ma jakiś problem. Usiadł na przystanku, posiedział chwilę, powiedział, że skąd, i zmył się. Innym razem w sklepie dzieciaki, takie 12-13 lat, chodziły wokół mnie, śmiały się. Miałam czapkę z daszkiem, a one próbowały pod nią zajrzeć. Nie dam siebie traktować jak jakiś eksponat w muzeum albo cyrku.

Tak samo nie odpuszczam, gdy ktoś krzyknie sobie „pedał”. Nie będę zadziierać z roslymi typkami, ale wszystkim innym zwrócę uwagę. Nie można spokojnie przejść ulicą, bo są osoby, które koniecznie muszą wygłosić jakąś uwagę. Ile razy słyszałam coś w rodzaju: „Koleś, chyba na sterydach jesteś, bo ci cyce za bardzo urosły”. To nie jest internet, że mogę taką osobę zablokować, na żywo trudniej zignorować takie uwagi.

A myślę, że niektórzy ludzie pozwalają sobie na nie, ponieważ zwyczajnie nikt im nie zwracał uwagi. Moja społeczność jest raczej niekonfrontacyjna, bo i tak mamy przejebane. Noszę przy sobie gaz pieprzowy, czasem pałę, dzięki Bogu nigdy nie musiałam ich użyć, ale jak będzie trzeba, to się

Niemniej twój dyplom na zakończenie studiów licencjackich wzbudził duże emocje.

– Z moim promotorem wiedzieliśmy, że nie możemy dużo powiedzieć komisji o tej pracy, bo się przestraszą. A i tak kiedy na spotkaniu dopuszczającym opowiedziałam o założeniach, było dziwnie. To miała być praca interwencyjna, pokazałam awatara, za pomocą którego chciałam odwiedzać sekschaty, rozmawiać z ich użytkownikami. Pierwsze pytanie, jakie dostałam, dotyczyło tego, czy ja siebie taką pracą nie skrzywdzę. Zdziwiłam się, więc profesor uściślił. Nie zdążyłam zapytać, czy gdyby z takim pomysłem przyszedł student mężczyzna, też zostałby uraczony takim tekstem, bo dziekan szybko skończył to spotkanie.

Wszystko zrobiłam, jak planowałam – weszłam w środowisko sekskamerek, rozmawiałam z użytkownikami. Ostatecznie dostałam dyplom z wyróżnieniem.

To nie tak, że dla zasady kontestuję akademię. Ona jest dwuznaczna, z jednej strony prestiż i droga rozwoju, z drugiej dużo hipokryzji, kija w tyłku, ograniczania działań niewygodnych dla wizerunku insty-

tucji. Ale można tam odnaleźć naprawdę wspaniałych mentorów i możliwości. Niestety niedawno odszedł mój promotor, profesor Włodzimierz Szymański. Dydaktyk jakich mało, z oddanym gronem studentów, przykład relacji mistrz – uczeń. To on pokazał mi, jak krytycznie myśleć o systemie, jak konfrontować się z przeszkodami i konwencją, jak stawiać się hipokryzji instytucji. Robiłam u niego dyplom magisterski, czyli trzy utwory i teledyski, m.in. „Akademię Pana Flexa”. Życzę każdemu, by mógł spotkać kiedyś na swojej drodze takiego Włodka. ●

A czy queer w rapie to nie jest chwilowa zjawka? Wiesz, social media was dostrzegły i poniosło się, ale zaraz dostrzegą coś innego?

– Nie, bo społeczność queerowa będzie przecież obecna w społeczeństwie tylko coraz bardziej. Już się nie schowamy z powrotem do szafy. Może gdy nasza sytuacja się poprawi, to będziemy więcej rapować o melanżach, wakacjach i serialach, ale nie sądzę, żeby aktywizm uwiadł. U korzeni tego gatunku jest w końcu kwestia tożsamości. Popatrz na czarnoskórych raperów. Nawet jeśli najchętniej kręą klip o tym, jakimi są macho, z dziewczynami wijącymi się na masce ferrari nad basenem, to i tak tożsamość w nich siedzi. I co któryś utwór wraca temat przemocowej policji, nierównych szans, koloru skóry.

W ubiegłym roku skończyłaś warszawską ASP. Nie szczędzisz krytyki edukacji artystycznej i instytucjom sztuki.

– Znajomi z ASP ostrzegali mnie przed pójściem na akademię, ale nie żałuję. Nauczyłam się wielu rzeczy, spotkałam wielu profesorów, którzy pokierowali mnie artystycznie w dobrym kierunku.

*popisywanie się dobrami materialnymi i statusem, przesadnie lub w nieadekwatnych sytuacjach
**ogólny lans
***jeden z największych portali raportowych w Polsce o charakterze raczej plotkarsko-celebryckim
****banger – przebój z mocnym, głośnym rytmem; drill – agresywny beat, któremu często towarzyszy mroczny przekaz

 | **magazyn wyborczej** **WOLNA SOBOTA**

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski

WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński

GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski

FOTOEDYCJA: Sylwia Tukendorf

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak

DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.





eprasa.pl 86562def18

1 RP

PO PRAWDZIE

Marsz?
Jaki marsz?

Jest młodą kobietą, zależy od unijnych funduszy, zmaga się ze służbą zdrowia i deklaruje, że polityka jej nie dotyczy.

Agnieszka Kublik

W poniedziałek, 5 czerwca, dzień po ogromnym sukcesie opozycji, jakim był marsz 4 czerwca, zadzwoniła do mnie Ania, znajoma, z pytaniem, jak mi minęła niedziela. No cóż, pracowałam, dzień mi upłynął na siedzeniu przed telewizorem, bo służbowo oglądałam TVP Info, by wiedzieć, jak zrelacjonują marsz (rzecz jasna, nie relacjonowali, tylko opluwali). – Jaki marsz? – zdziwiła się. Tak, nie miała pojęcia, o czym mówię. Ma nieco ponad 30 lat, jest informatykiem, ma własną firmę. I wiele na głowie. Od lat zmaga się z chorobą, której nie potrafią zdiagnozować lekarze. Wydała tysiące w prywatnych gabinetach lekarskich i na badania. Gdyby liczyła na lekarzy z kontraktami z NFZ, nadal by czekała na pierwszą wizytę. Choroba przez długie miesiące uniemożliwiała jej pracę. W jej branży wiele projektów wstrzymano, bo inwestycje zależą od unijnych fun-

duszy. Były współnik okazał się nieuczciwy, będzie musiała pewnie dochodzić swoich praw w sądzie. Jej najbliższa przyjaciółka jest w ciąży, wizyty u lekarza to potworny stres, bo co będzie, jeśli pojawi się jakiś problem? W niedzielę przez Warszawę przeszło mniej więcej pół miliona ludzi zmęczonych rządami PiS. To była największa manifestacja po 1989 roku. Trudno o lepszy dowód, jak bardzo PiS wkurzył Polaków. A manifestacje były i w innych miastach – w Częstochowie, Gorzowie Wielkopolskim, Krakowie, Radomiu, Szczecinie. Oraz w Berlinie, Brukseli, Chicago, Frankfurtu nad Menem, Genewie, Londynie, Nowym Jorku, Oberhausen, Paryżu, Rzymie i Toronto. Eksperci szacują, że w mediach społecznościowych zasięg wpisów o tym niedzielnym marszu to ponad 220 mln. A jednak Ania nic o tym nie wiedziała. – No wiesz – tłumaczy się – mnie polityka nie obchodzi, mnie to nie dotyczy, wszystko mi jedno, kto i po co maszeruje, mam ich wszystkich dosyć, jedni warci drugich. Możemy się dziwować, jak to możliwe, że Ania nie ma pojęcia, jak bardzo jej codzienne życie zależy od polityki – ale lepiej, żebyśmy przed jesiennymi wyborami „o wszystko” uświadomili sobie, że tacy ludzie są. I trzeba o nich zadbać. A kto powinien zadbać? Po części za takie niepolityczne myślenie odpowiada Platforma Obywatelska.

Tak, tak, to PO jesienią 2010 przed wyborami samorządowymi ustawiała przy drogach billboardy z hasłami: „Nie róbmy polityki. Budujemy mosty”, „Budujemy Polskę”, „Budujemy szkoły”, „Budujemy drogi”. Zamyśl wydawał się słuszny: odciąć się od polityki w stylu PiS – rozumianej jako politykierstwo, przekrzykiwanie się, sianie nienawiści, martyrologia i wojna kulturowa – i w kontrze pokazać, na czym polega prawdziwa troska o kraj. Ale czegoś zabrakło. Połączenia kropek tak, żeby dla wszystkich było jasne, że te mosty, szkoły, drogi to właśnie polityka. I służba zdrowia, i sądy. I że codzienne życie Ani jest zależne od decyzji polityków. Czas zadbać, by Ania to sobie uświadomiła. Bo tak: Czekanie na wizytę u lekarza, który ma podpisany kontrakt z NFZ, to koszmar. Np. w jednej placówce w województwie mazowieckim na wizytę u endokrynologa trzeba czekać aż 6 lat. A w jednym ze stołecznych szpitali najbliższy wolny termin na operację zaćmy wypada w 2033 roku. Bo tak: Jeśli Ania pójdzie do sądu, to czy może być pewna uczciwego, niezależnego procesu? Pod koniec 2021 r. portal Prawo.pl szacował, że aż 4 miliony decyzji mogli wydać sędziowie powołani z udziałem neo-KRS. I te decyzje mogą zostać zakwestionowane – i w sprawach cywilnych, i w karnych, i w administracyjnych można je podważyć dla-

tego, że są wątpliwości co do składu sędziowskiego. W tej sytuacji każdy obywatel ma prawo wiedzieć, że być może w jego sprawie decyzję wyda sędzia, co do którego niezależności są wątpliwości. Bo wydane przez niego orzeczenie może być dotknięte fundamentalną wadą, nie tu i teraz, ale na zawsze. A to się dzieje. Sędziowie, powołując się na wyroki trybunałów w Luksemburgu i Strasburgu, kwestionowali orzeczenia neosędziów, nie chcieli z nimi orzekać lub badali ich umocowanie. Państwo PiS chciało zakazać sędziom badania niezależności innych sędziów, napisało sobie tzw. ustawę kagańcową, która powiada, że „niedopuszczalne jest kwestionowanie umocowania sądów i konstytucyjnych organów państwa. Niedopuszczalne jest ustalanie lub ocena zgodności z prawem powołania sędziego”. Za złamanie tego zakazu grozi sędziom najsurowsza kara – usunięcie z zawodu. TSUE właśnie orzekł, że rząd naruszył unijne prawo, blokując sądom możliwość badania niezależności sędziów oraz karząc dyscyplinarnie za takie badanie. To już czwarty wyrok w sprawie przejmowania przez PiS sądów. Poprzednie sprawy też przegraliśmy. A codzienne, wymierne z perspektywy Kowalskich efekty tego, co PiS wyrabia w sądach? W warszawskim sądzie okręgowym na pierwszą rozprawę czeka się nawet 2 lata, a czas oczekiwania na wyrok sądu jest w Polsce coraz dłuższy. Bo tak:

Ponieważ rząd PiS broni swojego prawa do niepraworządności, a Unia upiera się, by pilnować, by Polska była praworządna, nie mamy europejskich funduszy. Popandemiczny Krajowy Plan Odbudowy wstrzymany – a chodzi o blisko 150 mld zł w bezpośrednich dotacjach i tanich pożyczkach. Bo tak: Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego Przylębskiej ciężę prowadzi nie tylko lekarz, ale też policja, prokuratura, a nawet wścibski sąsiad. Teraz lekarz, który chce ratować życie kobiety w ciąży, może się bać, czy nie pójdzie za to siedzieć. Zaglądam do majowego sondażu Kantar Public. Rówieśnicy Ani (25-34 lata) na szczęście są bardziej niż ona zainteresowani polityką. 63 proc. deklaruje, że pójdzie jesienią wybierać posłów i senatorów (średnia ogólnopolska to 69 proc.), 13 proc. jeszcze nie wie. 24 proc. nie obchodzą wybory parlamentarne. Słabo – ale na szczęście zaledwie co 10. rówieśnik Ani dziś deklaruje, że poparłby PiS (średnia ogólnopolska to 37 proc.). Koalicja Obywatelska dostałaby od nich 26 proc., tyle samo co Trzecia Droga Hołowni i Kosiniaka-Kamysza. Konfederacja 18 proc., a Lewica 15 proc. Opozycja wygra, jeśli przekonają Anię, że wybory to taka polityka, która ma dla niej znaczenie. Na co dzień. ●

Działając w imieniu TVN S.A. z siedzibą w Warszawie oświadczamy,

że w ramach produkcji i emisji filmu „ZWYCIEŻYMY Wybory ‘89”

Część 1 oraz Część 2 doszło do naruszenia przez TVN S.A. autorskich praw

osobistych Pana Piotra Augustynka i Pana Andrzeja Jaskowskiego poprzez

wykorzystanie, bez ich zgody, utworów filmowych ich autorstwa, jak też

poprzez ich udostępnienie osobom trzecim bez zgody autorów, z naruszeniem

prawa do pierwszej prezentacji publicznej.

udzki mózg ma niezwykłą zdolność przenoszenia nas w czasie i przestrzeni. Dzięki niemu budujemy światy baśni, legend i mitów, w których mogą istnieć inne prawa fizyki lub fantastyczne stwory.

Dziś władcy świata technologii zapewniają, że podobne światy może wykreować ich armia programistów. Mają to być metawersum, rzeczywistości pozwalające na pełne zanurzenie (immersję) w przestrzeni wirtualnej.

PLAC ZABAW DLA BIG TECHÓW

Zapowiedź ta – przynajmniej na początku, po dużym zmęczeniu pandemiczną izolacją – wydawała się obiecująca. Platformy, z których korzystaliśmy w trakcie pandemii, nie dały nam doświadczeń współpracy i współprzebywania, a wręcz doprowadziły do potężnego zmęczenia przebywaniem przed ekranami.

Choć Meta wprowadziła metawersum na salony i do powszechnej świadomości już ponad rok temu, to wciąż nie ma pełnej zgody co do tego, czym jest lub będzie. Zuckerberg definiuje je przez społeczne doświadczenia, twórca gier i aplikacji do wirtualnej rzeczywistości Epic VR mówi o placu zabaw, a Matthew Ball, autor książki „Metawersum. Jak internet przyszłości zrewolucjonizuje świat i biznes”, odwołuje się do hipotetycznego istnienia wielu różnych wszechświatów połączonych ze sobą. Nie ma też pełnej zgody co do elementów metawersum: czy oznaczają one tylko immersyjną rzeczywistość wirtualną, czy jednak realizują się także przez rzeczywistość rozszerzoną, prowadząc w perspektywie do pewnego miksu różnych rzeczywistości. Otwarte pozostaje też pytanie, w jaki sposób będziemy doświadczać metawersum: czy za pomocą okularów VR, technologii haptycznych (np. specjalnych rękawic), a może wystarczy do tego urządzenie mobilne.

Matthew Ball zwraca szczególną uwagę na to, że pomiędzy poszczególnymi wirtualnymi światami można się przenosić, wymieniać dane i dobra wirtualne czy awatary. Zwraca jednak też uwagę na to, że „wspólne doświadczenia” istnieją raczej w sferze obietnic, bo wciąż są potężnym technologicznym wyzwaniem dla twórców.

Metawersum ciągle istnieje w formie załączkowej i nie do końca wiemy, czy ten nowy świat pomoże nam uporać się z wyzwaniami jutra, czy może sam stanie się wyzwaniem. Tym bardziej że od szumnych zapowiedzi Zuckerberga minął dobrze ponad rok. W tym czasie wybuchła wojna w Ukrainie, na cały świat rozpełzła się inflacja, a branża tech w USA na przełomie roku zwolniła niemal 300 tys. osób – w tym część programistów, którzy mieli budować nowe cyfrowe imperium Mety. Zadyszka technologiczna, w którą wpadła branża, pozwoliła nam złapać głęboki oddech i zadać pytania o naszą gotowość na metawersum: społeczną, prawną i polityczną.

Na ile zatem obietnice składane przez metawersum wciąż są atrakcyjne? Czy niemal 1,5 roku po jego ogłoszeniu wciąż wierzymy, że będzie przyszłością internetu? I na ile może rozwiązać współczesne problemy, a na ile wywołać nowe?

METAWERSUM ZAMIAST USŁUG

Imitacja miejsca, w którym można pracować i przebywać z innymi bez wychodzenia z domu, jest bardzo kusząca. Pandemia uświadomiła nam, że spotkania na Teamsach i Zoomie mają swoje ograniczenia, ale gdyby awatar musiał przejść te same etapy, które przechodzi człowiek przed wyjściem z domu (wypić kawę, ubrać się, ułożyć włosy i zrobić makijaż), a dopiero potem przekraczał próg miejsca pracy (czyli logował



METAŚWIAT, CZYLI JESZCZE GORZEJ?

**Bo po co studiować w Polsce, skoro można
w metawersum?**

Tylko czy ten konstrukt przetrwał próbę czasu?

Edyta Sadowska*, Piotr Łubiński**

się do wspólnej przestrzeni), to może udałoby się uciec przed „zmęczeniem ekranami”? Plusy są oczywiste: praca bez dojazdów, spotkania z przyjaciółmi z wygodnego domowego fotela, wspólna joga na karaibskiej plaży, trening squasha w 15-minutowej przerwie i wieczorne zwiedzanie Wielkiego Muru Chińskiego. Co może pójść nie tak?

Niestety, dużo. Świat metawersum powstający w USA i wpisany w jego DNA dopasowany będzie w pierwszej kolejności do użytkownika amerykańskiego. A dzisiejsze USA to świat gigantycznych nierówności społecznych i materialnych. Miejsce, w którym istnieje niespotykana w innych krajach najbardziej rozwiniętych przemoc związana z gangami, powszechnym dostępem do broni. To świat, w którym dobrze żyje się coraz mniejszej grupie osób. Klasa średnia, która była zawsze motorem napędowym rozwoju USA, zanika. Podobnie jak zanikają zamożne przedmiścia powstałe w latach 60. Klasa średnia to nie zamożni pracownicy fabryk samochodów, tylko grupa walcząca o materialne przetrwanie.

Nie pomaga też charakter amerykańskiego kapitalizmu. Bardzo mała obecność państwa, niskie podatki i niska cena paliwa. Tyle że ten model już nie działa. W USA infrastruktura publiczna stoi na znacznie niższym poziomie niż w Europie. To wszystko powoduje, że państwo nie oferuje wiele mieszkańcom, a wiele obszarów jest niebezpiecznych. Zresztą wystarczy popatrzeć na europejskie koleje, miasta, przedmiścia, place zabaw dla dzieci. W tym zakresie USA bardzo odstają na niekorzyść.

I tu pojawia się obietnica metawersum, świata, w którym ubożsi mieszkańcy mogą za pomocą gogli VR zmienić swoją percepcję rzeczywistości. Nie muszą wychodzić na spacer na przedmiściach, gdzie nie ma infrastruktury. Nie muszą jeździć 2 godz. do pracy i stać w korkach. Mogą się zamknąć w gettach swoich domów, ogródków i przestać obawiać strzelanin na ulicach. Niższa klasa średnia to idealny adresat VR. I nagle ci ludzie dostają od prywatnej firmy erzac lepszego życia. A państwo nie musi podnosić podatków, żeby inwestować w jakość życia realnego. Niezwykle kusząca wizja.

METAZMIANA ŻYCIA

Handel z ludzkimi asystentami w VR będzie prostszy i szybszy, galerie handlowe przestaną mieć rację bytu. No bo dla czego globalna firma obuwnicza ma płacić 100 euro za mkw. w galerii handlowej w setkach miejsc w Polsce, skoro można zrobić galerię handlową w VR? W rezultacie setki osób stracą pracę, przestaną płacić podatki i zaczną się procesy degenerujące klasę średnią i niższą klasę średnią.

W Polsce są 43 uniwersytety. Po co student ma studiować w Kielcach czy Bydgoszczy, skoro może studiować na UJ przez VR. W rezultacie Kielce i Bydgoszcz stracą swoje elity intelektualne. Bo przecież naukowcy, którzy tam pracują, stanowią element tych elit. Za chwilę studenci wybiorą już nawet nie UJ, tylko Oksford – bo czemu nie? W rezultacie degeneracji ulegnie również lokalna elita. Zresztą nie tylko w Polsce. Wykształcone lokalne elity mogą krytycznie patrzeć na otaczającą rzeczywistość i w rezultacie mają wpływ na to, że demokracja, również samorządowa, działa. A metawersum może manipulować emocjami jeszcze lepiej niż Facebook.

HYPE, HOPE, HELL?

– Technologia może znacznie zwiększyć ludzkie zdolności i możliwości. Ale multiplikuje także to, co straszne – powiedział w rozmowie z „Wyborczą” filozofka, specjalistka ds. sztucznej inteligencji i profesorka Akademii Leona Koźmińskiego Aleksandra Przeglasińska. Metawer-

sum może się stać miejscem do rzeczywistej (choć wirtualnej) eskalacji wielu problemów, z którymi nie poradziliśmy sobie w „starym i zwykłym” internecie. Przykład: nierówności cyfrowe, cyfrowa nie-nawiść, dezinformacja, brak ochrony prywatności, komercjalizacja ludzkich działań, radykalizacja ideologiczna, ale też problemy natury psychologicznej związane z ciągłą obecnością w sieci, pogłębiającą się dychotomią społeczną, samoizolacją i samotnością. W tym kontekście szczególnie wymowny jest podtytuł raportu „The Metaverse in 2040” stworzonego przez instytut Pew Research Center: „Metaverse: Hype? Hope? Hell? Maybe all three” (Metawersum: Szum? Nadzieja? Piekło? Może wszystkie trzy).

Meta wydała do tej pory 36 mld dol. na budowę metawersum, ale mimo tych oszałamiających wydatków i obietnic zatrudnienia dodatkowych 10 tys. programistów, którzy mieli tworzyć wirtualne światy, wciąż nie jesteśmy bliżej odpowiedzi na kluczowe dla metawersum pytania.

Czy w metawersum będziemy żyć czy tylko je odwiedzać?

Dostępne już dziś na rynku doświadczenia immersyjne wciąż są niszowe i nie zapowiada się, żeby miał nastąpić jakiś krok milowy ku masowej dostępności sprzętu, zwiększeniu przepustowości i znaczącemu zmniejszeniu latencji (opóźnienia przesyłu danych) oraz poprawie sprzętu tak, żeby użytkownikowi zmniejszyć niedogodności korzystania z niego (VR wciąż u niektórych osób wywołuje mdłości). Ciągłe jest więc wiele niedogodności stricte sprzętowych, które sprawiają, że dłuższe przebywanie w wirtualnej rzeczywistości zamiast zabawy może przynieść poważny ból głowy.

Kto będzie tworzyć standardy dla metawersum? Czy będzie to otwarty system? Kto będzie go kontrolować?

To pytania zadane przez pioniera internetu i naukowca z uczelni Massachusetts Institute of Technology Davida Clar-ka. Są one tym bardziej na miejscu, że reputacja firm technologicznych i zaufanie do nich ostatnio znacząco spadają, co pogłębiać może lęk przed inwigilacją i autorytarnym reżimem Big Techów. Może w związku z tym jedynym dobrym rozwiązaniem jest „ulotna” wizja metawersum jako świata zdecentralizowanego, dalekiego od kontroli pojedynczych podmiotów prywatnych czy państwowych? Wizja metawersum jest dla Big Techów tak łakomym kąskem, że walka o dominację jest tu niemal pewna, a czas budowania podwalin będzie dla wielu z nich kluczowy. Wirtualne światy trzeba budować od podstaw, dlatego to Big Techy w bezprecedensowej dotąd skali wpływają na ewolucję tych rozwiązań i kształtowanie naszej roli i naszego w nich miejsca.

Ile będzie metawersów? Czy wszystkie będą tak samo dostępne?

To wciąż pytanie otwarte. Być może metawersum będą działać trochę podobnie do obecnego internetu, w którym podmioty prywatne i te niekomercyjne istnieją wspólnie obok siebie. Alternatywa jest taka, że powstaną nieinteroperacyjne, czyli niewidzące się nawzajem, światy, za dopłatą do których trzeba będzie płacić. Takie rozwiązanie może doprowadzić do szybkiej dominacji jednego ze światów, tego bardziej atrakcyjnego dla twórców, z lepszymi funkcjonalnościami, który dzięki marketingowi wypchnie z rynku pozostałe światy. Doprowadzi to do dominacji sektora prywatnego i umożliwi wiele działań niemożliwych w przestrzeni zdecentralizowanej.

KILKA PYTAŃ O FIRME META

Wszystkie wymienione wyżej pytania dotyczą samej natury metawersum. A są jeszcze pytania dotyczące jednego z jego głównych konstruktorów, firmy Meta.

Pierwszym i zasadniczym pytaniem jest to o ilość pobieranych informacji o użytkowniku. Facebookowi wystarczy garść danych, żeby znać nas lepiej niż własny małżonek. W metawersum tych danych będzie znacznie więcej i będą to dane dużo bardziej intymne niż te, które zostawiamy na Facebooku: ruchy naszych gałek ocznych, rozszerzanie się źrenic, reakcje podświadome. Strach, gniew, zainteresowanie, które wyrazimy w metawersum, będą prawdziwe i niepodrabialne. Zagrożeniem staje się zatem psychografia biometryczna polegająca na zbieraniu danych o odruchach biologicznych, co pozwala na budowanie dokładnych map wyborów konsumenc-kich. Może się zatem okazać, że te nasze najgłębsze ludzkie emocje są sprzedawane przez Metę każdemu, kto zapłaci 5 centów za paczkę danych, tak jak obecnie robią to Facebook czy Google.

Kolejnym jest pytanie o bezpieczeństwo psychofizyczne. Oczywiście, trudno jest za pośrednictwem gogli VR zrobić komuś fizycznie krzywdę. Ale można już włamać się na czyjeś konto i poddać ofiarę intensywnemu światłu stroboskopowemu, co dla części osób może się zakończyć padaczką lub uszkodzeniem wzroku.

W metawersum może też dochodzić do niechcianych zachowań seksualnych. Już zdarzają się sytuacje, w których dochodzi do seksualizacji – przede wszystkim kobiet – jest to swego rodzaju wirtual-

■
Dlaczego globalna firma obywatelska ma płacić za wynajem miejsca w galerii handlowej, skoro można zrobić galerię handlową w VR?

ny gwałt, którego wrażenie może być niezwykle traumatyzujące. Przy istnieniu nakładek sensorycznych to wrażenie może być jeszcze bardziej dotkliwe. Zresztą z kwestią niepożądanych zachowań seksualnych wiąże się kwestia deepfake’ów oraz sztucznej inteligencji, która generuje obrazy. Technologia pozwala już użyć zdjęć istniejącej osoby i powiązać ją z innym ciałem wbrew woli właściciela wizerunku. Wielokrotnie już dochodziło do zaboru wizerunku danej osoby, żeby przerobić ją na osobę występującą w filmie pornograficz-

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, spadają kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na **Wyborcza.pl/Jutronauci**

CASA NOSTRA

Odpowiedzialność niczyja

Karydynał Zuppi w Ukrainie, Meloni mierzy się z uchodźcami, a Włosi kochają Szymborską .

Jarosław Mikołajewski

Dopiero po więcej niż roku od wybuchu wojny Włosi wyraźnie zaczynają rozumieć, do czego zdolny jest Putin i na jaki koszmar skazuje Ukraińców. Mam wrażenie, że dopiero wysadzenie tamy na Dnieprze zdołało przerazić społeczeństwo, które przeżyło w Romanii klęskę powodzi, za którą odpowiedzialność ponoszą wszyscy, czyli nikt. W Nowej Kachowce nie obciąża się miłosiernego Boga, tylko bandytę, którego znamy wszyscy z imienia, nazwiska i twarzy. Ważnym wyrazem poważniejszego i bardziej jednoznacznego stosunku do rosyjskich zbrodni jest wizyta, którą prezydentowi Zelenskiemu złożył kardynał Matteo Zuppi, przewodniczący Konferencji Episkopatu Włoch. Ten sam, który w rozmowie z Adamem Michnikiem i ze mną mówił w zeszłym roku, że „do wojny trzeba dwojga”.

Coraz ważniejszym problemem dla włoskiego rządu staje się kwestia uchodźcza – rosnąca liczba mi-

grantów przyptykających w dobrą pogodę z Afryki i Azji. Premier Giorgia Meloni rozmawia obecnie z władzami Libii i Tunezji, próbując zatrzymać uchodźców w miejscu, z którego wypływają. I zrozumieć charakter kryzysu ekonomicznego, który napędza migrację.

Czerwiec – dokładnie dni, w które piszę te słowa – to także imponujący przemarsz poezji, zwłaszcza Wisławy Szymborskiej, wielbio-nej tutaj i wynoszonej na sztandary od przyznania jej Nobla. Od 12 do 16 czerwca największe obchody organizują uniwersytety w Rzymie, Bolonii i Genui. W Bolonii do dziś wspomina się spotkanie z Szymbor-ską w 2009 roku, prowadzone przez Umberta Eco i uznawane za najliczniejsze wydarzenie poetyckie w historii Włoch. W Genui, gdzie pracował jej tłumacz Pietro Marchesani, zawiśnie w tych dniach wystawa, na którą złożą się rękopisy korespondencji i wierszy, a także wyklejanki. Fraza „jak mi prędko bije twoje serce” jest dziś chyba najpopularniejszym cytatem we włoskiej prasie.

Wasz felietonista, który obok Michała Rusinka jest gościem tych wydarzeń, wspomni tu o nich za tydzień. ●

nym. Usuwanie takiego fake’u jest niezwykle skomplikowane.

W metawersum będziemy tworzyć nasze wizerunki, awatary. Ich wykradzenie i użycie przeciwko nam może prowadzić do trudnych do przewidzenia reperkusji. Wiaże się z tym zresztą jeszcze jedna kwestia: do kogo należy nasz awatar, czyli cyfrowa postać, która nas odwzorowuje. Będziemy go tworzyć na cudzym oprogramowaniu i zachowywać na cudzym serwerze – zatem Big Techy będą miały wszelkie podstawy, żeby twierdzić, że wizerunek ten należy do nich. A przecież to nasz wizerunek, nasza twarz – fundament praw człowieka.

WYZWANIA PRAWA PRZYSZŁOŚCI

Problemów prawnych może być z metawersum znaczenie więcej. Jakie prawo będzie obowiązywać w metawersum? Polskie? Unijne? A może amerykańskie? Kto ma moderować dyskusje? Czy przed sądem polskim mogą dochodzić zniesławienia w metawersum? A co z prawem własności – do kogo będzie należał mój sklep w metawersum? Do mnie czy do Mety?

W świecie rzeczywistym rozjemcą w takich przypadkach jest państwo, które przy pomocy wykształconych sędziów orzeka o własności, ma prawo użycia siły, leczy, buduje drogi. Metawersum może zaoferować nam paralelny świat, należący do firm prywatnych, których ideą nadrzędną jest zarabianie jak największej ilości pieniędzy. Bez odpowiedzialności społecznej, bez konsekwencji swoich błędów, bez demokratycznej kontroli, a być może nawet bez płacenia podatków.

Żyjemy w czasach stawania się i wszyscy stajemy się nowicjuszami – pisał w książce „Nieuniknione” Kevin Kelly. Do-

piero co zaczęliśmy dyskutować o metawersum, a już na barki wskoczyła nam kolejna wersja sztucznej inteligencji – modele generatywne i konwersacyjne. I wszystko z możliwością wypróbowania modeli we wczesnym dostępie. Powiew huraoptyizmu zatrzymali na chwilę Włosi, żądając od twórcy ChatuGPT – firmy OpenAI – zaprzestania przetwarzania danych i założenia geograficznej blokady na korzystanie z ich AI. Nie była to jednak długotrwała tama dla rozwoju sztucznej inteligencji.

Dyskusje chwilowo przeniosły się z metaprzyszłości do przyszłości generowanej przez AI, w obliczu której musimy zadawać tak fundamentalne pytania jak pytanie o paradygmat prawdy, kiedy – jak pisze Kai-Fu Lee w książce „Sztuczna inteligencja 2041” – sztuczna inteligencja nie jest już abstrakcyjnym pojęciem, a dni jej powolnego rozwoju należą do przeszłości. ●

***Edyta Sadowska** – doktorka nauk społecznych, badaczka przyszłości, popularyzatorka nauki

****Piotr Łubiński** – doktor nauk prawnych, ekspert w zakresie prawa humanitarnego i praw człowieka, popularyzator nauki

Lumpeks, nasz główny inwestor

Nawet Kaczyński nie zmusi linii lotniczej do lądowania w Radomiu. I co zrobić z mniejszymi miastami?

SEBASTIAN KULCZYK
JUTRONAUCI
SIEGAJ ZA HORYZONT

Majcherek*

*Janusz A. Majcherek – filozof i socjolog, pracuje w Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej

Prac przed laty do władzy, Jarosław Kaczyński pomstował na przyjęty przez poprzedników polaryzacyjny-dyfuzyjny model rozwoju kraju jako sprzyjający największym ośrodkom miejskim, a lekceważący potrzeby i interesy tych mniejszych. Po ośmioletnich rządach ekipy Kaczyńskiego największe metropolie nadal się rozwijają, a większość średnich i mniejszych miast pogrąża się w zapaści.

Prezes dostrzegł problem i podczas niedawnego pobytu w świętokrzyskim Piekoszewie obwieścił, że warunki życia w mniejszych miejscowościach muszą dorównywać tym, jakie oferuje największe miasta. Ale nie podał na to sposobu.

Głównym przejawem i pośrednią przyczyną kryzysu większości polskich miast jest ich wyludnianie. Spośród 30 największych jedynie w ośmiu po 1989 r. nie ubyło mieszkańców. Jak podają Wojciech Jarczewski i Bartłomiej Sroka, autorzy opracowania „Kurczenie się polskich miast a rewitalizacja”, od początku obecnego stulecia liczba mieszkańców zmalała w niemal 70 proc. miast, prawie wszystkich średnich, uznanych w rządowej strategii za „tracące funkcje społeczno-gospodarcze”. Ale także spośród 66 na prawach powiatu, czyli tych większych, skurczyło się 56.

Bodaj najbardziej spektakularna jest depopulacja miast regionu śląsko-zagłębiowskiego, z których wszystkie się wyludniają (szczególnie niekorzystnie wyróżnia się Bytom, którego liczba mieszkańców zmalała od 1989 r. z 240 tys. do niespełna 135) – a mówimy o najbardziej zurbanizowanym polskim województwie! Dr Artur Bartoszewicz z SGH twierdzi, że szanse rozwoju ma tylko 6 największych polskich miast, reszta stoi wobec poważnych wyzwań. A Polska jest już i tak jednym z najsłabiej zurbanizowanych państw europejskich, miasta zamieszkuje niespełna 60 proc. obywateli.

Jednym z powodów wyludniania jest suburbanizacja – wyprowadzka mieszkańców na formalnie wiejskie obszary okoliczne. Lecz procesy te zachodzą

również wśród warszawiaków, krakowian czy wrocławian, a jednak ich metropolie zaludniają się i rozwijają. Mają, fachowo rzecz określając, dodatnie saldo migracji. Przyciągają rzecz jasna wszechstronną ofertą, choć koszty życia mają najwyższe – z miast, w których można kupić mieszkanie w cenie niewiele ponad 4 tys. zł za metr (są takie), Polacy przenoszą się do tych, w których trzeba zapłacić 12-13 tys. Ale Warszawa ma PKB per capita trzykrotnie wyższy niż średnia w województwach ściany wschodniej, o połowę wyższy od średniej europejskiej i wyższy od wielu stolic państw zachodnioeuropejskich (licząc według parytetu siły nabywczej). Zamieszkała przez niespełna 5 proc. ludności Polski wytwarza prawie 18 proc. jej PKB i wciąż ląka nie nowych rąk do pracy. Z kolei w Krakowie, gdzie zlokalizowanych jest wiele innowacyjnych przedsiębiorstw z branży IT, przeciętne zarobki są najwyższe w Polsce. Nie mówiąc o innych atrakcjach tego miasta.

Ubytek mieszkańców oznacza wzrost udziału tych najstarszych, bo młodszy wyjeżdżają. To równia pochyła, gdyż ubytek ludzi w wieku reprodukcyjnym oznacza coraz niższy wskaźnik urodzeń. A starzenie się populacji wywołuje mnóstwo problemów, począwszy od spadku liczby aktywnych zawodowo podatników, przez wzrost wydatków na nieproduktywną część mieszkańców, a kończąc na ogólnym spadku wszelakiej aktywności. Wyludniające się i starzejące miasta zamierzają, co tym bardziej skłania młodych do ich opuszczania. Po covidowym zahamowaniu mobilności, które wielu młodych zatrzymało w domach rodzinnych, odżywa budownictwo w największych miastach. Najlicniejszą grupą w Krakowie już są mieszkańcy w wieku 25-30 lat.

Najgłębszą zapaść demograficzną zanotowały po 1989 r. miasta monokultury przemysłowej lub rozbudowane za PRL wokół jednego wielkiego pracodawcy, ulubionego w tamtym okresie kombinatu przemysłowego. Przykład spektakularny to włókiennicza Łódź, ale także podobne profilowo Pabianice (spadek z 75 tys. do 63 tys. mieszkańców) czy Żyrardów (z 43 do 39 tys.).

Górny Śląsk dotkliwie przeżywa schyłek ery węgla i stali. Podobny kryzys dotknął miasta stoczniowe, z wyjątkiem Gdańska, który miał inne, szersze podstawy gospodarki oraz operatywnych włodarzy.

Próby ratowania miast średniej i mniejszej wielkości przed zapaścią bywają różne, niekiedy spektakularne, niemal zawsze daremne. Ostatnie przykłady to przekop Mierzei Wiślanej, mający dać Elblągowi (spadek ludności z ponad 130 tys. do 117 tys.) otwarcie na świat, podobna w intencjach budowa lotniska w Radomiu albo Jaworzno (spadek z niemal 100 tys. do niespełna 90 tys.), gdzie ma powstać fabryka polskich samochodów elektrycznych. Zdesperowane samorządy czepiają się takich pomysłów z próżną nadzieją – nawet rząd PiS nie będzie w stanie zmusić armatorów do zawijania do portu w Elblągu, linii lotniczych do lądowania w Radomiu, a Polaków do kupowania rodzimego samochodu elektrycznego.

Trzeba przyznać, że niektóre z władz miejskich próbują różnych form pozyskania inwestorów, ożywienia mieszkańców, zatrzymania młodych, a nawet przyciągnięcia nowych. Najbardziej spektakularny sukces odnotował Rzeszów – stolica najsłabiej zurbanizowanego województwa, należącego do najbiedniejszych w Polsce. To efekt działalności długoletniego charyzmatycznego, choć kontrowersyjnego prezydenta Tadeusza Ferency, ale także wielu pomysłów opracowanych i wdrożonych przez lokalnych profesjonalistów.

Nieźle radzi sobie Białystok, też ulokowany na ścianie wschodniej, z wszystkimi jej słabościami. Lublin wypada nieco gorzej, choć ma potencjał, bo wciąż 60 proc. mieszkańców w wieku produkcyjnym i 27 proc. po studiach. Jednak w przeciwieństwie do Rzeszowa, rosnącego równocześnie z ubytkiem ludności Podkarpacia, Lublin wyludnia się wraz z całym regionem.

W niezbyt dobrej kondycji są średnie i mniejsze miasta historyczne, z zabytkową zabudową śródmiejską, doprowadzoną do ruiny w PRL i często do dziś niezrewitalizowaną. Co gorsza, wielu mieszkańców przywykło przez dekady, że stare kamienice to rudery bez wygód i nawet po ich odnowieniu nie garną się do zamieszkania w nich. A nowych przybyszów nie ma. Niegdyś narzekano, że w odnawianych budynkach przy rynkach i deptakach są same banki. Obecnie symptomem degradacji miasta jest lumpeks na głównej ulicy.

Trzeba też rozwiać złudzenia tych, którzy proponują, by mniejsze miejscowości ożywić, lokując tam imigrantów, zwłaszcza ukraińskich. Imigranci, jak wszędzie na świecie, osiedlają się w największych miastach, oferujących pracę i inne możliwości. Rachuby, że młodzi na ogół przybysze zechcą zamieszkać w miastach, z których uciekają młodzi autochtoni, są naiwne.

Problem nie jest typowo polski, miasteczka i mniejsze miasta wyludniają się także w innych krajach. Mieszkańców tracą wschodnie landy Niemiec. Włodarze wielu przepięknych miejscowości hiszpańskich czy włoskich oferują domy za euro każdemu, kto zechce się osiedlić. Z mizernym raczej rezultatem. Tomasz Narkun, inwestor i analityk rynku nieruchomości, przewiduje, że za jedną-dwie dekady także w pol-

skich miejscowościach pojawią się oferty domów za złotówkę.

Prof. Andrzej Nowak, psycholog społeczny z UW, opracował teorię tzw. bąbli innowacji, opisującą powstawanie i rozchodzenie się nowych pomysłów, idei, koncepcji. Zgodnie z nią innowacje rodzą się w nielicznych aktywnych ośrodkach, z których potem rozprzestrzeniają się na otoczenie. Znikome jest prawdopodobieństwo, by powstały na prowincji. A zanim tam dotrą, niecierpliwi mieszkańcy przeniosą się właśnie do innowacyjnych centrów.

Słynny ekonomista Richard Florida już dawno powiazał te miejsca i procesy z obecnością i warunkami rozwoju klasy kreatywnej. A wśród sprzyjających jej warunków wymienił tolerancję, bo innowacje, zwłaszcza obyczajowe, w stylu i modelu życia, często są dziwne, ekscentryczne, szokujące, drażniące. Poziom tolerancji otoczenia znajduje odzwierciedlenie we wskaźniku bohemy, czyli obecności i liczebności artystyczno-kulturowych prowokatorów, a także wskaźniku gejów. Ten drugi obrazuje zakres akceptacji osób nienormatywnych, nie tylko seksualnie. Bo tam, gdzie akceptuje się homoseksualistów, będzie się akceptować także innych.

To jasne, że o bohemę w mniejszych ośrodkach trudno, ale jej wykreowaniu – czyli pozostaniu na miejscu tych młodych, którzy mają aspiracje i talenty, by nią zostać – nie pomogą przyjmowane uchwały anty-LGBT. Do takich miejsc innowatorzy też raczej nie przybędą. Najwyższy poziom tolerancji wykazują mieszkańcy największych miast i to jeden z powodów, dla których osiedlają się tam przybysze.

Nie wygląda na to, aby można było znaleźć jeden cudowny sposób powstrzymania degradacji miasta oraz model jego rozwoju. To kwestia splotu lokalnych uwarunkowań, pomysłowości lokalnych władz, a trochę i zbiegu okoliczności. „Efekt Bilbao”, czyli ożywienie podupadającego obiektu architektonicznego o ambitnych funkcjach kulturotwórczych, nie bardzo sprawdził się w innych miejscach. Zawodne może być szukanie i tworzenie atrakcji turystycznych, jak pokazuje Hel, stolica jednej z najpopularniejszych i najdroższych destynacji wakacyjnych, a jednocześnie jedno z najszybciej się wyludniających polskich miast, obok pobliskiej Jastarni i Władysławowa (straciły od początku stulecia jedną trzecią mieszkańców).

Podobnie dzieje się w Kazimierzu Dolnym. Nie pomagają promocja w mediach i popularnych programach czy serialach. Urokliwy Sandomierz, w którym rozgrywała się akcja „Ojca Mateusza”, od lat 90. skurczył się z ponad 26 do 22 tys. Świebodzinowi nie pomógł wielki posąg Jezusa – od lat niepowstrzymanie ubywa mieszkańców. Każde miasto jest inne, w innym otoczeniu zlokalizowane, o różnej topografii, z różną historią i tradycją, rodowodem mieszkańców, ich demografią i zawodową strukturą.

Jednego wspólnego i dobrego rozwiązania nikt nie ma. Ale już na pewno nie ma go obecna władza niczym aspirujące państewka postkolonialne zachowana w centralnych planach i malpująca gigantyczne infrastrukturalne inwestycje bez uwzględniania krajowych i lokalnych uwarunkowań. ●

Ludność w miastach w latach 1989 i 2021 (w tys.)

Miasto	Ludność 2021	Ludność 1989	Zmiana %
Warszawa	1860	1655	12,4
Kraków	802,8	748	7,3
Wrocław	673,9	642	4,8
Łódź	670,7	851,7	- 21,2
Gdańsk	486,2	464,7	4,6
Bydgoszcz	337,7	380,4	- 11,2
Białystok	293,2	268	9,4
Katowice	280,2	367	- 23,7
Częstochowa	214,3	257,5	- 16,7
Radom	199,9	226,3	- 11,7
Rzeszów	198,6	150,7	31,7
Sosnowiec	191,6	259,3	- 26,1
Kielce	184,5	212,9	- 13,3
Gliwice	175,1	222	- 21,1
Zabrze	168,9	205	- 17,6

CO MNIE URZEKŁO

Król Julian XIII uścisnął mi dłoń

Wszedłem za lemurami w las, gdy usłyszałem krzyk żony.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK*

W

W wielu krajach rozbitych ostrymi podziałami „plemiona” polityczne stojące po dwóch stronach barykady rozmawiają ze sobą głównie z użyciem rozmaitych złośliwości, czy wręcz inwektiw. Między ich członkami nie ma mowy o racjonalnej wymianie poglądów, nie mówiąc już choćby o obojętnym podaniu sobie ręki w głęboko zakorzenionym historycznie geście manifestacyjnego zaufania.

A przecież takie proste gesty są możliwe nawet pomiędzy przedstawicielami różnych gatunków biologicznych. Na przykład mnie uroczy madagaskarski lemur uścisnął kiedyś rękę. W każdym razie tak ładnie wyglądało to z pewnej perspektywy. W rzeczywistości zaś zwierzak miał zupełnie inny cel niż dokonanie rytuału powitalnego w imieniu grupy obserwujących go „kolegów”. Zainteresowała go bowiem zdobycz w postaci kawałka banana, którego wyjął mi delikatnie z ręki i niespiesznie zjadł, nie odsunąwszy się dalej niż na odległość oko-

ło metra. Uznał widocznie, że moja bliskość wystarczająco zmniejszy odwagę sporej grupy jego szaro-białych i brązowo-rudych pobratymców, którzy kręcili się w pobliżu, łakomie spoglądając na nasze bagaże.

Wielbiciele egzotycznych wrażeń niech nie myślą, że takie spotkania z emblematyczną fauną Madagaskaru czekają na każdym kroku na turystę wędrującego po lasach tej ogromnej wyspy. Nas lemury wystawiły na długą próbę cierpliwości. Mimo wysiłku naszych przewodników przez wiele dni widzieliśmy je tylko wysoko w gałęziach drzew, skąd spoglądały na nas bez większego zainteresowania.

Najlepszą prasę mają lemury katta, czyli „kocie duchy”, opisane przez Karola Linneusza już w 1758 r. To te szaro-białe zwierzęta, obdarzone wspaniałymi pasiastymi ogonami, zainspirowały twórców serii popularnych filmów animowanych „Madagaskar”, gdzie lokalnej faunie przewodził frenetyczny i bufonowaty, ale bardzo muzyczny król Julian XIII, który z gracją „wyginał swoje ciało”.

Niezrażeni kilkoma nieudanymi próbami bliższego kontaktu z jego pierwowzorami zatrzymaliśmy się w celu konsumpcyjnym na leśnym parkingu. Przed lunchem weszliśmy jeszcze w las, w którym powinny były być lemury, ale znów powtórzyła się dobrze znana nam sytuacja – kilka zwierzaków siedziało zbyt

wysoko jak na dobre ujęcie fotograficzne. Dziwne było tylko to, że skakały nerwowo z gałęzi na gałąź, jakby starając się przyciągnąć naszą uwagę. Szybko się wyjaśniło, że to była tylko dobrze zaplanowana gra pozorów.

Nagle bowiem usłyszałem rozpaczliwy krzyk mojej żony, która zrezygnowała z tej kolejnej już skazanej na porażkę wyprawy w głąb lasu. Przyczynę jej niepokoju zrozumiałem, dobiegłszy z powrotem do zadaszonych stołów, na których zostawiliśmy nasze rzeczy. Otaaczała ją tam liczne stado małpiek, które penetrowały bagaże w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, zupełnie nie przejmując się jej naiwnymi próbami obrony przez machanie rękami.

Wyglądało to na dobrze zorganizowaną i pewnie nie raz już przeciwzoną pułapkę, w którą grupka odciągająca zwabiała turystów na pewną odległość od uczęszczanego parkingu. Oczyszczała w ten sposób pole do działania ukrytej w pobliskich chaszczach zorganizowanej bandzie chyba ze trzydziestu złodziejasków, którzy porywali wszystko, co

nadawało się do zjedzenia. Po naszym powrocie bez pośpiechu wycofały się na bezpieczną odległość kilku metrów, czekając na rozwój wypadków.

Większość stanowiły właśnie pasiastogoniaste lemury katta, którym towarzyszyło kilka brunatnych osobników z rodzaju lemur maki. To jeden z nich, patrząc mi wprost w oczy, przysiadł na tylnych łapach i bardzo delikatnymi w dotyku przednimi łapkami wziął z mojej ręki kawałek banana. Jeżeli

kogoś się bał, to nie nas, lecz raczej swoich kolegów, łakomie spoglądających na jego zdobycz. Toteż spożył ją, siedząc koło nas, uznawszy, że to zabezpieczy go przed namolnością innych, licznie zgromadzonych małpiek.

Mając wątpliwości odnośnie do „swoich”, postawił więc na zaufanie międzygatunkowe! ●

***Przemysław Urbańczyk** – związany z UKSW i PAN, jeden z najbardziej znanych polskich mediewistów, autor wielu książek, m.in. „Rok 1000. Milenijna podróż transkontynentalna”, „Zanim Polska została Polską”, „Mieszko Pierwszy Tajemniczy”, „Co się stało w 966 roku?”, „Bolesław Chrobry – lew ryczący” i najnowszej „Trudna historia zwłok” oraz kilkuset artykułów

Wielbiciele
egzotycznych
wrażeń niech nie
myślą, że spotkania
z emblematyczną
fauną Madagaskaru
czekają turystę
na każdym kroku



On zlustruje Tuska?

JESTEM
ŻOŁNIERZEM
PRAWDY

Niesterowalny, nie lubi go Kaczyński. Dlaczego PiS powierzy mu tak ważny odcinek, jak „ruska komisja”?

Dominika Wielowieyska

Sławomir Cenckiewicz: historyk IPN, zajadły lustrator Wałęsy i własnego dziadka, faworyt Macierewicza, likwidator Wojskowych Służb Informacyjnych. Ostatnio na bocznym torze, wraca do wielkiej gry – ma zostać ważnym członkiem, a może nawet szefem komisji mającej wykluczyć Tuska z polityki i zapewnić PiS wygraną w jesiennych wyborach.

Mówi o sobie, że jest chłopakiem z bloku, z prostej chłopsko-robotniczej rodziny, a ukształtował go Gdańsk. „W sierpniu 1980 r. miałem dziewięć lat, pojechałem pod stocznnię, zobaczyłem Lecha Wałęsę. Zapamiętałem jego słowa, że będzie jak kapitan na statku, że zjeździe ostatni, nawet jak tu czołgi przyjadą. To było fascynujące”. Wiele lat później stanie się prześladowcą Wałęsy i jego bezwzględny lustratorem.

„Moja praca kojarzy się pani z czymś radykalnym, a ja się mam za bardzo umiarkowanego człowieka. Kogoś, kogo czasem sytuacja i historia zmuszają, by zajął w miarę jednoznaczne stanowisko, które później uchodzi za radykalne. Ale w gruncie rzeczy, jak mówi prezes wszystkich prezesów: we mnie jest samo dobro i umiarkowanie” – mówił Magdalenie Rigamonti w „Dzienniku Gazecie Prawnej” sześć lat temu. I podkreślał jednocześnie: „Jestem żołnierzem prawdy”.

Sam przeświadczył swojego dziadka. „Fakt, że odkryłem, że dziadek ze strony ojca był w UB, nie znaczy, że moja rodzina była socjalistyczna czy komunistyczna. Ja swojego ojca praktycznie nie znałem, widziałem go tylko kilka razy w życiu. Dziadek też nie znałem, bo on i babcia zerwali znajomość z matką. A rodzina mamy, w której się wychowałem, była taką statystyczną rodziną. Antykomunizm wprowadzony był do chodzenia do kościoła w niedzielę i święta”.

Sławomir Cenckiewicz ma 51 lat. Tytuł magistra historii i później tytuł doktora uzyskał na Uniwersytecie Gdańskim. Habilitację zrobił na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego – dawnej Akademii Teologii Katolickiej – w Warszawie. Jak czytamy w jego notce biograficznej, „w pracy naukowej specjalizuje się w dziejach Ludowego Wojska Polskiego,

komunistycznych tajnych służb, polskiej emigracji politycznej, Polonii amerykańskiej, oporu i ruchu antykomunistycznego w PRL”.

W latach 2001-08 pracował w Instytucie Pamięci Narodowej. W 2016 r., po objęciu władzy przez PiS, został zastępcą przewodniczącego Kolegium IPN. Odszedł stamtąd w grudniu 2021 r.

Cenckiewicz miał ambicje zostania prezesem IPN, ale dla środowiska PiS nie do końca był sterowalny. Jarosław Kaczyński za nim nie przepadał. Prezes lubi, gdy jego nominaci bezwzględnie słuchają jego poleceń: jeśli on mówi, że ktoś nie był agentem SB, to nie był, niezależnie od tego, co jest w dokumentach. Cenckiewicz nie dawał gwarancji, że będzie słuchał prezesa w każdej takiej sytuacji. Przeczcucia Kaczyńskiego się potwierdziły później, gdy wyszły na jaw akta zaufanego współpracownika Kaczyńskiego Kazimierza Kujdy, który był m.in. prezesem słynnej spółki Srebrna. Prezes PiS orzekł, że nic w nich nie ma. A historyk się upierał, że Kujda to jednak agent SB.

PiS już raz postawił na Cenckiewicza, i to w niebyle jakiej sprawie. W 2006 r. z polecenia Macierewicza stanął na czele komisji ds. likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych – jednego z flagowych projektów obozu Kaczyńskiego

Cenckiewicz zaprzeczał w rozmowie z „DPG”, że chciał stanąć na czele IPN. „Ktoś zupełnie inny mówił, że powinienem zostać prezesem. Nigdy nie byłem zwolennikiem swojej kandydatury na to stanowisko. I w pełni akceptuję taki, a nie inny wybór polityków”.

Gdy stanowisko w IPN okazało się nieosiągalne, na ratunek przyszedł Antoni Macierewicz, który jako szef MON powołał Cenckiewicza na stanowisko dyrektora Centralnego Archiwum Wojskowego i pełnomocnika MON ds. reformy Archiwów Państwowych.

Macierewicz już raz postawił na Cenckiewicza, i to w niebyle jakiej sprawie. W 2006 r., za pierwszych rządów PiS, z jego polecenia Cenckiewicz stanął na czele komisji ds. likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych – jednego z flagowych projektów obozu Kaczyńskiego, z którym młody jeszcze PiS szedł do władzy pod hasłem oczyszczania państwa z wpływów postkomunistów.

Cenckiewicz uczestniczył w przygotowaniu głośnego raportu z likwidacji WSI. Platforma Obywatelska, choć sama popie-

rała likwidację WSI, oceniła ów dokument jako nierzetelny i bałaganiarski, sporządzony przez dyletantów i fanatyków jednocześnie. Szybko się okazało, że miała rację – cały proces bardzo osłabił polskie służby specjalne.

Osoby wymienione w dokumencie w negatywnym kontekście pozywały komisję do sądu, niektóre wygrywały procesy, innych oczyszczał z zarzutów osobiście Jarosław Kaczyński. Frakcja Macierewicza domagała się ujawnienia kolejnego aneksu do raportu WSI, ale prezydent Lech Kaczyński to zablokował: „Aneks miejscami jest bardzo interesujący, ale zbyt wiele jest tam fragmentów, w których fakty zastąpiono interpretacjami. Wnioski są wyciągane także tam, gdzie nie ma do tego wystarczających podstaw” – tłumaczył w rozmowie z „Newsweekiem”. Tę decyzję podtrzymał nie tylko prezydent Bronisław Komorowski, ale także prezydent Andrzej Duda.

Temat komisji likwidacyjnej powrócił niedawno z powodu byłego jej członka Tomasza L., którego w marcu 2022 r. zatrzymała ABW pod zarzutem szpiego-

stwa na rzecz Rosji. TVN 24 ujawnił, że był on w komisji Cenckiewicza. Skąd się tam wziął? Z partyjnego rozdzielnika: różne frakcje PiS delegowały swoich przedstawicieli.

Tomasz L. przed 2002 r. pracował w urzędzie ds. kombatanatów i osób represjonowanych w tym samym czasie, kiedy urzędowali tam późniejsza minister i bliska współpracowniczka Lecha Kaczyńskiego Elżbieta Jakubiak oraz Jacek Sasin, obecny minister aktywów państwowych i jeden z najpotężniejszych ludzi PiS. Właśnie to środowisko delegowało go do komisji ds. WSI. Pasował, bo sławił „żołnierzy wyklętych”.

W reportażu Piotra Świerczka w TVN 24 dowiadujemy się od byłego członka komisji Cenckiewicza, że panował tam bałagan: każdy robił to, co chciał, nie odnotowywano, kto do jakich dokumentów miał dostęp. Gdy Świerczek w kontekście Tomasza L. pyta Cenckiewicza, czy to możliwe, że ktoś wyносił z komisji dokumenty, ten odpowiada: „Wszystko jest możliwe”.

Nawet jeśli Tomasz L. później dał się zwerbować rosyjskim służbom, to i tak mamy do czynienia z wielkim zagrożeniem,

bo pracując w komisji likwidacyjnej ds. WSI, zdobył bezcenne informacje na temat naszych służb, które zapewne przekazał Rosjanom. Przesłanką tutaj, która pomoże nam ocenić, jak wyglądała działalność, jak wygląda odpowiedzialność Macierewicza, Cenckiewicza i jego współpracowników, jest to, że przypadek Tomasza L. nie jest jedyny. W komisji, którą Macierewicz kierował bezpośrednio, znalazł się antyzachodni propagandzista Leszek Sykulski. W komisji zasiadał też Tomasz Szatkowski, późniejszy prezes fundacji NCSS, której eksperci wypowiadali się przeciwko NATO, a nawet jawnie popierali Putina. Gdy Macierewicz został ministrem obrony, zrobił go swoim zastępcą i wysłał go do USA na rozmowy z jawnie prokremlowskim kongresmenem – komentował Tomasz Piątek, dziennikarz śledczy, autor książki „Macierewicz i jego tajemnice”.

Cenckiewicz wiedział, skąd się wziął Tomasz L., ale wołał głosić zgodnie z przekazem partyjnym PiS, że za nominacją stał ówczesny minister obrony narodowej Radosław Sikorski, dziś jeden z największych wrogów rządzącej prawicy. Tymczasem rola Sikorskiego była tylko formalna, za likwidację WSI odpowiadał wyłącznie Macierewicz, co potwierdza dokument podpisany przez ówczesnego premiera Jarosława Kaczyńskiego. Niedługo potem – właśnie z powodu działalności Macierewicza i jego ludzi – Sikorski podał się do dymisji i zerwał z PiS.

W sprawie Tomasza L. między Sikorskim a Cenckiewiczem rozgorzała wojna. Podczas konferencji prasowej Radosław Sikorski przypomniał, że sprawy związane z likwidacją WSI zostały powierzone Macierewiczowi. – To on faktycznie sprawował kontrolę tego procesu i był autorem większości nominacji personalnych. Jego prawą ręką był pan Cenckiewicz, który to do komisji likwidacyjnej dobrał sobie osoby, jak to ujęła pani minister Jakubiak, z kręgu ludzi znających się z ówczesnego ratusza i okolic z czasów, gdy prezydentem Warszawy był śp. Lech Kaczyński – mówił.

Cenckiewicz skomentował to na Twitterze: „Oglądacie konferencję Sikorskiego? To prezent! Daleki jestem od »fizjonomowania«, ale mowa ciała szokująca, mimika, belkot i nerwica, mylenie pojęć, ataki na śp. Prezydenta Kaczyńskiego – niesamowite!”.

Sikorski, poproszony przeze mnie o opinię na temat Cenckiewicza, mówi: „Fakt, iż miał dziadka w UB, go napędza. On chce się uwiarygodnić w swoim środowisku, więc nikomu nie da się prześcignąć w radykalizmie. Do tego jest konserwatywnym fundamentalistą, co tylko jeszcze bardziej nakręca jego fanatyzm. Teraz ten człowiek zasiądzie w komisji inkwizycyjnej i będzie czerpał garściami



z metod, które na przesłuchaniach stosował jego dziadus z UB, by oskarżać ludzi o szpiegostwo na rzecz amerykańskich imperialistów. A następnie dziadus tych podejrzanych eliminował. Teraz wnuczek – na szczęście tylko politycznie, a nie fizycznie – będzie eliminował wykreowanych szpiegów Rosji”. Na moją uwagę, że nikt nie może być obarczany odpowiedzialnością za swoich dziadków i że Sikorski robi dokładnie to, co środowisko PiS, to znaczy przypisuje winę dziadków osobom, które zwalczą, odpowiada: „O nie, ja już skończyłem z elegancją, skończyłem z nadstawianiem drugiego policzka. Chęć się posługiwać tego typu metodami, to i odpowiedź na to musi być adekwatna”.

Sikorski – były szef MSZ w gabinecie PO-PSL – zwraca uwagę, że TVP właśnie zaczyna emitować serial „Reset” o polityce rządu Tuska, zrealizowany przez Cenciekiewicza i pracownika medialnego PiS Michała Rachonia. – Wiadomo, co tam będzie: fragmenty dokumentów, wypowiedzi wyrwane z kontekstu i manipulacje. Z pominięciem faktu, że cała wspólnota euroatlantycka stawiała wówczas na reset z Rosją, wierząc w pozytywne przemiany w tym kraju. Tymczasem nasza polityka wobec Rosji była dwutorowa: staraliśmy się wspomagać modernizacyjne symptomy i tendencje demokratyczne, a jednocześnie uczulaliśmy Zachód na zagrożenia ze strony Rosji. Tłumaczyliśmy, że musimy być przygotowani także na scenariusz, w któ-

rym modernizacja się nie powiedzie, górę wezmą trendy autorytarne.

Cenciekiewicz wraz z Piotrem Gontarczykiem opublikowali w 2008 r. książkę „SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii”. Wzbudziła protesty, bo autorzy oparli tezę o współpracy Wałęsy z SB na poszlakach i każdy ślad interpretowali na jego niekorzyść.

Dopiero w 2016 r. podczas przeszukania domu zmarłego generała Czesława Kiszcza, wszechwładnego ministra spraw wewnętrznych w tzw. karnawale „Solidarności”, w stanie wojennym i w ostatnich latach przed Okrągłym Stołem, IPN znalazł akta personalne i akta współpracy tajnego współpracownika SB o pseudonimie „Bolek” z lat 1970–76. A w nich zobowiązań Wałęsy do współpracy, a także odrębnie podpisane przez niego pokwitowania odbioru pieniędzy. Historycy, w tym prof. Andrzej Friszke, potwierdzili autentyczność dokumentów.

Pierwsza notatka esbeka, że TW „Bolek” chce zerwać współpracę, pochodzi z 1973 r. Później pojawiają się kolejne raporty oficerów bezpieki, że „Bolek” nie chce rozmawiać. Mimo to część ludzi niechętna Wałęsie, w tym Cenciekiewicz, utrzymuje, że robotniczy lider i przewodniczący „Solidarności” przez całe lata 70., a potem 80. był na pasku SB.

To zresztą było jedną z przyczyn rozstania i kłótni między Cenciekiewiczem a Gon-

Radosław Sikorski:
Fakt, iż miał dziadka w UB,
go napędza. On chce się
uwiarygodnić w swoim
środowisku, więc nikomu
nie da się prześcignąć
w radykalizmie

tarczykiem. Obaj od lat zarzucają sobie błędy warsztatowe. Kryzys nastąpił w trakcie pisania kolejnej książki o Wałęsie. Poszło m.in. o to, że Gontarczyk – jak wielu doświadczonych historyków – uważał, że teza Cenciekiewicza, iż bezpieka także w drugiej połowie lat 70. kierowała Wałęsą, nie znajduje potwierdzenia w źródłach. Od tej pory Gontarczyk kpi z Cenciekiewicza przy różnych okazjach, choć nadal środowisko pracy PiS jest mu bliskie. „Jego opinie można potraktować z humorem, bo ich autor często i grubo się myli, a jego oceny są nad wyraz zwiewne. Kiedyś najpierw Cenciekiewicz sztychował z obrońców takich skompromitowanych agentów SB jak arcybiskup Stanisław Wielgus, by potem napisać tekst »Krzywdą i thriller arcybiskupa Wielgusa«”. Gontarczyk dodawał złośliwie: „Będę stanowczo zaprzeczał twierdzeniom, że tak gruntowna zmiana oceny sytuacji była skutkiem »rozmowy polityczno-wycho-

• **Marzec 2019, Szczecin, Sławomir Cenciekiewicz podczas procesu wytoczonego mu przez Sławomira Nitrasa z PO za obraźliwe memy**

FOT. CEZARY ASZKIELOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wawczej« z autorem w znanej uczelni z Torunia, gdzie miał etat”.

Cenciekiewicz na pytanie o pracę na uczelni ojca Rydzka odpowiada: „Pani kompletnie nie rozumie sytuacji, w jakiej się znalazłem za reżimu Tuska.

Rigamonti: Reżimu?

– Podkrećam, dla wywiadu to zawsze lepiej. Byłem bez pracy. Jedyny człowiek, który wyciągnął do mnie rękę i zaproponował pracę, to o. Rydzka. Stało się to po mojej habilitacji w 2011 r. I za to jestem mu do zgonnie wdzięczny”.

Wydana w 2013 r. książka „Wałęsa. Człowiek z teczki” przypomina zapis obsesji. Historyk i publicysta Adam Leszczyński – sam krytyczny wobec sporej części spuścizny pierwszej „Solidarności” i III RP – w „Wyborczej” pisał: „Cenciekiewicz serdecznie nienawidzi swojego bohatera: to nienawiść wodzi jego piórem i wylewa się z każdego zdania. Wybiera z jego biografii wyłącznie to, co jest najgorsze i najbardziej podejrzane; każdą plotkę opowiadaną po latach rozdyma i traktuje jako fakt; przypisuje Wałęsie wszystko, co najgorsze. Opisuje człowieka, który jest potworem, kłamcą, krętaczem, pozbawionym charyzmy oszustem oraz, co nie bez znaczenia, agentem bezpieki. Od dzieciństwa Wałęsa był zakałą ludzkości. Repetował siódmą klasę, w zawodówce dał się poznać jako rozrabiacz i palacz, miał nieślubne dziecko, którym się nie interesował, jego dalsi krewni byli w SB, inni mieli zatargi z prawem... Potem kłamał, kradł, donosił, notorycznie zdradzał żonę, która i tak nie zasługuje na szacunek. Bo jak pisze Cenciekiewicz, »Danuta i Lech swoim pochodzeniem i lumpenproletariacką mentalnością pasowali do siebie«”.

Książka Cenciekiewicza nie jest pracą historyczną, lecz ordynarnym paszkwilem.

Leszczyński zwraca uwagę, że Cenciekiewicz ignoruje te fragmenty dokumentów, które mogłyby chociaż odrobinę poprawić zdanie o Wałęsie. Pomija nawet te, które kiedyś razem z Gontarczykiem opublikował w książce „SB a Lech Wałęsa”.

Przykład z książki, napisanej z Gontarczykiem, który Cenciekiewicz teraz przemilcza. W 1978 r. starszy szeregowy Marek Aftyka tak pisał o TW „Bolku” w notatce: „Ponowne nawiązanie kontaktu z TW »BOLEK« spowodowało u niego bardzo aroganckie zachowanie w stosunku do naszego pracownika i stwierdzenie, że na żadne spotkanie nie przyjdzie, gdyż nie chce naszych organów znać. Biorąc pod uwagę niewłaściwe zachowanie wymienionego i to, że został zwolniony ze stoczni, wyeliminowano go z czynnej sieci agenturalnej, a posiadaną teczkę personalną i roboczą złożono do archiwum”.

Lecz Wałęsa bronił się przed kampanią Cenciekiewicza nieudolnie, w efekcie przegrywał z nim procesy. W jednym z nich chodziło o to, że były prezydent narzucił historykowi bezprawne cytowanie książek na swój temat. Innym razem pozew złożył Cenciekiewicz – żądał, by Wałęsa zaprzestał rozpowszechniania sugestii, iż sfałszował on dokumenty dotyczące tajnego współpracownika SB o pseudonimie „Bolek”. We wrześniu 2021 r. sąd uznał, że były prezydent musi przeprosić Cenciekiewicza. Wyrok nie mógł być inny, bo dokumenty są autentyczne.

Wałęsa to niejedyny cel Cenciekiewicza. Historyk w swoich publikacjach deprecjonował też walczących o prawa obywatelskie i broniących represjonowanych strajkujących Komitet Obrony Robotników oraz działaczy opozycji demokratycznej związanych później z Unią

Demokratyczną. Jego prace bardzo krytycznie oceniał Jan Skórzyński, autor m.in. książki „Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników”.

„W 40. rocznicę zrywu »Solidarności« prof. Cenciekiewicz postanowił uczcić próbą kompromitacji ludzi najbardziej zasłużonych dla jej powstania. Ignorancja walczy o lepsze z manipulacją. Chodzi przede wszystkim o zmianę hierarchii liderów ruchu wolnościowego, o zrzucenie z pomników historycznych przywódców »S« i wyniesienie na to miejsce innych działaczy. Pozostając w zgodzie z regułami naszego fachu, nie da się zastąpić Lecha Wałęsy ani Anną Walentynowicz, ani Lechem Kaczyńskim, ani Andrzejem Gwiazdą. Dyrektor WBH próbuje więc zakwestionować osiągnięcia i postawy – polityczne i etyczne – Lecha Wałęsy, Jacka Kuronia, Bogdana Borusewicza i innych opozycjonistów” – podsumowuje Skórzyński.

Osobną krucjatę Cenciekiewicz prowadził przeciwko Tadeuszowi Mazowieckiemu. Premier pierwszego niekomunistycznego rządu – jak relacjonują mi jego przyjaciele – bardzo przeżywał te publikacje, szczególnie tę w piśmie „Historia Do Rzeczy”, opublikowaną kilka miesięcy przed śmiercią Mazowieckiego.

W 2010 r. wydał książkę „Anna Solidarność” o Annie Walentynowicz, legendarnej robotnicy organizującej opór wobec władzy w Stoczni Gdańskiej, która z czasem radykalizowała się i stała zwolenniczką różnych spiskowych teorii na temat Wałęsy. W apologetycznym dziele Cenciekiewicz pomija rzecz fundamentalną, którą opisali Dorota Karaś oraz Marek Sterlingow dziesięć lat później w książce „Anna szuka raju”.

Wcześniej obowiązywała wersja, którą opisał również Cenciekiewicz: urodziła się w biednej polskiej rodzinie Lubczyków na Wołyniu. Ojciec Jan zginął w czasie kampanii wrześniowej, brata Andrzeja NKWD wywiozło na Syberię i słuch po nim zaginął. Jej matka Aleksandra zmarła w czasie wojny i Anna została sierotą. Obcy ludzie przygarnęli ją i uratowali od rzezi wołyńskiej. Z nimi wróciła do Polski, osiadła w Gdańsku i tu po latach stała się legendą. Od niej zaczął się gdański strajk w sierpniu '80.

Prawda okazała się inna: mama miała na imię Priszka, a ojciec Nazar. Walczył na wojnie, ale nie obronnej 1939 roku, tylko w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, i nie w armii polskiej, tylko w Czerwonej, bo był Ukraińcem, dożył lat 90. Brat miał na imię Iwan, nie Andrzej. Został aresztowany przez NKWD i zesłany na Syberię, ale za działalność nie w polskim ruchu oporu, lecz w ukraińskim, bo był bojownikiem Ukraińskiej Powstańczej Armii. No i wrócił z zesłania cały i zdrowy. Mieszkał blisko rodzinnej wsi.

Zapewne w środowisku, w którym Walentynowicz była pełnowymiarową bohaterką, informacja, że jest Ukrainką, mogła jej zaszkodzić. Część radykalnych środowisk prawicowych jest antyukraińska, UPA to dla nich zbrodniarze, a Wołyn zajmują najważniejsze miejsce w ich agendzie historycznej. Czy Cenciekiewicz specjalnie pominął ten wątek, bo nie pasował do hagiografii? W końcu po ukazaniu się książki „Anna szuka raju” dał krytyczną recenzję: publikacja jest obraźliwa dla Walentynowicz i odziera ją z prywatności.

W tym samym tekście w Onecie tłumaczył się: „Pisząc biografię Walentynowicz w latach 2009-10 nie miałem o tej historii pojęcia. Wprawdzie krótko przed ukazaniem się książki słyszałem o »rodzinie Lubczyków w Równem«, ale w zasadzie wszyscy rozmówcy, na czele z samą panią Anią, pomniejszali znaczenie tych informacji, sprowadzając wszystko do opowieści o »jakimś dalszym kuzynostwie«. Wątek dziecięcych lat pani Ani jest w mojej książce zupełnie marginalny. Charakter mojej rozprawy kazał mi skoncentrować się na historii politycznej Polski, zwłaszcza po 1970 r. oraz na aktywności Walentynowicz w antykomunistycznym ruchu oporu”.

Dorota Karaś uważa, że także w 2010 r. można było się zorientować, iż z tą opowieścią o korzeniach jest coś nie tak. Walentynowicz jeździła do Ukrainy i ewidentnie nie chodziło o „dalekie kuzynostwo”. Ale kiedy o hipotezie związanej z ukraińskimi korzeniami napisał w 2016 r. prof. Igor Hałagida, a IPN to reklamował, Cenciekiewicz chyba nie przyjął tego do wiadomości. „Ostrożnie z polecaniem takich tekstów” – napisał na Twitterze.

Sławomir Cenciekiewicz jest radykalnym konserwatystą. Działal w Bractwie Piusa X zrzeszającym lefebrystów, zarówno kapłanów, jak i osoby świeckie. Stowarzyszenie sprzeciwiało się m.in. luzującym doktrynę, dopuszczającym ekumenizm i większy udział świeckich w Kościele, ustaleniom Soboru Watykańskiego II. Jego zdaniem religia katolicka jest jedyną prawdziwą religią. „Lubię porządek. Na pewno z punktu widzenia Boga jestem człowiekiem bardzo grzesznym i okropnym. Tu mam książkę o ulubionym świętym Maksymilianie Kolbem i kiedy czytam o nim, to widzę swoją nicość. Jednak wiem, co było porządkiem w Kościele kiedyś, a co jest nieporządkiem teraz. Począwszy od tego, jak wygląda liturgia, jak wyglądają kościoły. To problem szeroko rozumianej wrażliwości estetycznej i kwestii doktrynalnych, które za tym idą. Podobają się pani

Cenciekiewicz na Twitterze: „Reset Tuska z Rosją objął wszystkie dziedziny! Zobaczycie jeszcze ile szkód to Polsce przyniosło”

śpiewy w kościele? Te »Czy wy wiecie, że jesteście świątynią« i te układy choreograficzne? Ten harmider panujący w kościele dla kogoś takiego jak ja, kto lubi ciszę i spokój, jest nie do przyjęcia” – zwierzał się w „DGP”. A ostatnio na Twitterze oburzał się obecnością na uroczystości kościelnej kobiet ministrantek: „Jeszcze pazury pomalowała ministrantka”.

W tweecie podaje też taką opinię: „Dziś, gdy już powszechnie wiadomo, że reformy posoborowe były tragicznym w skutkach i skrajnie nieudanym eksperymentem, trudno już bając o »Wiośnie Kościoła«, co było normą za JP2, a które to bzdury powiela Franciszek”.

– Nie ma pan dzieci, prawda? – pyta Rigamonti.

– Prawda. Ale zawsze chciałem mieć, nawet z siódmką. Dużo, tak jak Kościół nakazuje.

Osoby, które znają Cenciekwicza, nie chcą wypowiadać się o nim pod nazwiskiem. Wskazują, że jest bezwzględny w walce z oponentami. Brutalnie niszczy ludzi, których uważa za wrogów. – Z Cenciekiewiczem jest problem, bo to nie jest tak, że on jest wiernym wykonawcą poleceń PiS. Zdarza się, że krytykuje tę partię, ma przebiegliści uczciwości. Krytykował słynną ustawę o IPN, która knebłowała historyków. Tę, która wywołała awanturę na świecie i sprzeciw Izraela oraz USA. Skrytykował ostatni skandaliczny spot PiS o Auschwitz – mówi jeden z moich rozmówców.

– To jest zdolny historyk, sprawny w wyszukiwaniu źródeł. Ale gdy idzie w politykę, staje się propagandystą. Potrafi być bardzo koleżeński, a nawet przyjazny wobec ludzi, z którymi się nie zgadza, ale chwilę później następuje gwałtowna przemiana. Jest totalnie nieprzewidywalny, nigdy nie

wiesz, z czym wyskoczy – słyszę od osób, które go znają. Ale też wielu polityków PiS czy ludzi niegdyś związanych z tą partią twierdzi, że w zasadzie go nie zna, bo Cenciekiewicz nie jest towarzyski. Jakobiński rys jego charakteru odstrasza ludzi.

Dziś, niczym za czasów potęgi Macierewicza i komisji likwidacyjnej WSI, Cenciekiewicz znowu wydaje się blisko szczytu władzy i decydującego wpływu na kształt polskiej polityki: jest wymieniany jako potencjalny członek lub nawet przewodniczący komisji ds. badania wpływów rosyjskich, którą powołała do życia ustawa nazywana „lex Tusk”.

PiS, powołując tę komisję, stworzył sobie potężne narzędzie wpływu nie tylko na najbliższe wybory, ale też na całą scenę polityczną – komisja może ukarać osobę, której „udowodni” uleganie rosyjskim wpływom, 10-letnim zakazem pełnienia funkcji publicznej. Przejmując – niezgodnie z konstytucją i unijnym prawem – kompetencje nawet większe (bo decyzja o skazaniu polityka wchodzi w życie natychmiast, natomiast zablokowanie jej może się okazać niemożliwe, bo komisja musi przesłać sądowi akta, a może je trzymać w nieskończoność), niż mają prokuratura i sąd, komisja może więc wykluczyć z życia publicznego swego największego wroga i lidera opozycji. A to, że Tusk jest jej celem,

Komisję więc popiera i nie widzi żadnych jej wad. Na moją uwagę: „PiS miał rząd, służby, prokuraturę, parlament, prezydenta, przejął Trybunał Konstytucyjny i niektóre sądy. I przez osiem lat nie zdołał odpowiedzieć na te pytania, sformułować aktu oskarżenia. Skrajnie nieudolna władza. A teraz chcą się czegoś dowiedzieć. Groteska”, odpowiada w sposób, który może być interpretowany jako próba zastraszenia. „Siedzę w resecie ponad rok i komisja mi do wiedzy nie potrzebna. No może rozmowa z byłą dyrektorką Departamentu Spraw Zagranicznych KPRM by się jeszcze przydała do ułożenia sobie kilku kwestii jak będę już pisał książkę”.

Cenciekiewicz ma na myśli Agnieszkę Wielowieyską, byłą szefową departamentu w kancelarii premiera, siostrę autorki tego artykułu. Jego wpis można traktować jako groźbę, ponieważ członkowie komisji, która w jaskrawy sposób łamie konstytucję, mogą pomówić każdego obywatela o wszystko, nie ponosząc żadnej odpowiedzialności. Tak bowiem przewiduje ustawa o komisji. Natomiast osoby, które odmówią zeznań przed tym niekonstytucyjnym organem, będą obłożone drakońskimi karami, mogącymi sięgać w sumie 70 tys. zł.

Słowa Cenciekwicza mogą świadczyć o tym, że od roku szykuje się do swojej roli, szukając dokumentów na Tuska. W całym PiS panuje od dawna wzmożenie i poszukiwanie w urzędach czegokolwiek na rząd PO-PSL. Część znalezisk ujawniła TVP, ale żadnych rewelacji tam nie ma, więc mało kto się nimi przejął. Komisja ma podbić zainteresowanie tymi odkryciami.

Gdy na wielkim marszu 4 czerwca Lech Wałęsa wymienił nazwisko Cenciekwicza, lekko je przekręcając, ten był zachwycony i wykorzystał to w kolejnych reklamach swoich książek w mediach społecznościowych. Także 4 czerwca Cenciekiewicz podaje dalej wpis Macierewicza: „Wybory z 4 czerwca nie miały nic wspólnego z demokracją. Była to realizacja układu, na którego czele stał zbrodniarz Jaruzelski, a który gwarantował członkom PZPR większość miejsc w Sejmie. Nie jest do data zwycięstwa demokracji, lecz data zwycięstwa komunistów nad demokracją”.

W wyniku tych wyborów, w których społeczeństwo wręczyło czerwoną kartkę PZPR, Jarosław i Lech Kaczyńscy zdobyli mandaty senatorskie. Niedługo po wyborach 4 czerwca, na polecenie Wałęsy, zbudowali nową koalicję „Solidarność” z niedawnymi partiami satelickimi PZPR, odpowiednio niby-ludową i niby-chadecką – Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym i Sojuszem Demokratycznym – jako zaplecze rządu Mazowieckiego. Wspierali jego kandydaturę.

Dziś Kaczyński udaje, że tego wszystkiego nie było, a poza tym kreuje fałszywy mit rządu Jana Olszewskiego jako obalnego za śmiałe próby oczyszczenia z wpływów „czerwonych pajaków” gospodarki, polityki i życia publicznego młodej III RP, choć wcześniej uważał ten rząd za skrajnie nieudolny. No i Kaczyński, wspierając Wałęsę w wyborach prezydenckich w 1990 r., doskonale wiedział o pogłoskach na temat uwikłania lidera „S” na początku lat 70. Później wojnę wytoczył mu dlatego, że Wałęsa nie chciał być bezwonną marionetką w rękach braci, a oni nie zdołali zdominować Kancelarii Prezydenta.

Potem prezes PiS podporządkował swoją obecną opowieść jednemu celowi: zniszczyć Wałęsę, wygumkować go z historii Polski. I niezależnie od tego, co Kaczyński sądzi o Cenciekwiczu, a Cenciekiewicz o Kaczyńskim, ta idea wiąże ich tak silnie, że nic nie jest w stanie ich poważnie poróżnić.

Działalność Cenciekwicza związana z krucjatą przeciwko Wałęsie i z likwidacją WSI wskazuje, że – jeśli znajdzie się on w komisji badającej rosyjskie wpływy – to instytucja ta będzie sądem kapturowym i organem inkwizycji PiS. ●

Spodnie

Nieskrępowany dziaderskimi zasadami premier nie szczędzi mocnych, męskich słów.

Michał Rusinek



29 maja premier Mateusz Morawiecki był w Radomiu. Tym razem nie przybył tam, jak poprzedniego dnia, biało-czerwonym samolotem, za to zorganizowano mu konferencję prasową na tle żółtej koparki. Oraz nowoczesnego budynku Centrum Informatyki Ministerstwa Finansów, przed którym powiewały flagi Polski i – o dziwo – Unii Europejskiej.

Kontrast między starą koparką (symbolizującą politykę finansową Platformy Obywatelskiej) a nowym budynkiem (będącym symbolem polityki finansowej PiS) był uderzający. W dodatku na koparce rozwieszony został baner zawierający (w komiksowym dymku) cytat z Donalda Tuska, który po zapowiedziach programowych PiS dotyczących zwiększenia wydatków na tzw. politykę prorodzinną pytał, gdzie są zakopane te miliardy, które można porozdawać. Pod spodem, w drugim dymku, znajdowała się dumna odpowiedź polskiego rządu: „w nieszczelnym systemie podatkowym”. To skądinąd ciekawe, że polskie instytucje publiczne porozumiewają się teraz z nami najchętniej za pośrednictwem banerów: Narodowy Bank Polski wywiesił ostatnio na własnej siedzibie gigantyczny baner z wyjaśnieniem głównych przyczyn inflacji. Z banerami się nie dyskutuje.

Wróćmy jednak do koparki. Znajdujący się na niej baner zawiera cytat niedokładny, by nie rzec: zmanipulowany. Otóż Tusk nie pytał, gdzie były zakopane pieniądze, ale

gdzie są. Dostał natomiast odpowiedź nie na pytanie, gdzie są, ale gdzie były. W dodatku jego słowa zostały na banerze zilustrowane paletą z pieniędzmi, jaką Tusk posłużył się kiedyś w nagraniu wideo pokazującym pieniądze z KPO, które mogą do nas nie trafić przez taką, a nie inną politykę rządu. Zagranie sprytne, ale nieczyste: miało za zadanie rozbroić retoryczną siłę obrazu, zamienić na palecie pieniądze z KPO na pieniądze z uszczelnienia systemu podatkowego. Gdy Tusk mówi o jakichkolwiek pieniądzach, to sam prowokuje, by mu wspomnieć „mafię watowską”, która przecież szalała w czasach jego rządów.

Premier nie szczędził mocnych, męskich słów owej mafii: oszuści, cwaniaki, pijawki – pojawiały się wielokrotnie. Ba, nie szczędził też podobnych słów politykom Platformy Obywatelskiej: błyskotliwie rozszyfrował skrót PO jako „Partia Oszustów” i wykorzystał zabieg aliteracji, by mówić o nich „partacze”. A także „partia niemocy” i „partia chłopców w krótkich spodenkach”. Czy był to przytyk do hobbystycznie uprawianego przez niektórych polityków PO sportu? Czy po prostu zarzut infantylnemu wobec poprzedniej władzy? Nie wiadomo. Z pewnością jednak, mówiąc to, miał na sobie długie spodnie.

Trochę jednak dla niepoznaki. Przyjrzymy się bowiem po dziecięcemu radosnemu i nieskrępowanemu żadnymi dziaderskimi, retorycznymi zasadami rozrzutowi metafor i porównań pana premiera. Zaczęło się od standuperskiego żartu: „W przypadku naszych poprzedników” – powiedział Morawiecki – „zarządzanie finansami publicznymi przypominało Europę Zachodnią tylko w jednym, mianowicie było dziurawe jak ser szwajcarski”. Tu pauza na nieposkromione wybuchy śmiechu i burzę oklasków. Ponieważ jednak do nich nie doszło, zapewne z uwagi na złe dobraną publiczność konferencji prasowej, premier zastosował metaforyczną wolność, mówiąc: „Przez osiem lat rządów Platformy musiano łączyć te dziury, ponieważ pieniądze przepływały jak przez durszlak”. A więc, jak pisał wieszcz, tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia: ser niepostrzeżenie zmienił się w durszlak. Doceniśmy, że przynajmniej zostaliśmy w kuchni. Ale nie na długo.

„Pan Tusk był jak znachor” – mówił dalej Mateusz Morawiecki i na chwilę przewodniczący PO zyskał dobrodliwe oczy Jerzego Bińczyckiego. Ale tylko na chwilę, bo zaraz premier dodał: „On przykładał do systemu finansowego pijawki. No i właśnie mniej więcej tak to się kończyło. Pijawki watowskie, pijawki różnych cwaniaków wysysały krew z naszego państwowego polskiego organizmu”. Wizja przedstawia się więc następująco: były premier, zatroskany stanem finansów państwa, postanawia je uzdrowić. Nie stosuje jednak narzędzi naukowych, lecz tradycyjne, ludowe, nienowoczesne. Przykłada do organizmu państwowego pijawki, licząc, że w ten sposób poprawi stan pacjenta. Wtedy jednak one pokazują swoją prawdziwą naturę: zamiast leczyć – wysysają krew. To nie lecznicze pijawki, ale watowscy krwiopijcy! Scena jak ze złego snu. Robi się nam niedobrze. Zwłaszcza że jesteśmy po szwajcarskim serze, który okazał się durszlakiem.

To ciekawe, że polskie instytucje publiczne porozumiewają się teraz z nami najchętniej za pośrednictwem banerów

Dalej jest jeszcze gorzej, bo Mateusz Morawiecki częściej nas szczególnie ryzykownym w takich przypadkach napojem, wykrzykując: „Partacze z Platformy Obywatelskiej! Oni tak się znali i znają na podatkach, jak kot na kwaśnym mleku!”. Ja wiem, że istnieje takie powiedzenie, ale uważam, że jest ono głęboko nieprawdliwe: jeden z moich kotów gardzi bowiem mlekiem jako takim, jest natomiast koneserem jogurtu, kefiru i zsiadłego mleka.

To jednak nieistotne. Istotne natomiast, że skoro w wypowiedzi pana premiera pojawiło się jedno zwierzę, to możemy mieć pewność, że zaraz pojawią się następne: „Wzrost podatku CIT w czasach PO: 2 procent, w czasach PiS: 200 procent” – powie-

dział Morawiecki i zaraz przełożył to na język zrozumiały przez dzieci: „To trochę jak porównanie mrówki do słonia”. Tego typu porównania niosą ze sobą pewne niebezpieczeństwo: zamiast dostrzec szokującą różnicę wielkości, o którą chodziło premierowi, możemy odnieść wrażenie, że politycy PO zachowywali się jak pracowite mrówki, obecni rządzący są natomiast jak słoń w składzie porcelany.

Ale nie premier. Premier wiruje w owym składzie porcelany z wdziękiem baletnicy, by na końcu unieść się w rejony biblijne. Zdaniem Morawieckiego PiS buduje bowiem Polskę „na solidnym fundamencie, na skale” – podobnie jak Chrystus swój Kościół (Mt 16, 18). Oto porównanie, które nie pada wprost, ale wywołuje pożądane przez mówcę skojarzenia i dokonuje swoistej apoteozy Prawa i Sprawiedliwości.

Chciałoby się powiedzieć: amen. Ale nieco wcześniej pan premier wtrąca inne zdanie, które mimo jego zamierzeń brzmi nam w uszach głośniejsze niż ewangeliczny kryptocytat. Mówi bowiem, że za czasów PiS-u mamy znacznie mniej kontroli podatkowych, „a jednak system jest o wiele bardziej sprawny, uczciwy i wszystko jakoś działa”. Słowo „jakoś” jest tutaj znamienne i brzmi najgłośniejsze. „Jakoś” może oznaczać, że mimo mniejszej liczby kontroli paradoksalnie – wszystko działa. Może też oznaczać, że nie działa najlepiej, ale „jakoś”, czyli – o dziwo działa. A może wreszcie być nawiązaniem do Mickiewiczowskiej frazy: „Ja z synowcem na czele, i – jakoś to będzie!”. Po co nam liberalna demokracja, pieniądze z KPO, wsparcie Unii i USA – jakoś damy sobie radę! To „jakoś” jest słowem arcypolskim, doskonale egzemplifikującym nasz charakter narodowy. Nie wiem, jak Państwo, ale ja się tego infantylnego „jakoś” obawiam najbardziej. Zwłaszcza w ustach premiera noszącego dla niepoznaki długie spodnie. ●



FASCYNUJĄCY PORTRET

Wisławy Szymborskiej

WYDANIE SPECJALNE
Z OKAZJI ROKU NOBLISTKI

Poetka nie była zachwycona, gdy Anna Bikont i Joanna Szczesna zaproponowały, że napiszą jej reporterską biografię. Czytając „Pamiętkowe rupiecie” w pełnym wydaniu być może nie zmieniłaby zdania – nie jest łatwo przegłądać się we własnym życiu opisanym tak wnikliwie i szczerze. Jednak mimo to, zapewne w końcu w tej wielowymiarowej, fascynującej historii odnalazłaby całą siebie.

Adam Michnik poleca: Ratzinger, jakiego nie znacie

FOT. STEFANO SPAZIANI/AP

NIEPANCERNY

Zawsze miał w sobie coś serafickiego, nadziemskiego.
Jego delikatność i mądrość robiły wrażenie, jakby był niezupełnie z tego świata

Tomasz Polak*

1 RP

AMBIWALENCJA PIERWSZA: „MY”

Zacznę od wspomnienia mojego pierwszego wykładu na Papieskim Wydziale Teologicznym w Poznaniu w roku 1984. Zlecono mi wtedy wykładanie „Wprowadzenia do teologii”. Postanowiłem pokazać słuchaczom sylwetki kilkunastu teologów chronologicznie, ale cofając się od współczesności do starożytności. Dlatego zacząłem od Józefa Ratzingera – to on stał się przedmiotem mojego pierwszego wykładu.

Tak się złożyło, że podczas moich rowerowych wędrówek wakacyjnych tego roku przejeżdżałem przez Bawarię, która właśnie przygotowywała się do wyborów. Wszędzie można było zobaczyć plakaty wyborcze CSU z hasłem „Wir in Bayern” („My w Bawarii”). Bawarski sposób myślenia wyrażony w skrócie skojarzył mi się ze sposobem myślenia Ratzingera, który przecież był Bawarczykiem, choć pewnie nie całkiem typowym.

Oczywiście jego „my” dotyczyło nie bawarskości, ale kościelności. On był niewątpliwie człowiekiem „my”, a w jego „my” mieścił się przede wszystkim Kościół rzymski i katolicki, co nie wykluczało odniesień do innych wyznań chrześcijańskich, a także judaizmu i żydowskich korzeni Kościoła.

To przywiązanie do „my” jest pierwszą ambiwalentną cechą osobowości Józefa Ratzingera, jako teologa, ale też człowieka Kościoła, biskupa, kardynała, papieża...

Ambiwalencja polega na tym, że takie przywiązanie jest zapewne samo w sobie czymś dobrym, ale łatwo staje się zbyt wąskim i praktycznie nieprzekraczalnym horyzontem. To właśnie przytrafiło się Ratzingerowi – podobnie zresztą jak Karolowi Wojtyła i wielu innym. Oni nie chcieli i w związku z tym nie byli zdolni widzieć Kościoła spoza Kościoła. To Kościół – rzymski, katolicki – był ich światem. Był właśnie tym, co w skrócie wyraża: my.

Istotą problemu w przypadku Ratzingera stało się załamanie i odejście świata, w którym wyrósł: świata niemieckiego, a zwłaszcza bawarskiego, katolicyzmu pierwszych dziesięcioleci po II wojnie światowej. Ten czas załamał się w latach 60. Za symbol tego załamania uchodzi rewolta roku 1968 i jej skutki.

Mówiło się, że reakcją prof. Ratzingera na nie stał się jego narastający konserwaryzm. Ale to nie jest takie proste – to było wiele procesów, które nakładały się na siebie. Niemniej nowy świat – ludzi myślących, niepodporządkowanych dawnym hierarchiom, nastawionych na osobistą wolność, także seksualną, i na zmianę skostniałych społeczeństw – nie tylko był dla Ratzingera obcy, ale też napędliał go jeśli nie niesmakiem, to przynajmniej poczuciem utraty tego, co dotąd z naturalną oczywistością mieściło się w jego „my”.

Takich ambiwalencji było w jego życiu i działalności więcej.

AMBIWALENCJA DRUGA: FIZYCZNOŚĆ

To jest sprawa, na którą w zbyt małym stopniu zwraca się uwagę w biografiach, zwłaszcza intelektualnych i politycznych. Tymczasem trudno przecenić znaczenie fizyczności postaci, o której mowa. Ratzinger całe życie był człowiekiem delikatnym, fizycznie niezbyt silnym, wręcz kruchym.

Esther Betz, późniejsza współwydawczyni gazety „Rheinische Post” w Düsseldorfie, która w latach 1946–53 studiowała i pracowała jako prywatna sekretarka u prof. Michaela Schmausa i dobrze знаła Ratzingera, napisała, że w jej odczuciu jako młodej studentki Ratzinger „zawsze miał w sobie coś serafickiego, nadziemskiego. Jego delikatność i mądrość robiły na niej wrażenie, jakby był niezupełnie z tego świata. Czulo się, że trzeba się nim opiekować”.

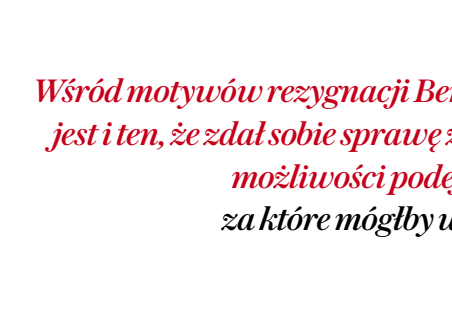
Ta opinia zgadza się z wieloma innymi, także z moim własnym doświadczeniem bezpośrednich spotkań z Ratzingerem. Kie-

dy byłem członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej, widywałem go regularnie zarówno w czasie obrad, jak i w przerwach. Był przyjazny, nie wywyższał się, nie narzucał, ale równocześnie był wyraźnie wycofany i było to wycofanie psychiczne, ale ewidentnie związane z jego fizycznością.

Podczas obrad interweniował rzadko, nigdy ostro, a jeśli już, to ze spokojnym autorytetem. Zresztą od bieżącego czuwania nad ortodoksją miał w Komisji „podręcznego inkwizytora” – dominikanina Georges’a Cottiera, późniejszego kardynała. Kiedy pojawiał się pogląd na granicy ortodoksji, Ratzinger pytał, co sądzi o tym o. Cottier, a ten zdecydowanie robił to, co do niego należało.

AMBIWALENCJA TRZECIA: KARIERA

Według wspomnień współstudium Ratzinger był wyróżniającym się studentem. Studiował w Freising blisko Monachium, współstolicy biskupiej archidiecezji Monachium-Freising.



Walter Brugger, jeden ze studentów z tamtych czasów, wspomina: „była tu [na tzw. wzgórzu uczonych we Freising] jedność, którą tworzyli: docenci, profesorowie, katedra i liturgiczne życie seminaryjne, co rodziło szczególną świadomość. Był to także określony ideał. To właśnie kształtowało pokolenia kapłanów”. Jedność katolicka nie oznaczała przy tym zamykania się w przeszłości. Przeciwnie, „wszyscy czuliśmy się tutaj postępowi – wspominał te lata Ratzinger. – Chcieliśmy odnowić teologię od podstaw, a tym samym na nowo ukształtować i ożywić Kościół”.

Studenci byli szczęśliwi, że żyją w czasach, „w których otwierały się nowe horyzonty i nowe drogi”. Mimo niepokoju – bo w powietrzu wciąż wisiała atmosfera wojny – „panowała radość bycia razem”. Biograf Ratzingera Peter Seewald pisze, że to „wdzięczność i wola rozwijania się były uczuciami, które kształtowały studentów i wykładowców na nowej wspólnotowej drodze. Od razu zapanowała bardzo żywa atmosfera i wielki duchowy zapal, który szybko wciągał”.

Seewald w biografii Ratzingera („Benedykt XVI. Życie”, Znak 2021, przekład Wiesław Szymona OP) zapisał też jego wyznanie. Powiedział on otwarcie, że przez długi czas problemem było dla niego widzenie siebie samego jako księdza w parafii – „byłem raczej nieśmiały i pozbawiony zmysłu praktycznego”. W dodatku „nie miałem ani zdolności sportowych, ani organizacyjnych, ani administracyjnych”. Dołączała się do tego „wątpliwość, czy będąc nieśmiałym i lubiącą samotność, będę umiał znaleźć dostęp do człowieka. Z tego rodzaju pytaniami nie zawsze można się było łatwo uporać”. I dodawał: „nie brakowało kryzysowych chwil”.

W 1947 r. Ratzinger zaczął studiować teologię w Monachium. Trafił tam na grupę wybitnych profesorów. Najbardziej zafascynował go Gottlieb Söhngen – bardzo oryginalny przedstawiciel ówczesnej niemieckiej teologii fundamentalnej, czyli tej dziedziny teologii, która zajmuje się konfrontacją i dialogiem wiary i teologii katolickiej z innymi teologiami, religiami i światopoglądami.

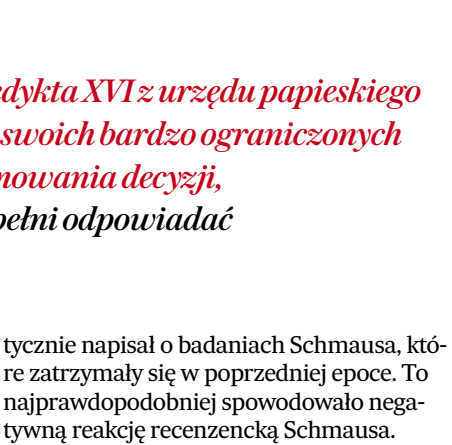
Söhngen zaproponował mu napisanie pod swoim kierownictwem doktoratu i wybrał dla niego temat: „Lud i dom Boży w na-

uce św. Augustyna o Kościele”. Taka procedura wynikała ze skierowania doktoranta do konkursu na stypendium doktorskie – dość trudne do uzyskania. Ratzinger napisał bardzo dobrą rozprawę – temat był mu bliski, bo przez całe swoje życie naukowe był augustynistą i w związku z tym platonikiem, nie tomistą i arystotelikiem.

Następnym krokiem była habilitacja. Ratzinger przygotował ponad 700-stronicową pracę o „Teologii historii Świętego Bonawentury”.

„Wtedy zaczęły się komplikacje – drugi recenzent prof. Michael Schmaus pracę odrzucił jako »nienaukową«”. Ten „bardzo wówczas ceniony teolog [tłumaczony także na polski] był postacią barwną i kontrowersyjną. W latach 30. był zwolennikiem Hitlera, po wojnie musiał się z tego tłumaczyć, ale ostatecznie przeszedł proces denazyfikacji i wrócił na uniwersytet monachijski.

Był też bardzo przekonany o swojej wybitności teologicznej i nie znosił, kiedy ktoś wkraczał na teren jego badań nad późnośredniowieczną teologią franciszkańską. A to właśnie zrobił habilitant Ratzinger. Do tego nie dochował należytej uwagi i bardzo kry-



Wśród motywów rezygnacji Benedykta XVI z urzędu papieskiego jest i ten, że zdał sobie sprawę ze swoich bardzo ograniczonych możliwości podejmowania decyzji, za które mógłby w pełni odpowiadać

tycznie napisał o badaniach Schmausa, które zatrzymały się w poprzedniej epoce. To najprawdopodobniej spowodowało negatywną reakcję recenzentką Schmausa.

Ratzinger początkowo był zdruzgotany. Skądinąd bardziej niż odrzuceniem habilitacji martwił się, jak to powiedzieć rodzicom, którym zapowiedział, że zamieszkają z nim, kiedy po habilitacji zostanie profesorem...

Tak się jednak złożyło, że Michael Schmaus wpisał wszystkie uwagi krytyczne na blisko 500 stronach pierwszej części rozprawy. Resztę pozostawił nietkniętą. Ratzinger wpadł na pomysł, że tę resztę po ponownym zredagowaniu przedstawi jako nową pracę habilitacyjną. Ta rozprawa została przyjęta, jednakże podczas kolokwium habilitacyjnego Schmaus próbował raz jeszcze zablokować habilitację, oskarżając Józefa Ratzingera o modernizm – co wówczas było bardzo poważnym zarzutem. Jednak Ratzinger się obronił i w roku 1959 został profesorem Uniwersytetu w Bonn.

Swoją inauguracyjny wykład zatytułował »Bóg wiary i Bóg filozofii«. W 1963 r. przeniósł się do Münster. Na pierwszym wykładzie aula wykładowcza była wypełniona po brzegi, już wtedy był znanym teologiem. Na II Soborze Watykańskim (1962–65) był doradcą teologicznym arcybiskupa Kolonii Josepha Fringsa. Podczas soboru był uważany za zdecydowanego reformatora i faktycznie współpracował z takimi reformatorami teologii jak Hans Küng i Edward Schillebeeckx.

Sam Ratzinger przyznał, że był i po części pozostał wielbicielem Karła Rahnera, znanego teologa Nouvelle Théologie / Nowej Teologii, który popierał reformy i sam wznosił oryginalne teologiczne poglądy. Później był jeszcze profesorem w Tybindze i w najbardziej przez niego lubianym Regensburgu [Ratyzbonie]”.

AMBIWALENCJA CZWARTA: POZYCJE TEOLOGICZNE

Trudno tu omawiać całą twórczość teologiczną Ratzingera, w której ramach jego pozycje teologiczne, choć w zasadzie nie poglądy, zmieniają się znacznie. Mówiąc o owych „pozycjach”, mam na myśli sposób podejścia do pracy teologicznej, do języ-

ka teologii i do zjawisk spoza głównego nurtu akceptowanej przez niego postaci teologii katolickiej. Ambiwalencję tych pozycji pokażę w skrócie, odwołując się do trzech tekstów: jednego z początku i dwu z końca jego teologicznej drogi.

„WPROWADZENIE W CHRZEŚCIJAŃSTWO”

To książka powstała na kanwie cyklu wykładów, które prof. Ratzinger wygłosił dla studentów wszystkich wydziałów Uniwersytetu w Tybindze w semestrze letnim roku 1967 – w ramach wykładów ogólnouniwersyteckich. Zostały one przyjęte z wielkim zainteresowaniem, jeśli nie wręcz z entuzjazmem. Autor postanowił więc wydać je w książce (1968, pierwsze wydanie polskie: Znak, 1994, przekład Zofia Włodkowa). W ciągu roku książka sprzedawała się w 45 tys. egzemplarzy.

Ratzinger napisał tam m.in., że papież ma obowiązek słuchania różnych głosów w Kościele podczas podejmowania decyzji. Pisał także, że Kościół od wieków jest zbyt scentralizowany, ograniczony i nadmiernie kontrolowany przez Rzym. Te zdania jednak nie zostały wydrukowane w kolejnych wydaniach książki, „gdyż zostały błędnie zinterpretowane”.

„Wprowadzenie” słusznie uchodzi za najlepszą książkę Ratzingera – chociaż nie jest to fachowa książka teologiczna, ale teologia dla tych, którzy się nią profesjonalnie nie zajmują. Uznano ją za swego rodzaju manifest teologicznej nadziei opublikowany przez „wschodzącego” teologa.

PRZEMÓWIENIE RATYZBOŃSKIE

12 września 2006 r. Benedykt XVI podczas wizyty w Niemczech wygłosił na „swoim” Uniwersytecie w Ratyzbonie do świata akademickiego i intelektualnego przemówienie, które wzbudziło bardzo silne, w znacznej części negatywne reakcje. Negatywne dotyczyły głównie pierwszej części przemówienia poświęconej krytyce możliwości realnego zbliżenia teologii chrześcijańskiej z myślą teologiczną islamu. Rzeczywiście w tekście Benedykta XVI mamy daleko posunięty sceptycyzm co do kompatybilności grecko-chrześcijańskiego obrazu Boga i obrazu Boga, który znajdujemy w centrum religijności i teologii islamskiej.

Jednak bardziej istotny i krytyczny element tego przemówienia to jego część środkowa poświęcona trzem falom dehellenizacji chrześcijaństwa.

Pierwsza to reformacyjne, a w szczególności Lutrowe, odrzucenie średniowiecznego ufilozoficznienia chrześcijaństwa – na rzecz powrotu do czystego archetypu wiary pierwotnie zawartego w słowie biblijnym.

Druga fala pojawiła się wraz z liberalną teologią XIX i XX wieku – czemu mówca poświęca najwięcej krytycznej uwagi (cytat poniżej).

Fala trzecia to aktualne spotkanie chrześcijaństwa z wielością kultur. Wyraża się ona w przekonaniu, że synteza z Grecją, która dokonała się we wczesnym Kościele, była pierwszą inkulturacją chrześcijaństwa, z którą nie należy jednak wiązać innych kultur. Ich prawem musi być powrót przed tę inkulturację do prostego przesłania Nowego Testamentu, aby je na nowo wyrazić w swoich własnych przestrzeniach kulturowych. Ratzinger uważa ten pogląd za fałszywy i fatalnie uproszczony.

Natomiast o drugiej fali mówi tak: „Liberalna teologia XIX i XX wieku przyniosła ze sobą drugą falę w programie dehellenizacji, której wybitnym przedstawicielem jest Adolf von Harnack. Podczas moich studiów, jak również we wczesnych latach mojej kariery akademickiej, program ten prężnie działał również w teologii katolickiej. Punktem wyjścia było dokonane przez Pascala rozróżnienie między Bogiem

filozofów a Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakuba. (...)

Główną ideą Harnacka jest powrót do prostego człowieka Jezusa i jego prostego przesłania, które poprzedza wszelkie teologizowanie i hellenizację: to proste przesłanie przedstawia prawdziwy szczyt religijnego rozwoju ludzkości. Jezus porzucił kult na rzecz moralności. (...)

Harnackowi zasadniczo zależy na dostosowaniu chrześcijaństwa do współczesnego rozumu, właśnie poprzez uwolnienie go od pozornie filozoficznych i teologicznych elementów, takich jak wiara w boskość Chrystusa i tróję Bogą. (...) W tle stoi współczesna powściągliwość rozumu, która znalazła klasyczny wyraz w krytyce Kanta, ale od tego czasu uległa dalszej radykalizacji dzięki myśleniu naukowemu.

Ta nowoczesna koncepcja rozumu opiera się na syntezie platonizmu (kartezjanizmu) i, krótko mówiąc, empiryzmu, co zostało potwierdzone technicznym sukcesem. Zakłada się matematyczną strukturę materii, jej niejako wewnętrzną racjonalność, która umożliwia jej zrozumienie i wykorzystanie w jej efektywnej postaci”.

Krytyczny wniosek Benedykta: „W próbie uprawiania teologii »naukowo« z perspektywy tego typu myślenia z chrześcijaństwa pozostaje tylko ubogi fragment. To podmiot decyduje swoimi doświadczeniami, co wydaje mu się religijnie akceptowalne, a podmiotowość subiektywna »sumienie« ostatecznie staje się jedynym autorytetem etycznym. W ten sposób jednak etos i religia tracą swoją wspólnototwórczą moc i popadają w samowolę”.

Ten wniosek jest bardzo niesprawiedliwy, ale nie tu miejsce na szerszą krytykę tej krytyki.

Z KSIĄŻKI „JEZUS Z NAZARETU”

„Jezus z Nazaretu” (2007, pierwsze wydanie polskie: Wydawnictwo M, 2007, przekład Wiesław Szymona OP) to książka uważana przez samego autora za najbardziej osobistą – pisze o niej już w pierwszym zdaniu, że jest owocem jego długiej wewnętrznej drogi. „Patrzę w niej na Jezusa z perspektywy Jego wspólnoty z Ojcem, która stanowi właściwe centrum Jego osobowości i bez której niczego nie da się zrozumieć; w tej samej perspektywie jest On dla nas obecny także dzisiaj”.

Zacytuję jednak pomieszczone we wstępie do książki uwagi metodologiczne autora, bo one właśnie pokazują ambiwalencję jego teologicznej pozycji u schyłku życia. Pojawiają się w nich najpierw wyrazy uznania dla badań egzegetycznych, także badań metodami historyczno-krytycznymi, ale równocześnie wskazanie na ich poważne ograniczenia. Przejście do prezentacji własnej autorskiej metody Ratzingera jest w tym kontekście zaskakujące:

„Dla kreślonego przeze mnie wizerunku Jezusa znaczny to przede wszystkim, że ufam Ewangeliom. Oczywiście zakładam wszystko to, co Sobór i współczesna egzegeza mówią nam o gatunkach literackich, celu danej wypowiedzi, społecznym kontekście Ewangelii i sposobie ich mówienia w tych życiowych powiązaniach. Przyjmując to wszystko – na ile byłem do tego zdolny – chciałem jednak podjąć próbę ukazania Jezusa Ewangelii jako autentycznego Jezusa, jako »Jezusa historycznego« we właściwym znaczeniu tego określenia. (...) Postać ta jest bardziej logiczna i – również z historycznego punktu widzenia – o wiele bardziej zrozumiała niż rekonstrukcje, z którymi mieliśmy do czynienia w ostatnich dziesięcioleciach”.

I dalej: „Badania krytyczne słusznie stawiają sobie pytanie: co takiego stało się w ciągu tych 20 lat od ukrzyżowania? Jak mogła powstać taka chrystologia? Oddziaływanie anonimowych czynników wspólnoty kościelnej niczego w rzeczywistości nie wyjaśnia i nadaremnie szuka się ich podmiotów. Jak takie kolektywne czynniki mogłyby

być tak twórcze? Tak przekonujące i dynamiczne? Czy również z historycznego punktu widzenia nie jest o wiele bardziej logiczne, że ta wielkość tkwi już w samych początkach i że postać Jezusa w rzeczywistości rozsądzała wszystkie dostępne kategorie i można ją zrozumieć tylko w perspektywie tajemnicy Boga?”.

I tu jednak pojawiają się sądy niesprawiedliwe. W istocie bowiem to nie oddziaływanie anonimowych kolektywnych czynników wspólnoty kościelnej stoi za narodzinami rozwiniętej chrystologii, czyli wiary w bóstwo Jezusa, ale przeżycia, decyzje i interpretacje niewielkiej grupy dobrze nam znanych osób z kręgu Jezusa, podjęte po jego śmierci. Znowu nie tu miejsce, żeby o tej sprawie szerzej krytycznie rozprawić.

AMBIWALENCJA PIĄTA: IDEE I NAIWNOŚĆ. GMINA ZINTEGROWANA I STOSUNEK DO ŻYDÓW

Przytaczam odniesienie do może mniej znanej sprawy Katolickiej Gminy Zintegrowanej (KIG), żeby pokazać kolejną istotną ambiwalencję w sylwetce i działaniu Ratzingera. To przypadek wysoce emblematyczny.

Pisał w dawnej książce,
że papież ma obowiązek
słuchania różnych głosów
w Kościele. I że Kościół jest
od wieków zbyt scentralizowany.
Te zdania nie zostały
wydrukowane w kolejnych
wydaniach

KIG została założona w 1965 r. Początki wspólnoty sięgają roku 1945, kiedy jej inicjatorka Traudl Weiss rozwinęła swoją ideę nowego początku w Kościele, opartego na korzeniach judeochrześcijańskich, jako odpowiedzi na Zagładę. Po jej ślubie z prawnikiem Herbertem Wallbrecherem, przyjacielem z dzieciństwa Johanna Degenhardta, późniejszego arcybiskupa Paderborn, rozwinął się z tego załazek Gminy Zintegrowanej.

Grupa osiedliła się w Monachium pod koniec lat 60. Jej orientacja duchowa i teologiczna opierała się na współczesnej egzegezie, ruchu liturgicznym i ekumenicznym, żydowskich korzeniach chrześcijaństwa oraz filozofii i literaturze okresu powojennego (w tym francuskich egzystencjalistów). Członkowie Gminy postrzegali siebie jako dużą rodzinę złożoną z małżeństw i osób samotnych, księży i świeckich, starszych i młodych. Mieszkali w całym Monachium we wspólnotach mieszkaniowych, tzw. domach integracyjnych, i wykonywali swoją pracę.

Hierarchia kościelna odnosiła się do nich początkowo ze znaczną rezerwą. W 1976 r. Gmina nawiązała bliższy kontakt z Ratzingerem, który wkrótce potem został arcybiskupem Monachium i Freising oraz kardynałem. Ratzinger zatwierdził Gminę Zintegrowaną w swojej archidiecezji w roku 1978; w tym samym roku została ona również uznana w Paderborn przez abp. Degenhardta. Do gminy dołączyło kilku znanych

teologów, a ze względu na bliskość Ratzingera zyskała ona znaczny prestiż.

Rudolf Pesch, Norbert Lohfink i jego brat Gerhard, wybitni egzegeci, zrezygnowali z katedr uniwersyteckich i przenieśli się do Gminy. Rozwinęła się ona w grupę zaangażowanych katolików, głównie z południowych Niemiec, którzy zdobyli dość znaczne wpływy w Kościele i w kurii rzymskiej ze względu na swoją szczególną pozycję przyjaciół Ratzingera.

Centrum Gminy było najpierw Urfeld am Walchensee w Górnej Bawarii, a następnie poza Monachium Bad Tölz. Później założono także centrum w Italii i ośrodek w Tanzanii. 25 października 2003 r. Gmina otworzyła w swoim rzymskim centrum Akademię Teologii Ludu Bożego i z tej okazji otrzymała szczególne pozdrowienia od ówczesnego kardynała prefekta Kongregacji Nauki Wiary Ratzingera.

Zadaniem Akademii, sformułowanym przez inicjatorkę Gminy w porozumieniu z Ratzingerem, była interdyscyplinarna refleksja nad Ludem Bożym złożonym z Żydów i chrześcijan. Pierwszym dyrektorem Akademii został Ludwig Weimer, uczeń Ratzingera, który wraz z Gerhardem Lohfinkiem i Peschem jest zarazem przedstawiany jako autorytatywny teologiczny zwierzchnik Gminy.

AMBIWALENCJA SZÓSTA: PRZYWÓDZTWO I BRAK PRZYWÓDZTWA

Problem przywództwa i zarządzania Kościołem katolickim na całym świecie nie dotyczył i nie dotyczy tylko Józefa Ratzingera/Benedykta XVI. W XX stuleciu struktury Kościoła tak się rozrosły, że praktycznie stało się niemożliwe zarządzanie nimi przez decyzje podejmowane centralnie – we wszystkim, co istotne, przez jedną osobę, czyli papieża.

Ostatnim, który próbował to ogarnąć, był Paweł VI. Według przekazów codziennie wieczorem przynoszono mu walizkę dokumentów do przejrzenia i podpisania, a on rano oddawał wszystko opatrzone uwagami i podpisane. Żaden z jego następców już tego nie robił. Zdawali się na referowanie ważnych spraw decyzyjnych przez sekretarza stanu i prefektów odpowiednich kongregacji.

Oznaczało to, niestety, także możliwość manipulowania decyzjami papieskimi przez owych najwyższych urzędników kurii. Papież, który nadal był formalnie odpowiedzialny za te decyzje, firmował także owe manipulacje, zachowując przekonanie, że wszystko dokonuje się prawidłowo i transparentnie.

Dotknęło to oczywiście także Benedykta XVI. Wśród motywów jego rezygnacji z urzędu papieskiego wymieniana się to właśnie, że zdał sobie sprawę ze swoich bardzo ograniczonych możliwości podejmowania decyzji, za które mógłby w pełni odpowiadać.

O swojej pozycji w kurii rzymskiej jako prefekta Kongregacji Nauki Wiary mówił natomiast tak: „Przyszedłem tu jako kardynał – nie musiałem zatem uczestniczyć w grach o władzę czy zabiegać o karierę”. Ale niestety oznaczało to, że ci, którzy przeszli całą drogę kurialną i osiągnęli na niej najwyższe pozycje, nie odnosili się do niego przyjaźnie i próbowali ograniczać jego możliwości działania.

Należał do nich niewątpliwie kard. Angelo Sodano, sekretarz stanu za pontyfikatu Jana Pawła II. Jego relacje z Ratzingerem były dużo więcej niż szorstkie. To była walka o ostateczność decyzji, która miała należeć do Sodano i do nikogo innego.

Refleks tej sprawy pojawił się w wypowiedzi papieża Franciszka, że Ratzinger brał udział w posiedzeniu wysokich urzędników kurii w sprawie nadużyć w pewnym zgromadzeniu zakonnym – według wielu komentatorów chodziło o Legion Chrystusa i jego przestępczego przełożonego Marciała Maciela Degollado. Po powrocie do swojego biura kard. Ratzinger oddał akta sekretarzowi z poleceniem: do archiwum, wygrała druga strona.

Jednak kiedy został papieżem, odnowił sprawę Degollado, nakazał mu odejście na miejsce odosobnienia i pokuty, ale nie ukarał adekwatnie do jego przestępstw – wielokrotnego molestowania kleryków i księży, także własnych dzieci, które miał ze związków z dwiema kobietami, nadużyć finansowych, przekupstwa itd.

Peter Seewald pisze, że Ratzinger bardzo szybko zreorganizował Kongregację Nauki Wiary, którą mu powierzono. Autorom publikacji teologicznych przyznał większe, niż mieli dotychczas, prawa, a teologom oskarżanym o odchylenie od ortodoksji umożliwił obronę swoich poglądów.

W tych niespokojnych czasach, głosił, Kościół musi z podwójną mocą wykonywać swe podstawowe zadania wyznaczone przez Jezusa: nauczanie, wspomaganie, uzdrawianie. Tylko trzymając się zdecydowanie swej etyki, może się stać autentycznym doradcą i partnerem w rozwiązywaniu trudnych problemów nowożytnej cywilizacji. Zamiast Kościoła działającego odgórnie lub oddolnie polecał „Kościół działający od wewnątrz”.

Jak widać, taka postawa niezupełnie odpowiada ukutemu przez krytyków Ratzingera określeniu „pancerny kardynał” i przemocowy obronca ortodoksji. Nie

znaczy to jednak, że w jego stosunku do teologów, których uważał za błędzących, nie było autorytarnej przemocy – tego jednak Seewald nie zauważa. To znowu ambiwalencja.

Przypomnę jeszcze tzw. kryzys Vatileaks. W 2011 r. zaczęły się pojawiać przecieki do prasy z najbliższego otoczenia Benedykta. Żaden z nich nie pochodził bezpośrednio z biurka papieża, wszystkie przeszły przez biurko jego sekretarza. Dziennikarze próbowali rekonstruować źródło tych przecieków – podejrzani byli wszyscy, którzy mieli dostęp do gabinetu papieża. Padaly nazwiska, ale żadnej z wymienianych osób niczego nie udowodniono. Niemal jedynym, który został uznany za winnego i poniósł konsekwencje, był papieski kamerdyner Paolo Gabriele.

Papież powołał specjalną komisję do zbadania tej sprawy, która w grudniu 2012 r. przedłożyła mu raport ze swego dochodzenia. Pojawiły się w związku z tym spekulacje, że to właśnie ten raport skłonił Benedykta XVI do ustąpienia. Nie jest to prawdą, bo wiadomo, że decyzję o rezygnacji z urzędu podjął już przed otrzymaniem raportu – najprawdopodobniej z motywów, o których wyżej wspomniałem. Niemniej wydaje się prawdopodobne, że właśnie w tym czasie zdał sobie tym bardziej sprawę z tego, jak bardzo jest bezradny – także jako papież – i że jego słabnące siły nie pozwolą mu dalej odpowiedzialnie zarządzać światowym Kościołem.

AMBIWALENCJA SIÓDMA: URZĄD I GRZECH

Rozważania drogi krzyżowej, wygłoszone w marcu 2005 r., krótko przed śmiercią Jana Pawła II, były niesłyszczanym do tej pory oskarżeniem. „Ile brudu jest w Kościele, i to właśnie wśród tych, którzy poprzez kapłaństwo powinni należeć całkowicie do Niego!” – wołał. Jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary widział za dużo zła, żeby ta ciemna strona człowieka mogła go jeszcze zaskoczyć. Ale to, co teraz się pokazało, było bezprzykładnym dopustem – jakby jedną z bliźnich plag, potopem. Lepiej powiedzieć: potopem grzechów.

Jako prefekt Ratzinger postarał się o to, żeby seksualne nadużycia duchownych należały do kompetencji jego kongregacji. Zajmującej się nimi przedtem Kongregacji ds. Duchowieństwa zarzucał, że nie jest wystarczająco surowa wobec tego rodzaju przestępstw. Ustanowił zatem w tym celu odpowiednie osoby i procedury we własnej kongregacji.

Zmiana ta miała nadto sygnalizować, że walka z nadużyciami stanowi dla Kościoła najwyższy priorytet. Po wyjawieniu niezliczonych przypadków nadużyć seksualnych w diecezjach katolickich w USA nalegał na zaostrzenie kościelnego prawa karnego, a przede wszystkim na przyspieszenie toku odpowiednich procedur.

W wyniku rozporządzeń motu proprio, które zostały ponownie zaostrzone w 2003 r., nie tylko postępowanie karne przeszło w ręce Kongregacji Nauki Wiary, ale też nakazano lokalnej diecezji badanie każdego oskarżenia o wykorzystywanie małoletniego przez duchownego. Biskup miejscowy wszystkie niezbędne informacje miał przekazać Kongregacji. Miał również respektować państwowe przepisy, które domagają się zgłoszenia sprawy władzom świeckim.

Gdy zostały podane do publicznej wiadomości popelnione w przeszłości nadużycia austriackiego kardynała Hansa Hermana Groëra, zgodnie z relacją kard. Christoph Schönborna Ratzinger usiłował doprowadzić do utworzenia komisji dla zbadania tej sprawy, jednak na próżno – ze względu na opór otoczenia Jana Pawła II i jego samego. Następca Groëra mówił potem otwarcie o trudnościach, na jakie natrafiał prefekt Kongregacji Nauki Wiary w tej i innych podobnych sprawach.

Sam Ratzinger powiedział Schönbornowi, że jego starania hamowało „dyplomatyczne stronnictwo kurii rzymskiej”. Schönborn wspominał także, że tym, który stał na przeszkodzie ustanowieniu komisji śledczej do zbadania sprawy Groëra, był sekretarz stanu Sodano.

Szczególnie trudna była dla Ratzingera sprawa przestępstw założyciela Legionistów Chrystusa Degollado. Za pontyfikatu Karola Wojtyły relacje Degollado z wpływowymi osobami w kurii były coraz bliższe. Za jego protektorów uważani byli Sodano, hiszpański kardynał Eduardo Martínez Somalo i sekretarz papieża Stanisław Dziwisz.

W wywiadzie przeprowadzonym z nim przez Seewalda Benedykt XVI mówił: „Oczywiście chciałem zrobić więcej, niż mogłem. Wielu mówiło z powodu [wspomnianej wyżej] dziewiątej stacji Drogi Krzyżowej: Ach, papież, teraz będzie interweniował! Ja też chciałem, ale tak trudno to przeprowadzić. Problemy strukturalne i personalne są ze sobą powiązane, a pochopna interwencja może więcej zniszczyć, niż uzdrowić. Dlatego możesz robić to tylko powoli i ostrożnie”.

To raz jeszcze ten sam rys ambiwalencji – między jasnym stanowiskiem moralnym a bardzo ograniczonym, wręcz kunktatorskim działaniem.

PODSUMOWANIE?

Ambiwalencje. Taki wylania się obraz. Można próbować go scalić i podsumować, ale wydaje mi się to niepotrzebne. Tym bardziej że po śmierci Ratzingera/Benedykta XVI mamy z jednej strony do czynienia z podsumowaniami pochwalnymi. Przykładem może być niemiecka konserwatywna gazeta katolicka „Die Tagespost”, która przez kilka tygodni w kolejnych numerach publikowała panegiryki wychwalające współczesnego ojca Kościoła, odnowiciela wiary, nieustrudzonego pogromcę kościelnych pedofilów itd. Podobne głosy pojawiały się także w Polsce.

Z drugiej strony pojawia się krytyka, która próbuje tę postać osadzać „po ciemnej stronie mocy” – niesprawiedliwie i nieskutecznie. Dlatego lepiej pozostać przy niejednoznaczności historii Józefa Ratzingera. ●



FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomasz Polak

• do 2008 r. Węclawski, ur. w 1952 r., teolog, pisarz, profesor zwyczajny, były ksiądz katolicki. W latach 1989–96 rektor seminarium duchownego w Poznaniu, 1996–98 – dziekan poznańskiego Papieskiego Wydziału Teologicznego, w latach 1998–2002 organizator i dziekan Wydziału Teologicznego na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od 1997 do 2003 członek Międzynarodowej Komisji Teologicznej w Rzymie. W latach 1998–2007 profesor teologii na UAM, od roku 2006 do dziś współtwórca i kierownik Pracowni Pytań Granicznych UAM. Zajmuje się teologią, filozofią (w tym filozofią religii), badaniami systemów i maszyn społecznych; autor licznych prac w tych dziedzinach. W 2007 r. porzucił kapłaństwo, a następnie wystąpił z Kościoła.

Tekst to jego wykład wygłoszony w ramach Studium Filozofii i Historii Idei Warszawskiego Studium Filozofii i Teologii (WSFT) prowadzonego przez prof. Tadeusza Bartosia. Tytuł: „Wyborcza”.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimierz Brakoniecki*

Czekając na autokar Polonus w Ostrołęce

1.

*I ta kawka na likwidowanym dworcu pekaesu
ze złamanym skrzydłem jak z włócznią wbitą
w zdradzonego boga dwa tysiące lat temu –
tak jak i ja nie odleci, pokręci się i umrze
między świtem Wschodu a zmierzchem Zachodu,
między nastolatkami w trampkach i kapturach,
między biciem serca a biciem w tarabany.*

*Na placowe budy, pomarszczonych ludzi
zstępuje deszcz ze śniegiem i zaraz się klóci;
za klasztorem pomnik powstania listopadowego,
zazdrosny sklep Biedronka, w sepsie bank krajowy,
przekreślony rozkład jazdy, rozkład odejścia zaczęty,
kawka to nie pelikan ze złamanym piórem absolutu –
co widzi jej oko i czy to jest opatrność,
co widzi drugie oko i czy jest to katharsis?*

*Opada popiół z bombardowanych miast w Ukrainie,
czarny śnieg nieboskiej obecności.*

2.

*I ten zwalisty mężczyzna z reklamówką falującą
pod obrzmiałym chodem, w niemodnej jesionce
kaszkiecie, zgarbiony, stąpający słoniowo mem
zakręconej nieskończoności, zmagający się z turbulencjami
kaszłącego powietrza, zagadkowo naturalny
o twarzy obitego świadka, którego dzisiaj
zwolnił trybunał wiary, aby go śledzić,
idzie pokracznie wzdłuż przyciągania ziemi,
jakby ciągnął za sobą belkę Cyrenejczyka,
jakby sprawdzał ruchem, czy niesie go sumienie;
idzie rękami rozgarniając niewidzialne istoty,
domagając się od nich potwierdzenia realności,
kiedy wszystko wokół jest martwą naturą golgoty.*

3.

*I autokar Polonus odjeżdża, i staje na światłach,
obok ustawia się ciemnozielony range rover
z ukraińską rejestracją, z zamilkłym śniegiem na dachu,
szczelnie wypełniony przedmiotami okrytymi kocem:
w środku w fotelikach dwie małe dziewczynki
w wełnianych czapeczkach, jedna śpi słodko,
starsza z warkoczykami patrzy prosto na drogę,
młoda matka jasnowłosa ze skupioną twarzą
trzyma mocno kierownicę, musi dobrze czytać znaki
na ziemi, w powietrzu i w sercu, aby wybrać kierunek,
kraj ocalenia, który nie musi zostać zaraz ojczyzną,
zmiana światła, ruszamy, cień wojny znika w śnieżycy,
kończę 70 lat i wyruszam w nieoznakowaną drogę.*



*Kazimierz Brakoniecki – ur. w 1952 r., debiutował tomem wierszy „Zrosty” w 1979. Poeta, eseista, tłumacz, animator kultury i sztuki związany ze Wspólnotą Kulturową „Borussia” w Olsztynie. Członek PEN Clubu. Ostatnio opublikował „Dziennik olsztyński 1989–1993” (CONVIVO 2022). Wiersz wcześniej niepublikowany.

FOT. ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

MUZEUM W WC

Krajobraz litewski, czyli tu kuchnia, tam pies, a tu schron na wypadek wojny

Anna Wyrwik

Na Litwę wjeżdżam od strony Wiżajn, jadę wąską drogą w trawach przez Sudawskie i mijam tablicę Lietuvos Respublika na niebieskim tle. Wokół napisu 12 gwiazdek, a pod gwiazdkami wlepki, bo jesteśmy na luzie, jesteśmy w Unii, już nie polsko-litewskiej, ale Europejskiej. I wjeżdżam w świat jak z lektur szkolnych, jakbym do „Pana Tadeusza” wjeżdżała, promienie słońca oświetlają płaskie pola malowane zbożem, nad nimi polskie bociany, bo są przecież polskie i niczyje inne, trudno uwierzyć, że one w ogóle z Polski wylatują, a tu lecą nad pagórkami leśnymi i łąkami zielonymi i mam wrażenie, że to jest tak polskie, jak nawet w Polsce nie jest. I tylko brakuje, by Zosia z Tadeuszem na czele orszaku wtańczyli polonezem na drogę, po której jadę, choć powinnam stanąć, bo tu nie pozostaje nic innego, jak tylko położyć się w trawie, rozplakać i tęsknić.

Ale nie stoję, nie płaczę, nie tęsknię, tylko wpasowuję się w koleiny po tirach i jadę dalej, za Jurborkiem do „Nad Niemnem”, a tam za rzeką już tylko Rosja straszy. Po bokach żywa zieleni krzaków, drzew, a pod kołami dziury, jeb, jeb, jeb, jeb, które mijam slalomem dla slalomu, bo tak robią kierowcy w życiu i na filmach, ale po co to robię, to nie wiem, bo i tak wszystkich nie ominę.

BETONOWY KAMELEON

Jadę na przykład na tej Litwie do Kłajpedy, gdzie niemiecką architekturę pokrył ZSRR szarym tynkiem, co odlazi, zardzewiały mi poręczami, co prowadzą do drzwi prującego się szpitala, i blaszanymi garażami, co powpychane są między budynki. Te pokryła Unia Europejska kolorowymi elewacjami na co czwartym bloku i knajpami, w których turyści mogą po angielsku zamówić Śwyturysa i cepeliny nad odnogą Dangi. Taka jest warstwowa jak ogr ta Kłajpeda i pruskie mury grają tu z ruską mową Rosjan i Litwinów, którzy tutaj jakoś oporów do tego języka nie mają. Promem można popłynąć na plażę Mierzei Kurońskiej, która tu się kończy, a zaczyna 98 kilometrów niżej w rosyjskim Zielonogradsku. Z Kłajpedy najbliższej do Smiltny, gdzie można sięść na plaży w bałtyckim wietrze i patrzeć, jak niebo skleja się z wodą, więc to robię. I trochę się smucę, spacerując po Kłajpedzie, bo Kłajpeda jest smutna, poza tym turystycznym, odsłaniającym jej niemieckość, centrum jest pusta i betonowa

i nawet park szarzeje, jakby chciał beton udawać niczym kameleon, by go tym betonem nie zabetonowali.

Gdy pytam mieszkańców, czemu tu tak pusto, to mówią, że nie wiedzą, bo albo są tu dlatego, że w Kownie i Wilnie nie było pracy, albo dlatego, że tu tak właśnie spokojnie i pusto. I polecają mi restauracje z cepelinami na starówce.

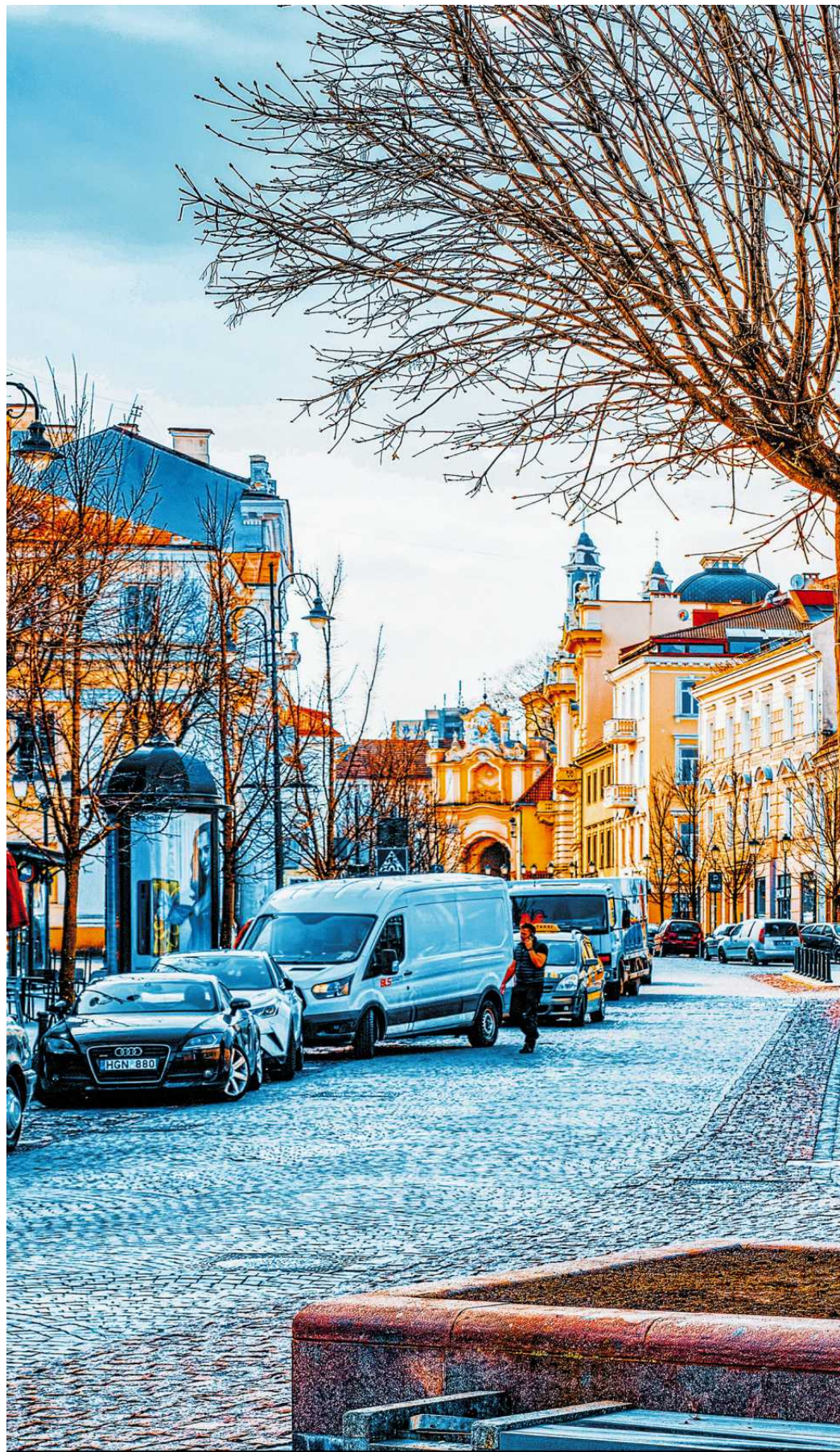
ELEGANCKI PORZĄDEK

Na Litwie bywa pusto i spokojnie, i trochę sennie. Pusto w ludzi, auta, pusto w architektoniczne ozdobniki i czasem czuję się tu jak w Skandynawii albo po prostu w kraju bałtyckim, czyli gdzieś między słowiańskością, bogatą w kolumny, lewki, orzelki i pierdzące SUV-y, a skandynawskością o eleganckiej geometrii i z porządkiem wokół.

Ten bałtycki porządek objawia się czasem kuriozalnym skoszeniem trawy na poboczu przy lesie, gdy przecież – no hejże! – trawy się tak już w Unii nie kosi, bo niezdrowo i niemodnie. Ale objawia się też tym, że jak chaty i chałupy stoją, to wokół wszystko jest poukładane, a jak nowe, to architektoniczna elegancja. Spaceruję wieczorem po Szawlach, na północy kraju, z psem i mijamy domy na bogato, ale z klasą, linie proste się przecinają, cegły są i drewno, brązy, jeśli już jakieś geometryczne zawirowania, to delikatne i pasują, nic nie pluska w ogrodach, nic nie miga, jest horyzontalnie bardziej i – jeszcze raz to słowo – „porządek”. Choć przecież wiem, że nie jestem w żadnej tam Norwegii, a na Litwie, na której znajoma z tych Szawli (taka z Couchsurfingu i u niej mieszkam) pokazuje mi swój dom, akurat zapelniony stosem rzeczy jej, córce, bylego męża, i pokazuje piętro, że tu przedszkole waldorfskie prowadzi, i kuchnię, że tu gotuje, i córki pokój, że tu śpię ja, pokazuje psa, kota i pokazuje mi piwnicę, mówiąc, że tam jest schron. I mówi to serio, że to na wypadek wojny i nie, że się boją, tylko są realistami. Tak mówi. Mówi też, że w Polsce jest tanio. To akurat mnie nie dziwi, bo mimo że w Polsce jest drogo, to coraz bardziej przyzwyczajam się do tego, że wszędzie indziej jest dla mnie jeszcze drożej. Mówi też o emigracji, no może nie do Polski, choć w Polsce jest akurat coś, czego nie ma na Litwie, czyli góry, ale emigracji w ogóle. Bo wojna idzie.

SPOKÓJ, PŁASKO I CEGŁY W RUCH

Jadę do Birż, by napić się kraftowego piwa, którego w tym mieście jest sporo, a na Litwie w ogóle mają dobre piwo, albo aby przespacerować się na pobliskim kempingu, bo na Litwie sporo kempingów i kamperów na skandynawskich blachach. Z Birż jadę drogą szutrową do Siemieniszek, wsi, gdzie nic nie ma prócz wspomnień po małym Jonasie Mekasie, ojcu chrzestnym amery-



kańskiej awangardy filmowej. Zanim Mekas chodził po Nowym Jorku z kamerą, to mieszkał tutaj, i podjeżdżam pod kamień poświęcony jego pamięci, na którym leży, jak zdjęty z głowy reżysera, czarny kapelusz z piórem, a przynajmniej jak ja byłam, to było jeszcze i pióro. Jadę popatrzeć na jakiś przydrożny pałac, Tyszkiewiczów w Kretyndzie z oszkloną oranżerią czy jakieś ruiny, czy też socjalistycznie podzielone na komunalne mieszkania stare włości, gdzie się pranie suszy, a podłoga skrzeczy na klatce schodowej.

Jadę po Litwie i czuję spokój za kierownicą, bo jest spokój za oknem, płasko i nic się nie dzieje, sielsko i nie leci dym z kominów fabryk, nie reklamuje się lokalny producent napojów, nie suną transporty zawiniętych w styropian sprzętów budowlanych. Czuję też spokój dlatego, że litewscy kierowcy przestrzegają przepisów. Przed każdym stopem, a jest ich dużo, ładnie stoją i się rozglądają, przed każdym progiem, a jest ich na Litwie tyle, co w Polsce Biedronek, zwalniają i delikatnie nań się wznoszą, by opaść i spokojnie pojechać dalej bez ulańskiej szarży oraz wyprzedzania na trzeciego, na ciągłej, przed ostrym zakrętem.

Gdy się za bardzo uwierzy w Litwy skandynawskość, to można pojechać do

Kiejdan, by przeżyć szok, bo Sienkiewicz nam inaczej o nich opowiadał i gdyby dziś „Książę Janusz Radziwiłł” zaprosił do swojej siedziby w Kiejdanach na ucztę najznamienszych przywódców, posłów i żołnierzy litewskich”, toby na widok tego, co tam jest, z koni pospadali. A jest tak, że tynk odlazi już chyba piątą warstwą, w sumie nawet nic nie obnażając, bo to wielkie nic jest pewnie za oknami pozaklejanymi dyktą czy foliami w miejscu szyb na osiedlu, przed którego blokami suszą się ubrania, a na kanapie i schodach siedzą ludzie.

Wschodnioeuropejska wersja zachodniego Baltimore z „The Wire”, tyle że bez nadającego rytm hip-hopu i czarnej fantazji. Jak zawieszona nad łąką gęsta mgła. Robię zakład sama ze sobą, że ci ludzie, co tam siedzą przed blokiem i tak patrzą przed siebie, mają pustkę w oczach, ale nie wiem, czy wygrywam, bo nie podjeżdżam bliżej, nie chcąc im się już całkiem w życia wtarabaniać. Tylko jadę dalej, by zobaczyć jedyny na Litwie wolno stojący minaret w parku miejskim, gdzie na ławce kobieta i mężczyzna piją piwo z puszek i kaszlą, oraz kryptę z małymi trumienkami Radziwiłłów w kościele kalwińskim przy rynku.

A wracając do dykt i folii, to na Litwie można zobaczyć klasyk klasyków, czyli zabudowane balkony i jest ich więcej niż na

FOT. SHUTTERSTOCK



Balkanach, a że tu zimniej, to one jeszcze bardziej są zabudowane i Litwini nie tylko je zabudowują tymi dyktami i deskami, i jakimiś kartonami, ale je po prostu włączają do budynków jako dodatkowe pomieszczenia. Czyli cegły w ruch. I jest plus jeden pokój, gabinet, nie wiem, garderoba. Spo-

widziałam w muzeum. To instalacja przedstawiająca blok skonstruowany z klocków tak, by nudny blok stał się blokiem ciekawym, czyli nie tyle daugiabutis, co oznacza apartamentowiec, ale DaugiaBūtis, bo būtis to istnienie. Blok unifikuje ludzi, a Stasaityte pokazuje ich indywidualizm po-

go jednolitość, dzieląc go na małe pojedyncze bloki oraz tworząc chaotyczny i wizualny bałagan". Czytam i już inaczej podchodzę do tej radosnej twórczości mieszkańców zabudowanych balkonów, jednocześnie pewnie złoścąc się na fakt, że nawet to deweloperzy potrafią zepsuć.

Jadę po Litwie i czuję spokój za kierownicą, bo litewscy kierowcy przestrzegają przepisów

1 RP
czenistwu sprawę ułatwiają firmy budowlane, które nowe bloki budują już z zabudowanymi balkonami, dzięki czemu mieszkańcy nie muszą ich zabudowywać sami. W Birzach taki blok na przykład beżowy stoi i jakoś mi się te zabudowane oryginalnie balkony takie oczywiste tu wydają i takie są jednakowe i uporządkowane. A nie każdy sobie, wszyscy sobie i jeszcze z cementu passe-partout wokół zabudowy. Myślę o pracy litewskiej artystki Gintare Stasaityte o tytule „DaugiaBūtis”, którą gdzieś

przez to, że te klocki – będące fragmentami bloku, czyli konkretnymi mieszkaniami, istnieniami danych lokatorów – są różne, bo niektóre bardziej białe, inne mniej, a inne w ogóle szare, jeden jest po pożarze, w dwóch się świeci światło, jakiś kłosek jest z balkonem zabudowanym tak, jakis z siak, a inny bez zabudowy albo brązowy. W opisie pracy czytam: „To pragnienie wyjątkowości i siła wyrażania siebie trwają w zakamuflowanej szarości każdego bloku mieszkalnego, stopniowo niszcząc je-

„WELCOME IN OUR MUSEUM...”

Jadę do miejsca zwanego „Lietuvos geografinis centras”, choć nie wiem po co, bo śmiesz mnie z rozczuleniem takie miejsca. Spodziewam się grupy zunifikowanych w kurtki i nerki z Decathlonu turystów, którzy robią fotki i wstawiają w mapę Google’a komentarze, że miejsce piękne, godne odwiedzenia, warte odwiedzenia,

droga powinna być bardziej utwardzona, ciekawe uczucie tak być w środku Litwy, miło się zatrzymać choćby na chwilę, brak punktu informacyjnego, interesting point.

Podróżujący ludzie są fascynujący, a najbardziej fascynujące jest to, jak się w podróży zmieniają i że nagle jadą do miejsc, które na co dzień miałiby gdzieś, nawet gdyby byli w ich ogródkach, i ubierają się w ten turystyczny outfit, inaczej jedzą, chodzą. Zastanawiam się, czy to jest to, czego naprawdę chcą, czy też naprawdę chcą tego, co zostawili, bo żona/mąż/córka/syn i tak wypada, że się na urlopie robi takie rzeczy. Ale turystów nie ma, jestem tylko ja i pies, który smętnie chodzi pośrodku Litwy, a ja palę i patrzę na zboże.

Jeżdżąc samochodem po Litwie, wjeżdżam w wiele miejsc, do których kieruję brązowe tablice tylko po litewsku, więc gdy się nie zna litewskiego, a ja nie znam, to można albo się co chwila zatrzymać i w internecie sprawdzać, albo jechać na czuja. I tak na czuja mam na koncie kilka pomników, jakichś grobów i Bijaty na drodze z Kłajpedy do Kowna, jeśli się nie jedzie autostradą. Stoją tam chatki wyłupione w XIX wieku przez polsko-litewskiego poetę Dionizego Paszkiewicza we fragmentach pnia wielkiego, starego dębu Baublis. „Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie/ Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domu,/ Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?” – pytał Mickiewicz w „Panu Tadeuszu”. Tysiącletni dąb niszczał, więc Paszkiewicz dąb ściął, i to w 1812 roku, po czym zrobił z pociętego pnia takie chatkowe muzeum.

Mijam tablicę „Aštuonračio muziejus”, skręcam i podjeżdżam pod podwórkę z kilkoma domami, trawa skoszona idealnie jak w serialu, a w kierunku furtki idzie gruby, wąsaty facet o ciemnej cerze jak mafioso. Gestem i mieszkanką rosyjsko-angielskiego tłumaczy, że to muzeum, po czym wyciąga skądś boomboxa i kładzie na ramieniu jak w filmie Spike’a Lee. Zaprasza mnie do pierwszego budynku.

– English? – pyta.

Kiwam, że English, a on wciska play i z głośników płynie: „Welcome in our museum, we are very happy you came...”.

Macham mu, że nie trzeba i żeby wyłączył, i w ciszy oglądam aparaty fotograficzne ze wszystkich lat, setki ich tu są, różne, przeróżne, a potem idę do kolejnego pomieszczenia i znowu: „Welcome in our museum...”, a ja znowu, że nie trzeba. Tu facet zainicjował salę szpitalną, łóżko, sprzęty, chirurgiczne narzędzia. W kolejnych jest kuźnia, są stare motory, a w gablotach małe zabawkowe motorki, jest pomieszczenie poświęcone straży pożarnej, a w gablotach małe zabawkowe wozy strażackie, nad nimi strażacki hełm. Facet odpuszcza z boomboxem, bo widzi, że sama oglądam, i chyba mu nawet z tym wygodnie. Tylko gdy jesteśmy przy najbardziej prestiżowych eksponatach, jak zabytkowa pożarka czy stary autobus na osiem kół i 12 miejsc bez szyb, to z dumą się chwali. Wszystko tu jest i nie ma czegoś, czego by tu nie było, gdzieś w trawie leży ruska bomba, gdzieś indziej ruski zardzewiały motocykl, a na ścianie jednego z pomieszczeń facet wisi w peruce i stroju angielskiego żołnierza z XVIII wieku na olejnym portrecie. Pokazuje mi, bym weszła do WC, ja – że niekoniecznie, ale on nalega, więc wchodzę, a tam też muzeum, zabytkowe podajniki na papier, figurki, zabawki, a na ścianach gacie oprawione w szkło i karteczki z datami, lata 50., i nawet czarne stringi.

WILNO, CZYLI WAMPIR

Jadę oczywiście do Kowna, bo drugie pod względem ilości mieszkańców i by popatrzyć na te modernistyczne budynki, i na street art. Oba są w dobrym wydaniu, a na murach oglądam wielką dłoń w barwach Ukrainy, różowego słonia czy damę z łasiczką w słuchawkach na uszach. Litwini mówią, że Kowno i Wilno to takie di-

polis i jest z nimi jak z krwiobieg. Kowno zawsze było dawcą i ludzie, w tym inteligencja i kultury potęga, emigrowali do Wilna, a Wilno było jak wampir. Tak to pamiętam z wystawy „Kaunas–Vilnius: Moving Mountains”, na której byłam kiedyś w wileńskim Mo Museum. Pamiętam też jednak, że nurt krwi nie był jednostronny, bo Kowno również coś ugrało, jak idee, pomysły, rozwiązania. „Dwa miasta oddziałują na siebie, mieszają się ze sobą i przyciągają, jakby połączone w jeden układ krążenia”. Wilno w tym układzie jest tą faktyczną stolicą, do której jak się wjeżdża, to jakby po podróży w przeszłość na Litwie poza Wilnem do współczesności się w tym Wilnie wracało. Bo w Wilnie jest vege salátka i chłodnik, jest targ, na którym można kupić mięso, lokalne kielbasy i sery albo piwa z Armenii, i są Rosjanie w kraciatych garniturach i z reklamówkami w dłoniach. Jest bar Bukowski i bar Stars & Stripes, gdzie amerykańskie piwo, które nalewa moskwianin mówiący takim angielskim, że bardziej bym z nim o wojnie w Wietnamie niż w Ukrainie rozmawiała. To moskwianin-Zyd i opowiada mi, jak był w Polsce i był w Auschwitz, a ja zdaję sobie sprawę, że pierwszy raz o Auschwitz z tej strony baru słyszę, bo w Krakowie to do znudzenia mówią o nim turyści barmanom: „właśnie wróciliśmy z Auschwitz”, „jutro jedziemy do Auschwitz”, „najpierw Wieliczka, potem Auschwitz”. A po mojej prawej siedzi stary barfly Michał, który w oryginale cytuje „Wsiąść do pociągu byle jakiego”.

Wilno jest takie, że jak się mostkiem nad Wilejką przejdzie, to się prawie ten mostek od ciężaru zakochanych klódek zawala i już się jest w Republice Zarzecz, czyli Užupio Respublika, według konstytucji której „Człowiek ma prawo umrzeć, lecz nie jest to jego obowiązkiem”, „ma prawo się mylić”, „ma prawo kochać”, „ma prawo być niekochanym, aczkolwiek niekoniecznie”, „człowiek ma prawo być nieznaczącym i nieznanym”, „do leniuchowania lub nicnierobienia” ma prawo i „pies ma prawo być psem”. Zarzecz jest fajne, ale mało punkowe, mniej niż 15 lat temu, bo teraz jest hand made tourist style z galerijkami bardziej w pamiętki niż sztukę.

Idę tak przez to Wilno, co stoi pewnie, ale wciąż nie wiem, czy bardziej dla mnie, czy dla tych, którzy tu płacą czynsze, i widzę starszego pana w sztruksowej marynarce, przeciwsłonecznych okularach, ze szczurzym wąsikiem pod nosem i bez zębów, jak siedzi w knajpianym ogródku i wypisuje pocztówkę. A że na głowie ma czapkę Lithuania, to się to fajnie w calość zgrywa. Podchodzę i pytam, czy mogę zrobić mu zdjęcie, czym sama siebie dziwię, bo nigdy tak nie podchodzę i nie pytam, ale taki jest w tym wszystkim pan wyraźny i okazuje się też, że jest z Grudziądz. Czapkę ma Lithuania, bo swojej zapomniiał, a słońce daje, i faktycznie leży na nim ta turystyczna pamiętka zupełnie bezpretensjonalnie. Nie typ turysty, ale bywalca.

– Wie pani, ja tu przyjeżdżam przynajmniej raz w roku, bo w Wilnie to na mnie spada cała tablica Mendelejewa – mówi. Po-

dróżuje sam, bo samemu najlepiej, wolność i tak dalej. – Ostatnio byłem z siostrą, ale to tak się nie da! Bez sensu!

I mówi jeszcze, że Wilno piękne, choć zaniedbane, a ja stałym tekstem odpowiadam, że to zaniedbanie zawsze najpiękniejsze. Gdy mu robię zdjęcie, on nie pozuje, tylko wypisuje dalej pocztówkę do siostry.

– Może napije się pani kawy? – pyta. Ale ja dziękuję i idę w swoją stronę, by to miasto jeszcze trochę poczuć, i trafiam w miejsce, gdzie polscy turyści robią młyn jak futboliści amerykańscy, a na murku babuszki sprzedają magnesy z Matką Boską. „No chodźcie tu!” – drą się turyści i kotłują, a ja wybieram magnes, tylko z Wilna chcę zdjęcie, nie z Matką Boską, co babuszkę bardzo smuci, bo jak to tak, z Polski i nie z Matką?! Przecież Polacy zawsze z Matką Boską biorą!

Z Litwy jadę na kilka godzin na Łotwę, na przykład do Dyneburga, gdzie urodził się Mark Rothko, który w latach 50. podbił abstrakcyjny rynek amerykańskiej sztuki. Centrum Rothki to jeden z budynków – w dużej mierze pozostawionych samym sobie – wojskowych koszar, ułożonych w miasteczko, jak z filmu o Legnicy, tylko ładniej. Nie ma w nim w sumie nic oprócz przypadkowych wystaw i Rothki kopii powieszonych starannie, jakby to były oryginały, oraz pracowników, którzy też są chyba przypadkowi. Po dwudziestominutowej naradzie i z pomocą tłumacza tłumaczą mi w końcu, gdzie stał w mieście dom Rothków. Jadę tam i teraz tam stoi stacja benzynowa. Małemu Markowi Ameryka mogła pachnieć, już zanim do niej wyjechał, bo przez cały Dyneburg po amerykańsku ciągną się tory kolejowe, przecinając przejazdami kolejne ulice, zamiast być pochowane w jakichś tunelach czy na wiaduktach jak w wygodnej Europie. Miasto otwiera „US style” most na rzece Dźwina oraz widoczne na horyzoncie wąskie kominy po jakichś zakładach czy na wiaduktach jak w wygodnej Europie. Miasto otwiera „US style” most na rzece Dźwina oraz widoczne na horyzoncie wąskie kominy po jakichś zakładach czy na wiaduktach jak w wygodnej Europie. Miasto otwiera „US style” most na rzece Dźwina oraz widoczne na horyzoncie wąskie kominy po jakichś zakładach czy na wiaduktach jak w wygodnej Europie. Miasto otwiera „US style” most na rzece Dźwina oraz widoczne na horyzoncie wąskie kominy po jakichś zakładach czy na wiaduktach jak w wygodnej Europie.

No ale trudno, a ja wracam na Litwę przejściem dzikszym jeszcze niż to w Sudawskich i jadę przez Park Regionalny Gražutė, w którym przestrzeń już coś wyprawia, a to jezioro, a to górka i spad, i tak jadę, up and down, up and down, a przestrzeń kolorowa jest kolorami przyrody. Bo na Litwie mało wisi billboardów i plakatów, mało jest świecących przy drodze neonów i czasem wydaje się pusta ta Litwa, jakby w czasie cofnięta, bo taka nienowoczesna bez super- i hipermarketów, na wjazdach do miast bez Ikei i LeRoy Merlin, i tylko czasem Pepsco zabłąkane do pary z Rossmanem.

Tak to wciąż sporo domów drewnianych jak w jakiejs Sokółce albo filmie „Znachor”, nieważne czy wieś, czy miasto, więc i ta słowiańskość na wierzch wychodzi, ale domy klocki, więc bałtyckość. A ja jadę przez wieś Łabonary i na drewnianej chacie widzę napis „KAS LIKO?”. ●

Kaczyński, ten kryptomarksista

Gdy ludzie PiS przegrywają, włącza im się tryb piłkarza ligi powiatowej.

Marcin Matczak



Czy można być aż tak prawniczo głupim? Wielu z nas musiało sobie dziesiątki razy zadawać to pytanie, oglądając żenujący spektakl, w którym główną rolę grały PiS-owskie potworki prawne: „lex Tusk”, zmiażdżona przez TSUE „ustawa kagańcowa” czy ułaskawienie Kamińskiego i Wąsika. Oto w jednym tygodniu jak w soczewce skupiło się to, co w PiS-owskiej myśli najgorsze.

Niektórzy pytają, jak to możliwe, że takie gnioty wychodzą spod ręki doktorów prawa, bo przecież i Kaczyński, i Duda nimi są (doktorami, znaczący się). Może to jest właśnie przyczyna? Historyk Tusk wie, że może nie wiedzieć, jak stworzyć dobre prawo, więc się radzi tych, co wiedzą. Kaczyński i Duda myślą, że wiedzą, więc nikogo nie pytają i wychodzi, jak wychodzi. Jak w starym kawale: zatoskany ojciec przychodzi do rabina i skarży się, że jego syn nie umie grać w karty. Rabin mówi, że to chyba dobrze. Ojciec na to, że nie bardzo, bo wprawdzie nie umie, ale gra. PiS-owcy też nie umieją, ale ciągle w prawo grają. I ciągle przegrywają.

A wtedy włącza im się tryb piłkarza ligi powiatowej, gwiazdy B klasy – przegranej zawsze winny jest sędzia. Albo ten z SN, albo ten z TSUE, a ostatnio nawet sędzia Marciniak, który, coś mi się zdaje, stanie przed komisją powołaną przez „lex Tusk”, zwaną pieśczętliwie „ruską”. Przecież jest prawdopodobne, że ważną dla wizerunku Polski decyzję o wystąpieniu na konferencji organizowanej przez Mentzena podjął pod wpływami rosyjskimi, o które w Konfederacji nietrudno. Na szczęście posędziuże ten finał Ligi Mistrzów, bo jakby go odsunęli, polskie morale spadłoby z hukiem, a to już na pewno dałoby się podciągnąć pod jakiś paragraf o osłabianiu naszej obronności.

W tym prawniczym szaleństwie jest jednak metoda. PiS-owcy to po prostu prawniczy kryptomarksści, a największe PiS-owskie prawnicze głowy powinny podleć dekomunizacji. Kaczyński – wykształcony w głębokim PRL-u, Piotrowicz – prokurator stanu wojennego, Ast i Pawłowicz – urodzeni w latach 50., wykształceni w 70. i 80. Mularczyk i Duda wprawdzie pełnoletność osiągnęli na przełomie roku 1989, ale gdy ich posłuchać, powikłania po Hegłowskim ukąszeniu widać jak na dłoni. Jeśli gdzieś dekomunizacja zawiodła, to właśnie tutaj.

Nie ma tu miejsca, by omówić wszystkie skutki, jakie w prawie wywołuje skażenie Marksem. PiS-owscy prawnicy wykazują jednak wyraźne, nieuświadomione pokrewieństwo z krytycznymi studiami nad prawem (Critical Legal Studies – CLS), wyrosłymi na bazie marksizmu.

CLS to ruch wobec prawa bardzo nieufny – uznaje, że nie jest ono żadnym obiektywnym wytworem zbiorowej mądrości czy społecznej zgody, ale raczej narzędziem opresji. Krytykuje tezę Marksa, że prawo ukształtowały interesy klas ekonomicznych, ale twierdzi, że kształtują je interesy inne. Prawo skazyła ideologia, którą mają w gło-

wach prawotwórcy i sędziowie należący do konkretnych grup społecznych, np. ludzi białych, mężczyzn, osób heteroseksualnych. Te grupy używają prawa dokładnie tak jak u Marksa kapitaliści – by umacniać swoją dominację nad światem.

Dla PiS prawo także jest narzędziem przemocy, a nie obiektywnym instrumentem rozwiązywania konfliktów. Nie dlatego, że zapewnia dominację białym, heteroseksualnym mężczyznom (bo PiS sam się z nich w przeważającej mierze składa). Dlatego że służy wrogom. Najpierw konstytucja służyła komunistom w utrzymaniu ich statusu posiadania po upadku PRL, teraz prawo (unijne) służy dominacji Unii, a więc, jak to bystry, PiS-owski umysł bez trudu dostrzeża, Niemcom.

W związku z tym PiS, zamiast prawa przestrzegać, musi prawo odzyskać. Bo według niego nie ma ono stabilnej, niezależnej od użytkowników wartości – postmarksowskiemu PiS chodzi o to, aby język prawa był giętki i powiedział wszystko, co pomyśli PiS-owska głowa. I nie mówimy tu tylko o prawie w ustawach, ale także o prawie w działaniu. Jeśli Marks jest Bogiem, Marcuse jego prorokiem, to w Polsce mieczem prawniczego postmarksizmu jest Ziobro. To on realizuje główne zadanie PiS-owskiej reformy, a więc obsadza sądy „właściwymi” ludźmi – takimi, którzy głowy mają wypełnione odpowiednią ideologią. A najlepiej, jak mają te głowy puste, bo wtedy można do nich wlać to, czego z perspektywy interesów PiS potrzeba.

Stąd nasze wołanie „Konstytucja, konstytucja!” jest dla PiS całkowicie bezsensowne. W ich uszach nie jest to odwołanie do jakichś wartości, ale wymachiwanie posłusznym narzędnikiem. To tak, jakbyśmy krzyczeli „miotła, miotła” – przywoływali coś, co PiS chce po prostu wyrwać przeciwnikowi z rąk i zrobić porządek po swojemu. Bez sensu jest tłumaczenie Dudzie, że ułaskawić można tylko winnego, bo do czasu prawomocnego skazania każdy jest niewinny, a niewinny żadnej łaski nie potrzebuje. Jeśli sprzecznie z logiką konstytucji trzeba prawo łaski rozszerzyć, żeby realizować interes klasowy, pardon, partyjny, to się rozszerzy. I nic to, że kiedyś się twierdziło inaczej i że są na to nagrania (Duda) albo że na własnej stronie internetowej pisze się, że prawo łaski dotyczy prawomocnie skazanych (znowu Duda). Byt określa świadomość, a PiS chodzi o kluczowy byt – ich własny dobrobyt.

Głęboki cynizm marksowskiego i PiS-owskiego podejścia do prawa wynika z resentymu. Takie teorie tworzą ludzie nie-szczęśliwi, przekonani, że gdyby nie klasowi wrogowie, od podstawówki rzucający im kłody pod nogi, byłiby jednostkami wybitnymi. Dlatego, jak mówią teoretycy CLS, z prawników zamieniają się w „uzupełniaczy” – drenują coś, co ma ustaloną społecznie treść, biorą z tego tylko formę i uzupełniają swoją treścią: swoją wersją „praworządności”, „prawa łaski” czy „niezależności sądów”.

Ponieważ nie potrafią sprostać standardom, zmieniają standardy, skoro nie mieszczą się w obiektywnym znaczeniu słów, zmieniają je. Dzięki temu wydaje im się, że są wielkimi ekonomistami, skutecznie walczącymi z inflacją, genialnymi dyplomatami, budującymi sojusze od morza do morza, i oczywiście wielkimi jurystami także. ●

Nowa książka Orhana Pamuka

PASZA, CZYLI NASZ CZŁOWIEK NA WSCHODZIE

Gdy kwestia epidemii urasta do sprawy narodowej i podsycia nastroje nacjonalistyczne – czyli jak Polak pomaga Turcji

Agnieszka Aysen Kaim

Dawniej mówiono, że granicę cywilizacyjną między Europą a imperium osmańskim, które jest w tyle o dwieście lat, stanowi tak naprawdę nie Dunaj, lecz dżuma.

Teraz jednak dzięki panu [Karol Bonkowski] ta granica w dziedzinie medycyny i stosowania kwarantanny znikła

Orhan Pamuk „Noce zarazy”



FOT. SHUTTERSTOCK

Pasza Bonkowski to potomek polskiego powstańca, jednocześnie naukowiec, chemik i generał, specjalista do spraw farmacji, higieny oraz inspektor sanitarny. Został wybrany przez noblistę na symbol nowoczesnej medycyny, zachodnioeuropejskiego postępu w trakcie zagrożenia epidemiologicznego – na nim skupia się niechęć muzułmańskiej społeczności wyspy wobec tego, co „obce”, i już w jednym z pierwszych rozdziałów Bonkowski staje się ofiarą morderstwa.

To kolejna, po „Nazywam się Czerwień” i „Białym zamku”, powieść Pamuka, oparta na realiach historii osmańskiej, tym razem późnego jej okresu. Miejscem akcji najnowszej powieści jest położona na południe od Rodos, słynąca z pięknych róż fikcyjna wyspa Minger, zwana „perłą Lewantu”. Wyspa ta to tylko synekdocha imperium osmańskiego z początku XX wieku. I tak słabnące imperium literackim zabiegiem zostało przeniesione na skrawek ziemi na Morzu Śródziemnym. Tutaj Pamuk tworzy mikrokosmos osmańskiego społeczeństwa podczas niepewnych wtedy jeszcze narodzin państwa narodowego, podzielonego pomiędzy muzułmanów i chrześcijan. To tutaj właśnie rozgrywa się ważny kawałek historii, całkiem zresztą prawdopodobnej i osadzonej na tle wiernie przedstawionych realiów historycznych. Minger jest soczewką rodzącej się wówczas nowoczesnej Turcji, oscylującej w stronę wartości zachodnioeuropejskich, ale wciąż zadającej sobie pytania: jaki ma być ten nowy turecki „naród” i który narodowy mit znajdzie prawo bytu? W zależności od nastrojów społecznych fluktuacyjnie wybrzmiewają różne doktryny ideologiczne, jak panosmanizm, panislamizm i panturkizm.

Wywołany epidemią kryzys na wyspie zostaje wykorzystany przez wyspiarskich patriotów, aby oderwać Minger od imperium. Akcję powieści napędza nie tylko koło dziejowe, ale też wątek kryminalny zabójstwa Bonkowskiego. Zagadkę przesłania seria politycznych manewrów i tra-

gicznych wydarzeń, których kulminacją jest rewolucja – przypadkowy zamach stanu i ogłoszenie niepodległości wyspy. Wątek narodzin buntu otwiera daleko idące pytania o tragiczną przypadkowość historii oraz kształtowanie się narodowych mitów. Pytanie jakże aktualne w świetle rozstrzygających się właśnie w Turcji wyborów prezydenckich i parlamentarnych.

UŚMIERCENIE NOWOCZESNOŚCI

Oto i ten niemuzułmanin, wysoce kompetentny specjalista i wysłannik samego sultana Karol Bonkowski przybywa na Minger ze Smyrny (Izmir), gdzie z sukcesem zapanował nad epidemią dzięki postępowo myślącej ludności (w większości chrześcijańskiej) i wielojęzycznej prasie. I teraz tutaj, na wyspie, wymaga od mieszkańców przestrzegania obostrzeń, izolacji, kwarantanny, a nie każdemu to przypada do gustu. Sprawa epidemii urasta do sprawy narodowej i podsycia nastroje nacjonalistyczne.

Poza dość aktualną tematyką zarazy, która dotknęła wyspę zamieszkiwaną przez społeczność chrześcijańską (głównie grecką) i muzułmańską, jest też pytanie o tworzenie fikcyjnego wroga, którego istnienie pozwala ukierunkować dziejową złość. Wprowadzenie zasad kwarantanny, ograniczenia w religijnych praktykach wywołują duże kontrowersje zwłaszcza wśród religijnej muzułmańskiej społeczności skupionej wokół miejscowego szajka sufickiego, sunnickiego bractwa rufai.

Można więc uznać, że noblista uśmierca ucieleśnienie nowoczesnej medycyny, Paszę Bonkowskiego, chrześcijanina, osmańskiego głównego inspektora do spraw zdrowia publicznego, dla celów „wyższych”.

Większość szczegółów biografii słynnego epidemiologa wplecionych do powieści przez autora jest zgodna z prawdą historyczną. Nie bez przyczyny nazywają Pamuka skrupulatnym detalistą. Bonkowski pojawia się w powieści jako człowiek dojrzały, w rzeczywistości na pięć lat przed swoją śmiercią, w fabule noblisty tylko na trzy

dni przed morderstwem. Jest statecznym, 60-letnim pozytywistą, który włada biegle językami europejskimi oraz tureckim, zarówno osmańskim, jak i prostym językiem ulicy. Wraz z Bonkowskim na wyspie jest jego grecki pomocnik: „Polak, wykształcony w Paryżu na wydziale chemii, oraz doktor Ilijas, Grek, który również w Paryżu studiował medycynę, czasem rozmawiali ze sobą także w języku francuskim”.

Jednak Bonkowski to postać pomiędzy, jeden z kluczowych transkulturowych go between, przednia straż modernizacji, wdrożonych reform i jak podobni mu specjaliści miał szerokie kręgi zaprzyjaźnionych nie tylko Greków, ale też muzułmanów. Ze swoim wielokulturowym zapleczem Bonkowski to elitarna hybryda. Jeden z osmańskich naukowców, którzy zdobyli wykształcenie we Francji i reprezentowali imperium na europejskich kongresach naukowych. Z archiwalnych dokumentów wiemy, że sultanowi proponował zorganizowanie takiego międzynarodowego kongresu w Stambule w 1888 r. I tak było w rzeczywistości. W swojej długiej karierze pracował jako wykładowca, naczelny epidemiolog, ale także jako specjalista od wód źródłanych. Próbował sił jako przedsiębiorca, produkując wodę i esencję różaną, szeroko stosowaną w kosmetyce. Po utracie w wojnie z Rosją terenów na Bałkanach, gdzie hodowano krzewy różane, imperium poszukiwało nowych miejsc pod uprawę krzewów. To pasza Bonkowski zajął się na zlecenie ministra adaptacją krzewów do klimatu Anatolii.

Wprowadzając do fabuły tego pół Polaka, pół Ormianina, Pamuk, a właściwie zapowiedziana na wstępie powieści narratorka, profesorka historii, przedstawia Bonkowskiego krótkim wtrąceniem:

Bonkowski był urodzonym w Konstantynopolu synem jednego z wielu polskich oficerów, którzy poniósłszy klęskę w po-

wstaniu przeciw Rosji, zostali wygnani i wstąpili do armii osmańskiej.

Jak w ogóle rodzina Bonkowskich znalazła się w imperium osmańskim?

POLACY W TURECKIEJ SŁUŻBIE

Otóż ojciec Karola, Antoni Bońkowski (1788-1848) był jednym z licznych Polaków uchodźców w Konstantynopolu. Wbrew powszechnym wyobrażeniom była to zbieranina ludzi różnego pochodzenia społecznego i przekonań politycznych. To podzielone środowisko w dużej części składało się z ochotniczych powstańców i wojskowych. Tych w imperium ceniono wysoko, gdyż jednym z filarów modernizacji kraju były przemiany w wojskowości. Jeśli chodzi o porządek organizacyjno-prawny, polscy emigranci w tym okresie stanowili w imperium kolejną grupę wolnych chrześcijan. Byli to powstańcy listopadowi i Wiosny Ludów, przybysze na fali wojny krymskiej, słowiańscy i węgierscy żołnierze. Wielu oficerów polskiego pochodzenia zdecydowało się na konwersję na islam, aby uniknąć deportacji do carskiej Rosji, i już jako muzułmanie weszli do służby tureckiej w randze paszy. Niektórzy zerwali kontakt z Hôtelem Lambert, monarchistycznymi kręgami i porzuciwszy romantyczną ideę sprawy polskiej na Wschodzie, zajęli się „sprawą turecką”. Ukształtowani i wykształceni w Europie, władający francuskim, co się wówczas bardzo liczyło, odgrywali istotną rolę w modernizacji imperium na modłę zachodnioeuropejską.

Nie wszyscy jednak się zdecydowali na zmianę wyznania. Ojciec Karola, Antoni Bońkowski, był wysoko postawionym generałem i należał do cenionych katolickich poddanych sultana. Polskę opuścił około 1813 roku i najpierw mieszkał w Egipcie,

Powieść nie skrywa
despotycznych metod
w imperium, jak arbitralność
procesów sądowych
czy rutynowe stosowanie tortur

a potem przeniósł się do Konstantynopola. Zajmował się handlem zabytkami archeologicznymi.

Wspomógł sultana Mahmuda II (1785-1839, panowanie 1808-1839) przy likwidacji konserwatywnego korpusu janczarów, awansował do stopnia pułkownika, a nawet unowocześnił orkiestrę armii osmańskiej, dodając instrumenty europejskie. Brał także udział w wojnie z gubernatorem Egiptu, Muhammadem Alim Paszą w latach 1832 i 1839. Jego wysoka pozycja mimo braku konwersji wynikała z protekcji rządu francuskiego. W małżeństwie z Marjam, córką ormiańskiego katolickiego duchownego, miał pięciu synów, wśród których bardzo istotną rolę w modernizacji Turcji odegrał Karol/Charles znany również jako Pasza Bonkowski. Rodzina uważała się za polską, językiem używanym w domu Bonkowskich był francuski. Po ukończeniu École supérieure de pharmacie de Paris Charles pracował w Paryżu, w Instytucie Pasteura w zakresie mikrobiologii i bakteriologii. Po powrocie do Konstantynopola objął stanowisko profesora chemii w Szkole Medycznej, a następnie – stanowisko naczelnego chemika sultana. Otrzymał stopień mirliwa (generała) w 1892 roku i został mianowany generalnym inspektorem zdrowia publicznego w imperium. W 1876 wstąpił do Osmańskiego Towarzystwa Medycznego, a w 1879 ustanowił i został pierwszym prezesem Towarzystwa Farmakologicznego, wnosząc wkład w instytucjonalizację zawodu farmaceuty. Był członkiem kilku towarzystw chemicznych i medycznych we Francji i w Belgii. Dokumenty osmańskie wspominają o tym, że w roku 1894 został uhonorowany członkostwem w Akademii Francuskiej. Dokonania Bonkowskiego w rozwoju nowoczesnej farmacji przywołuje także Pamuk. W powieści znajdujemy opis jednej z nowoczesnych aptek. Do czasów Bonkowskiego osmańskie apteki przypominały bardziej sklep zielarski. Właściciel mingerkiej apteki zaznacza, że odwiedzają ją nie tylko miejscowi chrześcijanie, ale także muzułmanie.

W 1897 Bonkowski został inspektorem sanitarnym w Wyższej Komisji Wojskowej armii w Alansonii podczas wojny grecko-osmańskiej. Reprezentował Turcję osmańską na wielu kongresach. Jako członek „komisji Tathirat” powołanej przez Administrację Kwarantanny w 1885 r. wprowadził metodę nowoczesnej dezynfekcji w czasie rozprzestrzeniania się epidemii cholery. Bonkowski zaproponował utworzenie Centrum Kontroli Chorób w powołanej stacji kwarantanny. W 1897 w czasie wojny turecko-greckiej o Kretę był szefem oddziałów sanitarnych i organizował szpitale, wysyłane na front karetki pogotowia i pomagał Czerwonemu Krzyżowi.

TRANSFER WIEDZY

Do tych właśnie działań nawiązuje narratorka w powieści Pamuka i poprzednimi skutecznymi interwencjami epidemiologicznymi paszy tłumaczy niechęć miejscowych muzułmanów do proponowanej na wyspie kwarantanny jako powiewu obcych wpływów. W powieści Bonkowski uka-

zany jest jednocześnie jako dawny współwłaściciel firmy produkującej wodę różaną, co jest zgodne z prawdą, z tym że u Pamuka czyni to wspólnie z farmaceutą, Grekiem, doktorem Nikosem, Nikiforo Ludemis. To właśnie Bonkowski zaczął wprowadzać nowe standardy do osmańskiej farmacji.

W rzeczywistości Bonkowski z Augustem Rotterem, polskim migrantem, założył franczyzę o nazwie Dbalność o Zdrowie i Urodę. Sam Rotter, już po śmierci Bonkowskiego, w 1909 roku uzyskał w Paryżu patent na lek Microsite.

Bez wątpienia na zawodowe przygotowanie Charles’a Bonkowskiego wpłynęły współczesne mu naukowe i medyczne osiągnięcia zachodniego świata. Dzięki wiedzy, którą zawdzięczał zagranicznym studiom i międzynarodowemu doświadczeniu, mógł wprowadzić sanitarne i medyczne rozwiązania w medycynie osmańskiej. Bardzo dużo publikował, starając się nowe osiągnięcia zachodniej medycyny przekazać lekarzom imperium. Nie wiemy, w jakim stopniu ten urodzony w imperium naukowiec korzystał z dziedzictwa medycyny Bliskiego Wschodu. W tym okresie transfer wiedzy specjalistycznej w XIX/XX wieku przebiegał tylko w jednym kierunku, z zachodu na wschód. Pasza mieszkał i pracował w Stambule, w dzielnicy europejskiej, Perze (dzisiejsze Beyoğlu). Konstantynopol był tu sprzyjającą „strefą kontaktu”, ale – jak sugeruje fabuła powieści – konfrontacja światopoglądów, które stoją za zdobyczami nauki, medycyny, zwłaszcza w sytuacji granicznej, jaką jest zaraza, stawia dorobek medycyny Wschodu z kręgu kultury islamu w pozycji wstecznej wobec osiągnięć europejskiej medycyny. I oto chory nomen omen, bo właśnie dotknięty zarazą „chory człowiek Europy”, czyli chylące się ku upadkowi imperium osmańskie, jest w opałach.

Zapisy Bongo Paszy dotyczące epidemii cholery i dżumy są przechowywane w Archiwum Osmańskim. To właśnie na cholere w 1848 roku zmarł jego ojciec Antoni podczas wyprawy archeologicznej w region Bursy (Brussy). W literaturze tureckiej Karol wymieniany jest jako niemułmanin (gayrimüslim) oraz osmański farmaceuta i chemik. Zostawił po sobie liczne raporty, francuskojęzyczną dokumentację na temat analizy osmańskich wód źródłanych, między innymi w regionie miasta Bursa.

PRAWDZIWI BOHATEROWIE

Powróćmy do powieści. Na wyspę Minger Bonkowski dopływa statkiem. Co ciekawe, noblista umieszcza Bonkowskiego w roku 1901 na tym samym statku, na którym w rzeczywistości do Chin płynął inny pół-Polak na czele delegacji rządowej zwanej nasihat heyeti [delegacji doradczej]. Bezimienny w powieści, wspomniany tylko jako „doświadczony generał” to nikt inny jak syn polskiego konwertyty – Hasan Enwer Pasza. Osmańska interwencja w Chinach przedstawiona zostaje jako tło sekretnej wyprawy Bonkowskiego na wyspę. I dodatkowo do prawdziwych pasażerów stat-



ku w wersji Pamuka dołącza bratanica sultana Pakize Sultana i jej mąż, doktor Nuri Pasza. Narracja sultanki stanowi materiał narracji powieści.

Jednak pozwól sobie na zatrzymanie się przy prawdziwym pasażerze tego statku, Hasanie Enwerze, synu powstańca wielkopolskiego Konstantego Borzęckiego/Mustafy Dżelaledina Paszy, niedosłego księdza i malarza, polskiego konwertyty, i Safet Zelihi Hanim, najstarszej córki Ömera Lütfiego Paszy, także konwertyty, z pochodzenia Serba, kadeta zbiegłego z austriackiego wojska. Ojciec, Konstanty Borzęcki, to emigrant z XIX w., który przeszedł na islam i przyjął imię: Mustafa Dżelaledin Pasza, a do historii kultury Turcji przeszedł dzięki nośności swojej teorii o europejskim pochodzeniu Turków. Myśl Borzęckiego zawarta została w pracy „Les turcs anciens et modernes” (Turcy dawni i nowi). Teoria turoaryjskości zarysowana przez Borzęckiego stała się podstawą reform kulturowych, zwłaszcza zmiany alfabetu z arabskiego na łaciński, za czasów Republiki Turcji.

Syn, Hasan Enwer, urodził się w Stambule, chodził do Szkoły Zgromadzenia Braci na azjatyckim brzegu Bosforu, a potem do słynnego Liceum w Galatasa-

Bonkowski w swojej długiej karierze pracował jako wykładowca, naczelny epidemiolog, ale także jako specjalista od wód źródłanych

ray i promującego zachodnią metodę edukacji, z przewagą wpływów francuskich. Francuskojęzyczne Galatasaray Lisesi – obecnie znajduje się na İstiklal Caddesi na Beyoğlu. Potem Hasan Enwer został wysłany do Francji, do Paryża do École centrale des arts et manufactures, gdzie kształcił się na inżyniera. Studia przerwała śmierć ojca. Wówczas w stopniu kapitana rozpoczął karierę wojskową w osmańskim sztabie generalnym, którego został członkiem po zdobyciu stopnia generała. Wchodził też w skład Kom-

sji Inspekcji Wojskowej powołanej przez sultana Abdülhamida. Jako wykształcony osmański urzędnik znający języki obce specjalizował się w kontaktach zagranicznych. W 1890 roku został attaché wojskowym w Wiedniu, w 1897 roku w trakcie wojny grecko-tureckiej był gubernatorem w Wolos i pomagał w pertraktacjach przy ustalaniu wspólnej granicy. W trakcie sporu hiszpańsko-amerykańskiego, z racji znajomości hiszpańskiego, sprawował funkcję attaché wojskowego i obserwatora na Kubie. Pierwszą jego żoną była

FOT. GETTY IMAGES



córka innego konwertyty, zaś drugą żoną – chrześcijanka Hortence. Po przejściu na emeryturę, prześląknięty ideami modernizacyjnymi, Hasan Enwer Pasza założył z Hortence prywatne francuskojęzyczne liceum w Erenköy, po azjatyckiej stronie Bosforu, zmarł zaś w 1929 roku. Z szacunkiem odnosił się do dokonani ojca, Konstantego Borzęckiego; był też świadomy swoich polskich korzeni, jednak nie władał językiem polskim, ale podtrzymywał więzi z Polską, korespondując z kilkoma krewnymi.

Działalność obu „Lehli” przypada na czasy sułtana Abdülhamida, który forował panislamizm i jednocześnie otaczał się innowiercami, z których specjalistycznej wiedzy chętnie korzystał. Polacy w służbie u sułtana mieli nieco odmienną pozycję, byli neutralni w kontekście roszczeń terytorialnych innych grup etniczno-religijnych. Bonkowski reprezentuje katolików także jako pół-Ormianin, jego dziadek ze strony matki był patriarchą. Dzieje się to w czasach, gdy niemuzułmanów nie spotykają masowe ataki, w przeddzień rewolucji młodotureckiej w 1908, zamachu wojkowego, który ma uchronić imperium przed obcą interwencją i kiedy wciąż dominuje przekonanie o udanej osmańskiej wieloreligijnej koegzystencji. Powieść za-

wiera ten wątek, wspomina o napięciach spowodowanych separatystycznymi tendencjami chrześcijan osmańskich.

SKANDALICZNA CHIŃSKA MISJA

Powieść przybliży też kontekst wyprawy do Chin, która rzeczywiście miała miejsce. W roku 1901 dziewięcioosobowa delegacja udała się tam, aby na bezpośrednią prośbę cesarza Wilhelma II skierowaną do samego sułtana Abdülhamida wesprzeć Niemcy i odciągnąć chińskich muzułmanów od „antycudzoziemskiej” rewolty bokserów. Celem delegacji było zgodnie z ideą panislamizmu przekazanie specjalnego przesłania sułtana kalifa. Panislamizm był właśnie składową receptą „ratowniczej” słabnącego imperium, dążył do zjednoczenia świata muzułmańskiego w ramach przeciwstawienia się ideologiom zachodnioeuropejskim. Dlatego w składzie delegacji udającej się do Chin było kilku duchownych. W ten sposób osmańska Turcja miała sposobność zadbać o swoją liczącą około czterdziestu milionów muzułmańską społeczność, a także o muzułmańskie cmentarze znajdujące się w rękach Francuzów.

Przesłanie od kalifa stanowiła przetłumaczona na chiński odezwa ówczesnego szejchulislama. W przekazanym sułtanowi delegacyjnym raporcie Enwer Pasza, syn Borzęckiego, podkreślał poważne braki chińskich muzułmanów w zakresie podstawowej wiedzy o islamie. Wśród członków delegacji naprawczej byli także nauczyciele z medresy, urzędnik z Urzędu Fetw i sędzia szariacki. Do nich należało główne zadanie i dlatego też mieli najwyższe „diety” w wysokości 3000 kuruszy, podczas gdy przewodniczący delegacji, Enwer Pasza, otrzymał sumę 500 kuruszy. Jednakże niedoświadczony w podróżach sędzia nie zabrał nawet zapasowej bielizny. Ponadto potraktował wyprawę jako możliwość dodatkowego zarobku, próbując sprzedać chińskim muzułmanom po wysokiej cenie zakupione za grosze w Stambule egzemplarze Koranu. W charakterze tłumacza pojechał Chorwat Vićinco Kinvoli wraz z córką mademoiselle Hortence. Obecność kobiety w składzie osmańskiej delegacji w tamtych czasach była ewenementem. A fakt, że inną kobietę, Pakize Sultan, Pamuk umieścił na statku, można tylko wytłumaczyć uprzywilejowaniem wynikającym z jej statusu krewnej sułtana. Na prawdziwym statku pan-

na Hortence zasłynęła skandalem. W trakcie podróży okazało się, że jest eksguwernantką syna Hasana Enwera i jego kochanką. Wówczas na rozkaz samego sułtana 50-letni Hasan Enwer musiał wziąć ślub z 22-letnią mademoiselle. To zdarzenie stało się świetnym materiałem do dziennikarskich spekulacji. Wiemy, że zaślubiny, szeroko opisane w prasie, odbyły się w konsulacie austriackim w Aleksandrii. Także w powieści Pamuka delegacja zatrzymuje się w Aleksandrii, ale wątek romanсовy się nie pojawia. Donosicielką wieści o romansie okazała się pierwsza żona Enwera, pani Lejla, która zamierzała pożegnać męża przed podróżą i wtedy dowiedziała się, z kim będzie dzielił kajutę. Na obronę Paszy gazety informowały opinię publiczną, że jako muzułmanin Enwer Hasan może mieć dwie żony, a nawet cztery. Enwer, chociaż przedstawiał siebie jako wiernego wyznawcę islamu, de facto utrzymywał ściśle kontakty z chrześcijanami polskimi i węgierskimi, wśród nich nazywany był Edwardem. Wiadomo też, że korespondował ze swoją polską kuzynką, siostrą zakonną Kunegundą (Marianną Borzęcką), aby udowodnić katolicyzm swoich przodków. Nie wiadomo, czy chodziło tylko o emigrację, czy też o ewentualną konwersję. Jednak z planów emigracyjnych Pasza Enwer zrezygnował nie później niż na początku I wojny światowej i poświęcił się pisarstwu.

A pełna rozmachu interwencyjna akcja w Chinach zamierzonego efektu nie osiągnęła. Delegacja dotarła na miejsce po zakończeniu powstania bokserów. Jednocześnie przyjazd delegacji nie spotkał się z entuzjazmem chińskich muzułmanów. Tylko część była gotowa wysłuchać przesłania, reszta pozostała obojętna i skuteczność wyprawy ograniczyła się do ochrony muzułmańskich grobów.

Z informacji w tureckich archiwach wiemy, że delegację wysłaną przez sułtana ze Stambułu zabrał rosyjski parowiec. W Suezie delegaci mieli się przesiąść na parowiec niemiecki. Fikcyjny pasza Bonkowski zaś wysiada ze statku „Azizye”, który w rzeczywistości był zbudowany przez spółkę angielską Robert Napier and Sons w latach 60. XIX wieku w Glasgow. Pod osłoną nocy łódką Bonkowski udaje się na wyspę Minger, gdzie w tajemniczych okolicznościach zostaje zamordowany.

Z POMOCĄ DO KSIĘŻNEJ

Ale prawdziwa rodzina Bonkowskich w Stambule to nie tylko ojciec Antoni i Karol. Byli jeszcze Ernest i Eugeniusz. Trochę informacji o Erneście znajdujemy w Archiwum Czartoryskich w liście z 1881 roku do księżnej Małgorzaty d’Orléans Czartoryskiej. Przedstawia się w nim jako urodzony w Stambule syn emigranta z 1831 roku, nieżyjącego już Antoniego Bonkowskiego, który zmarł, gdy syn miał trzy lata. Matka to katolicka Ormianka. Pracujący jako konsul osmański w Tulczy w Rumunii Ernest od lat 12 był żonaty, był ojcem pięciu chłopców, którzy któregoś dnia „będą służyć odzyskaniu niepodległości naszej drogiej i ukochanej Polski”. Pod-

czas powstania z 1863 r. stracił jednego z braci, lekarza w stopniu majora w armii osmańskiej, Eugene’a Bonkowskiego, który brał udział w polskim powstaniu jako wolontariusz. W liście Ernest poprosił księżną o wsparcie finansowe, gdyż zła sytuacja w Turcji pomniejszyła jego zarobki i nie stać go na utrzymanie swojej licznej rodziny. Pomoc dotyczy głównie czesnego najstarszego syna, jedenastoletniego Antoine’a, który uczy się w szkole z internatem w Stambule, a dyrektor grozi wyrzuceniem syna ze szkoły. Synowi brakowało jeszcze roku do ukończenia szkoły, a potem ojciec obiecał zapisać go do Akademii Orientalnej w Wiedniu, w której ze względu na jego status kawalera orderu Franciszka Józefa nauka syna będzie darmowa. Tak więc prosi księżną o kwotę 1150 franków, zwraca się do niej jako do swojej jedynej nadziei i osoby znanej ze swej hojności dla dzieci urodzonych z polskich rodziców. Wyraża wdzięczność i zaznacza, że księżna tym samym przyczyni się do wykształcenia „małego Polaka”, który w przyszłości będzie mógł „znaleźć się w dyspozycji naszej drogiej Polski”.

Wróćmy jednak do samej powieści, którą tworzy fikcyjna pani historyk – doktor Uniwersytetu Cambridge, profesor z Bostonu – jako narrator zastrzega już na początku, że celem pisanej przez nią książki jest połączenie sztuki powieściopisarstwa z nauką historiograficzną. Mimo licznych detali historycznych Pamukowi udaje się wydobyć literacką przyjemność z ekspozycji historiograficznych debat. Dialoguje z paradygmatami interpretacyjnymi historii osmańskiej, odwracając miejsce, które jest historycznie wiarygodne. Podział pomiędzy muzułmanami (Turkami, Arabami i Mingeryjczykami) oraz prawosławnymi Grekami jest do prawdy „bardzo osmański”.

Společność wyspy to lustro osmańskiej koegzystencji, ale bez romantycznej idealizacji, niepowleczone pamukowską mgłą nostalgii hüzün jego obrazu Stambułu. Obserwujemy tu napięcia etniczne i religijne konflikty, ale jednocześnie widzimy, jak są one „inżynierowane” przez władze imperium, przez wieki radzące sobie z poddanymi mówiącymi wieloma językami, wyznającymi różne religie i kultuwującymi własne tradycje. Jednocześnie powieść nie skrywa despotycznych metod stosowanych w celu utrzymania ładu w imperium, takich jak arbitralność procesów sądowych czy rutynowe stosowanie tortur.

„Lehli” Charles Bonkowski to postać bardzo pozytywna, pewien symbol bliskości, na które w imię separatystycznych ambicji przeprowadzono zamach. Pamuk, który mimo wszelkich trudności z obecną turecką władzą nie opuścił miejsca swojego urodzenia, Stambułu i Turcji, próbuje, w tym wypadku jednak bez sukcesu, zachować status neutralnego pisarza stroniącego od roli rzecznika społeczno-politycznych nastrojów, aby pokazać pewną projekcję neoosmańskiego scenariusza historii, która cyklicznie powraca. ●

Współpraca: Paulina Dominik

N A S Z A E U R O P A

Start-upy na wojnie

UKRAIŃSKA
REWOLUCJA
W PENTAGONIE

Małe, błyskawicznie rozwijające się amerykańskie firmy z branży technologicznej korzystają z wojny w Ukrainie, by rozwijać nową generację broni i sprzętu. Ale czy najsilniejsza armia świata jest gotowa na metody Doliny Krzemowej?

Eric Lipton THE NEW YORK TIMES

Capella Space, start-up z San Francisco, buduje flotę małych, tanich satelitów, które potrafią śledzić oddziały wroga, poruszające się nocą albo pod osłoną chmur – nie do przejścia dla tradycyjnych satelitów optycznych.

Fortem Technologies, mała firma lotnicza z Utah, chce dostarczyć Pentagonowi samoloty bezzałogowe nowego typu, które potrafią unieszkodliwiać nieprzyjacielskie drony.

HawkEye 360 z Wirginii wykorzystuje fundusze private equity, by uruchamiać satelity wykorzystujące fale radiowe emitowane przez urządzenia elektroniczne, co pozwala im wykrywać obecność obcych wojsk.

Każdy z tych systemów jest dziś testowany w świecie rzeczywistym – na wojnie w Ukrainie, gdzie zbiera pochwały armii, a inwestorom daje pewność, że warto w nie pompować pieniądze.

Jednak dziś wszystkie te firmy czeka wyzwanie na innym polu: bitwa z ociężałą, niechętnie ryzykującą biurokracją Pentagonu, który odpowiada za zamówienia wojskowe.

Jeśli chodzi o drony, satelity czy sztuczną inteligencję (AI), start-upy często proponują Pentagonowi tańsze, szybsze i bardziej elastyczne opcje niż te produkowane przez garstkę ulubionych gigantów, na których od dekad polega Pentagon. Jednak choć armia daje wielu start-upom niewielkie granty i krótkoterminowe kontrakty, wygasają one za szybko i są za małe, żeby młodym firmom wystarczyło na pokrycie kosztów i rozwój.

Podczas gdy w kwestiach związanych z bezpieczeństwem Ameryka próbuje dominować nad Chinami i Rosją, szefowie Pentagonu dopiero zaczynają kombinować, jak wprowadzić etos Doliny Krzemowej do przestarzałego kompleksu wojskowo-przemysłowego. – Podobne zmiany nie zawsze przebiegają tak płynnie, jak bym chciał – przyznał sekretarz obrony Lloyd J. Austin, przemawiając w grudniu w Simi Valley w Kalifornii przed szefami technologicznych start-upów.

Urzednicy Pentagonu są szkoleni, żeby unikać ryzykownych zakupów

Obecni i byli ważni urzednicy Pentagonu przyznają, że Departament Obrony nadal potrzebuje lat planowania i decyzji Kongresu, zanim kupi coś od start-upów – i w ilościach, które pozwolą im przetrwać i zrobią różnicę na polu walki.

– Jest zbyt wielu kontrolerów od kontrolowania kontrolerów – żymała się w ub. miesiącu Deborah Lee James, była sekretarz sił powietrznych.

Szefowie firm z branży lubią mówić, że zamiast rozwijać się w Krzemowej, „utknęli w Dolinie Śmierci”, bo zółwie tempo rządowych zamówień sprawia, że kończy im się kasa. Jeden ze start-upów z San Francisco, Primer Technologies, producent narzędzia

opartego na AI, które przeanalizowało już tysiące godzin rosyjskiej komunikacji radiowej, co pozwoliło namierzać rosyjskie cele, walczy dziś o przetrwanie, bo nie może się doczekać na duże kontrakty z Pentagonem.

– Małe firmy nie mogą czekać dwa-trzy lata, aż uda się podpisać z nami kontrakt – przyznała pod koniec 2022 r. Heidi Shyu, podsekretarz obrony ds. badań i inżynierii, podczas Narodowego Forum Obrony.

W dodatku urzednicy Pentagonu odpowiedzialni za zakupy są specjalnie szkoleni w unikaniu ryzyka. To efekt dekad skandalu związanych z zawyżonymi cenami i wadliwym sprzętem. Dziś takie metody nie pasują do firm technologicznych, które rozwijają się dzięki innowacjom, szybkości i nieustannemu ulepszaniu produktów.

W Ukrainie liczy się tylko „poważna broń”, a nie „gadżety”?

Wojna w Ukrainie toczy się wciąż przy użyciu tradycyjnej broni z XX w., jak karabiny, artyleria czy haubice. Dlatego William A. LaPlante, podsekretarz obrony ds. zakupów i utrzymania, jeszcze w ubiegłym roku tłumaczył kontrahentom, że „bez względu na to, jaki jest ich ulubiony gadżet, naprawdę liczy się jedynie produkcja poważnej broni”.

Przekonywał, że walka z Rosją w Ukrainie „nie jest, na razie, prowadzona przez Dolinę Krzemową, choć pewnie będą próbowali przypisać sobie za nią zasługi”.

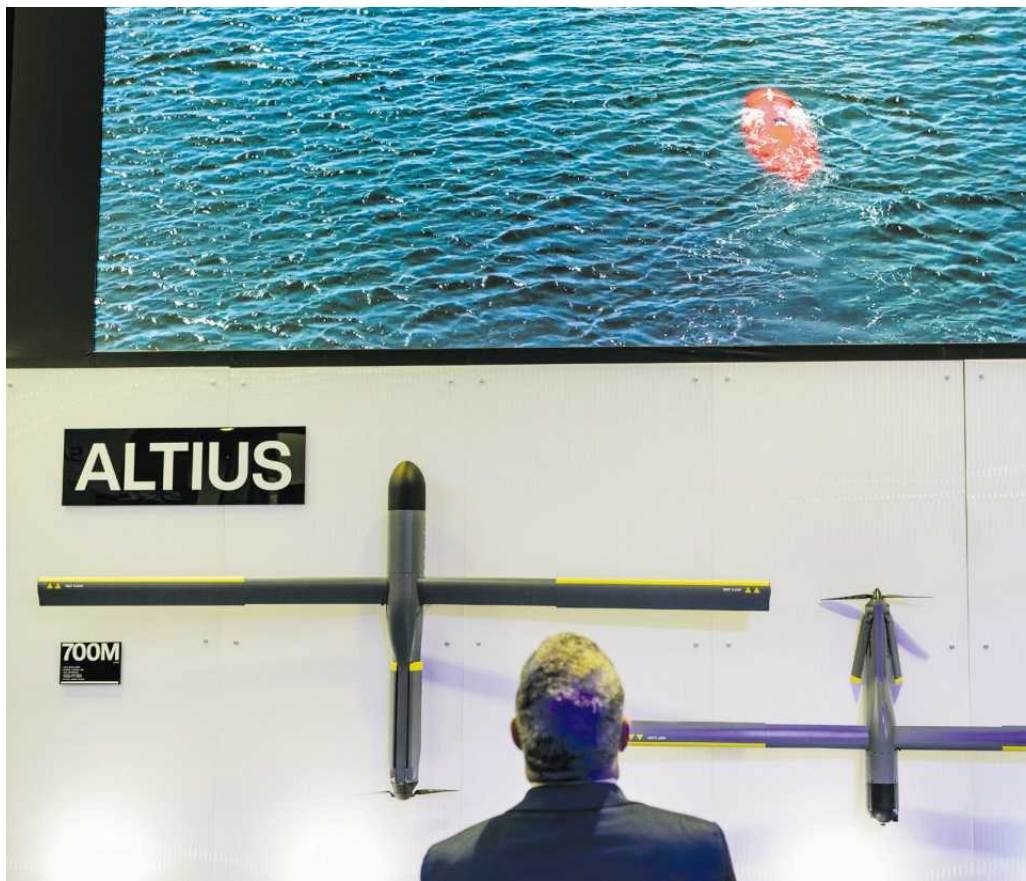
Jednak w późniejszym wywiadzie dodał, że owszem, technologia komercyjna poważnie wpływa na sytuację na froncie – szczególnie narzędzia satelitarne, które dały Ukraincom nowe możliwości. – Technologia jest naprawdę ważna – przyznał.

Dla Pentagonu wybranie konkretnej spośród tak wielu wschodzących firm jest trudne. Szczególnie że niektóre start-upy grubo przesadzają, przedstawiając możliwości swoich technologii. – Radzimy badać, co będą w stanie dostarczyć – mówi Whitney McNamara, była doradczyni Pentagonu ds. naukowych, opisując raport Atlantic Council o usprawnieniu procesu zakupów technologii wojennych.

Ukraińcy imponują pomysłowością

Od pierwszych miesięcy wojny Starlink – telekomunikacyjna sieć budowana przez SpaceX Elona Muska – była kluczowa dla ukraińskich żołnierzy walczących na linii frontu. Jednak dotyczy to w równym stopniu małych dronów, a także gęstego zestawu satelitów umożliwiających niemal nieustanną obserwację, co pozwalało Ukraincom skutecznie namierzać i śledzić zagrożenia i cele.

Tańsze i bardziej precyzyjne, służące do przenoszenia bomb drony nowej generacji są w stanie samodzielnie krążyć w powietrzu, dopóki nie namierzą swoich celów.



• Drony Altius firmy Anduril Industries na targach przemysłu zbrojeniowego w National Harbor, 3 kwietnia FOT. JASON ANDREW/THE NEW YORK TIMES/EAST NEWS

A wspierane przez sztuczną inteligencję systemy komputerowe mogą łączyć zebrane przez nie dane oraz inne informacje i dzięki temu określać cele szybciej niż jakikolwiek człowiek.

Sami Ukraińcy też wprowadzają innowacje, imponując tym urzędnikom Pentagonu – jak choćby, kiedy przekształcili komercyjne drony w miniaturowe bombowce.

Jak podsumowuje Thomas Hammes, weteran piechoty morskiej, który dziś studiuje historię wojen na wspieranym przez Pentagon Narodowym Uniwersytecie Obrony, trwa dziś „prawdziwa militarna rewolucja” – znacznie szybsza niż przejście od piechoty z czasów I wojny światowej do zmotoryzowanych i zmechanizowanych armii II wojny.

– Obecne tempo zmian nie pozwala USA oraz ich sojusznikom na luksus transformacji trwającej 20 lat – tłumaczy. – Powoli pojawia się gotowość do zaakceptowania tego nawet wśród czterogwiazdkowych generałów.

Oglądamy serię promocyjnych nagrań akcji nowego narzędzia bojowego. Bezałogowy pojazd startuje po wykryciu wrogości drona, po czym namierza nadlatującą broń i unieszkodliwia ją, wykorzystując sieć podobną do sieci Spider-Mana. Wyprodukowany przez Fortem, start-up z Utah, pojazd zyskał przydomek „Shahed Hunter”, czyli polujący na irańskie drony.

To tylko jeden z trzydziestu nowych produktów małych amerykańskich start-upów, z których korzystali już na froncie Ukrainy.

Amerykańska technologia dociera do Ukrainy na różne sposoby. Przez darowizny od firm, bezpośrednie zakupy ukraińskiego rządu i wspierających go grup albo kupowanie przez amerykański rząd.

Najbardziej konwencjonalne z tych urządzeń to komercyjne satelity, które dostarczają tradycyjne zdjęcia rosyjskiego sprzętu i oddziałów od takich firm, jak Maxar Technologies, BlackSky czy Planet Labs, zarabiających miliardy na rządowych kontraktach.

Ameryka od lat ma w kosmosie zaawansowane satelity o znacznie większych możliwościach niż te oferowane przez firmy komercyjne. Jednak od pięciu lat także gracze z sektora prywatnego, jak Capella, wypuszczają na orbitę mniejsze, tańsze jednostki, oferując szerszy zasięg, niż może zapewnić rząd USA. – To pierwsza poważna wojna, w której komercyjnie dostępne zdjęcia satelitarne odgrywają kluczową rolę w informowaniu o ruchach wojsk czy przemiesz-

czaniu się uchodźców – przekonywał na początku wojny – trafnie przewidując ich rolę – ukraiński minister ds. innowacji Mychajło Fiodorow.

Reaper i predator kosztują fortunę. Małe drony są lepsze

Także nieco bliżej ziemi małe drony produkowane przez coraz więcej amerykańskich firm, jak AeroVironment, Skydio, Shield AI, Teal Drones, BRINC czy Anduril Industries, dają Ukraincom tzw. stały nadzór, niezbędny do namierzania celów, obserwowania przemieszczania się uchodźców i identyfikowania zagrożeń.

Amerykańska armia ma znacznie większe drony szturmowe, masowo wykorzystywane w Iraku i Afganistanie, jak Predator czy Reaper, produkowane przez General Atomics, warte po nawet 57 mln dolarów sztuka. Jednak drony nowej generacji są znacznie mniejsze, tańsze i łatwiejsze do skonstruowania, a do tego dają zupełnie nowe możliwości na polu bitwy.

Wahid Nawabi, szef kalifornijskiej firmy AeroVironment, produkującej wykorzystywane już w Ukrainie drony szturmowe Switchblade 300 i 600, przekonuje, że armia stopniowo przestawia się na wykorzystywanie rojów niewielkich dronów w atakach, w których jednocześnie może ich opadać na cele pięćdziesiąt, a nawet sto.

Firma sprzedała Pentagonowi w ciągu ostatniej dekady 5 tys. takich dronów – ale jest w stanie produkować ich nawet 16 tys. rocznie. – Wróg może pokonać 10-20 proc. atakujących go dronów, ale nie jest w stanie zestrzelić więcej niż połowę. Dlatego atakowanie w rojach jest tak skuteczne – tłumaczy Nawabi.

Także inne firmy zajmujące się technologią militarną, w tym Dedrone z Wirginii czy SkySafe z Kalifornii, wysłały do Kijowa swoje produkty, które pozwalają Ukraincom śledzić nadlatujące drony nieprzyjaciela albo – jak w przypadku Dedrone – wykorzystywać urządzenia podobne do karabinu, wysyłające ukierunkowane impulsy radiowe, które blokują wrogowi komunikację z dronem, unieszkodliwiając go, zanim uderzy w cel.

Być może najbardziej rewolucyjnym zastosowaniem amerykańskiej technologii w Ukrainie jest stworzone przez Palantir oprogramowanie wykorzystującego sztuczną inteligencję, które pomaga w obieraniu celów. Szef firmy Alex Karp sam pojechał do Ukrainy spotkać się z prezydentem Wołody-

NASZA EUROPA

myrem Zelenskim. – Jeśli ruszasz do walki z przestarzałą technologią, a masz przeciwnika, który wie, jak zainstalować i wdrożyć cyfrowe namierzenie celu przy użyciu AI, to stoisz na straconej pozycji – przekonuje.

AI może zastąpić setki analityków
Zdaniem ekspertów sztuczna inteligencja wykorzystywana w Ukrainie do przesiewania ogromnych ilości zgromadzonych danych wywiadowczych tak namiesza w sposobie prowadzenia wojny jak broń jądrowa.

– AI jest w stanie podejmować miliony decyzji, jeszcze zanim człowiek zorientuje się, że w ogóle jest jakaś decyzja do podjęcia – tłumaczy Will Roper, który do 2021 r. odpowiadał za zamówienia w US Air Force i jest doradcą w Pentagonie. – Jesteśmy na początku zupełnie nowej ery działań wojennych. Inżynierowie z Primer krótko po rozpoczęciu wojny namierzili ogromną ilość rosyjskiej komunikacji radiowej. Wykorzystując zaawansowane oprogramowanie, oczyszczili dźwięk, przetłumaczyli rozmowy i – co najważniejsze – wylapali momenty, w których rosyjscy żołnierze rozmawiali o systemach swojej broni, ich lokalizacji i innych kluczowych taktycznie sprawach. Ta sama praca wymagałaby zatrudnienia setek analityków, którzy byłiby w stanie zidentyfikować zaledwie kilka istotnych wskazówek w tak olbrzymiej masie ruchu radiowego. Tymczasem zostało to zrobione w kilka minut.

To, co udało się ustalić, zestawiono z informacjami zebranymi z innych źródeł, np. danych geolokalizacyjnych z mediów społecznościowych. Po porównaniu z nagraniami z dronów czy zdjęciami z satelity udało się dokładnie ustalić, gdzie są rosyjscy żołnierze i sprzęt. – Tak dziś wygląda orientowanie się w sytuacji – zachwala Sean Gourley, założyciel Primera.

A jednak Pentagon wciąż wahał się, czy zdecydować się na duży zakup ich technologii. W efekcie firma zdążyła zużyć swoje rezerwy, a Gourley – pozwalniać inżynierów. – Ci inżynierowie są świetni w tworzeniu rozwiązań problemów, a to jest najważniejsze – tłumaczy. Sam zdecydował się zatrudnić byłego doradcę senackiej komisji służb zbrojnych, który ma im pomóc wypromować się w Waszyngtonie. – Duże firmy zbrojeniowe właściwie nie inwestują w technologię, ale jedynie w sprawne poruszanie się w biurokracji – tłumaczy.

– Jeśli ryzykują, nie dostają awansu – mówi Payam Banazadeh z Capella Space o przedstawicielach resortu ds. zakupów. – Dlatego nie ma wyjścia, każdy musi prze czekać cały proces trzyletniego planowania budżetu, nieważne, że żołnierz na froncie krzyczy: Ja naprawdę tego potrzebuję!

Pentagon sięga po ludzi z Apple’a
AI nadal nie została włączona w operacje sił powietrznych – poza kilkoma drobnymi eksperymentami. – Pentagon nadal pozostaje w trybie „korzystamy tylko z własnej inwencji”, sięgającym czasów zimnej wojny, podczas gdy dziś powinien być nastawiony na współpracę i przyspieszenie rozwoju prywatnego przemysłu – przekonuje Roper.

Jednak są historie, które kończą się sukcesem. Jednostka ds. innowacji Pentagonu stworzyła program, który ocenia pojawiające się na rynku drony obserwacyjne, a także narzędzie, które pozwala resortowi kupować je bezpośrednio. Sekretarz obrony Austin ogłosił niedawno, że jednostka będzie polegać bezpośrednio jemu i będzie zarządzana przez człowieka ściągniętego z Apple’a.

Skydio, jedna z firm zatwierdzonych w ramach programu, oferuje drona wykorzystującego AI, która pozwala operować nim zdalnie, unikając kraks – nawet jeśli obsługuje go nowicjusz. Taki dron może latać w ciasnych pomieszczeniach, umożliwiając zagłębienie np. do wnętrza zdobywanych w miejskiej bitwie budynków, przed posłaniem na miejsce żołnierzy. ● **tłum. Marta Urzędowska**

Stefanicki

Ostatni raz zaludnienie planety zmniejszyło się w XIV w. wskutek dżumy; dojście do stanu sprzed tamtej pandemii zajęło ludzkości 150 lat. Wojny, katastrofy naturalne, epidemie – to były jedyne znane czynniki ograniczające wzrost populacji. Ta, wedle popularnej w XIX w. teorii Thomasa Malthusa, miała rosnąć w tempie geometrycznym, podwajając się co 25 lat, przeskakując podaż żywności i docelowo wpędzając świat w nędzę i głód.

Maltuzjanizm już dawno został potępiony, głównie za darwinizm społeczny. Malthus uważał, że głównym problemem jest nadmierny przyrost naturalny ubogich, a równocześnie postulował utrzymanie płac na niskim poziomie, zakładając, że ich wzrost pociąga za sobą zwiększenie rozroczności.

W latach 70. ideę neomaltuzjanizmu wskrzesił sławny raport dla Klubu Rzymskiego pt. „Granice wzrostu”. Ostrzegano w nim, że konsumpcja i niekontrolowany wzrost liczby ludności doprowadzą do załamania gospodarczego, a pogrążona w nieszczęściu ludzkość zacznie wymierać. Wiele zawartych tam ostrzeżeń, zwłaszcza dotyczących środowiska naturalnego, pozostaje aktualne, niemniej zasadniczo apokalipsa zapowiadana na połowę XXI w. raczej się nie ziści.

Współcześnie króluje teoria demograficznego przejścia, uwzględniająca spadek dzietności towarzyszący modernizacji społeczeństw.

Ale do niedawna trudno było sobie wyobrazić, że populacja całego globu mogłaby zacząć maleć. I to nie wskutek wzrostu liczby zgonów, lecz spadku urodzeń. Wciąż przecież słyszymy o nadchodzącej eksplozji demograficznej w Afryce, która w połączeniu z kryzysem klimatycznym zaleje kraje bogate Północy uchodzącami. Pierwsi już czają się pod naszym narodowym płotem.

Afryka zadziwia demografów. W 2000 r. statystyczna mieszkanka Ziemi rodziła 2,7 dziecka – powyżej współczynnika zastępowalności pokoleń wynoszącego 2,1. Dziś globalna dzietność wynosi 2,3 i spada. Wyludniają się wszystkie najbogatsze kraje i te największe.

Atrofia Rosji, widoczna od upadku komunizmu wskutek niskiej dzietności i niskiej oczekiwanej długości życia, przyspieszyła z powodu wojny i emigracji. Ludność Chin w zeszłym roku zaczęła spadać po raz pierwszy od wielkiego głodu sprzed 60 lat. Chiński wskaźnik dzietności wynosi 1,2 i, paradoksalnie, nawet podczas obowiązywania polityki jednego dziecka był dwukrotnie wyższy. Także w Indiach dzietność spadła już poniżej krytycznego progu zastępowalności.

Ale najbardziej zaskakuje Afryka, gdzie wskaźniki urodzeń spadają znacznie szybciej, niż oczekiwano. Demografowie przecierają oczy i obniżają prognozy wzrostu o setki milionów.

Uwzględniając najnowsze dane, ludność największego kraju konty-

nentu, Nigerii, wzrośnie do 342 mln w 2060 r. – to aż 200 mln mniej, niż przewidywano jeszcze dziesięć lat temu. Współczynnik dzietności w Nigerii w pięć lat spadł do 4,6 z 5,8. W Kenii w ciągu ćwierć wieku wskaźnik ten obniżył się o połowę: z 6,7 dziecka na kobietę do 3,4. Ten trend widać również w najbardziej niebezpiecznym Sahelu, gdzie dzietność pozostaje wciąż wysoka, ale i tam kobiety rodzą co najmniej jedno dziecko mniej niż przed dekadą.

Prognoza ONZ, że populacja Afryki wzrośnie z ok. 1,2 miliarda obecnie do 3,4 miliarda na koniec stulecia, wydaje się nieaktualna. Think tank Klubu Rzymskiego teraz wylicza, że bomba populacyjna może nigdy nie wybuchnąć, a ludność Afryki Subsaharyjskiej osiągnie szczyt już w 2060 r., czyli 40 lat wcześniej, niż sądzono.

To dobrze czy źle? Powody tego zjawiska są złożone. Po pierwsze, szybko postępująca urbanizacja. Kobiety z miast mają przeciętnie jedno dziecko mniej niż te mieszkające na wsi. Po drugie, wzrost użycia antykoncepcji, zwykle przy zaangażowaniu rządów, a niekiedy i za przyzwoleniem przywódców religijnych. W przeszłości afrykańscy politycy podejrzewali, że Zachód namawia do planowania rodziny, żeby zdusić potencjał ich krajów. Takie postawy są dziś rzadsze. Ugandyjski prezydent Yoweri Museveni dawniej namawiał do rodzenia dzieci, a teraz mówi kobietom, że wiele ciąż „osłabi ich organizmy”. Prezydent Mohamed Bazoum z Nigru uczynił „walkę z demografią” trzonem swojej kampanii wyborczej.

Po trzecie, ogromne znaczenie ma upowszechnienie edukacji dziewcząt. W Angoli kobiety bez żadnego wykształcenia mają 7,8 dziecka, a te z wyższym wykształceniem – 2,3.

Po czwarte, rosnące koszty życia. Im drożej, tym mniejsza skłonność do posiadania dodatkowych dzieci. Badacze zauważyli, że kobiety deklarują chęć posiadania więcej potomstwa, niż potem faktycznie mają, co może być związane z niepewnością finansową.

Afryka zaczyna więc przechodzić takie same przemiany, jak niedawno przeszła Azja Wschodnia. To dobrze czy źle? Zależy kogo pytać. Jedni po prostu, że ludzie zdeptują i trują planetę, więc im ich mniej, tym lepiej. Inni zauważają, że spadający wskaźnik urodzeń zwiastuje nadchodzącą katastrofę, ponieważ mniej dzieci to mniej pracowników i konsumentów napędzających wzrost gospodarczy.

W masową świadomość wbił się tweet Elona Muska, że załamanie globalnego wzrostu ludności to „potencjalnie największe zagrożenie dla przyszłości cywilizacji”. Miliarderowi chodziło pewnie o to, że nie będzie komu zasiedlać Marsa...

Prawdą jest jednak, że kurczący się zasób siły roboczej może być problemem, zaś rosnąca liczba osób starszych wywiera presję na systemy opieki społecznej. „Nie będzie miał kto pra-

cować na nasze emerytury” – to najczęstsza fraza w analizach demograficznych.

Recepta jest znana: przepływ siły roboczej z rejonów, gdzie jest jej nadmiar, do tych, gdzie jej brakuje. Wiele krajów najbardziej rozwiniętych programowo ułatwia imigrację, inne, jak Japonia czy Chiny, się przed nią wzbraniają i wymyślają kolejne polityki prorodzinne, które mają jeden wspólny mianownik: nie działają. Singapur oferuje hojne stypendia, ulgi podatkowe i dotacje na opiekę nad dziećmi, ale ma współczynnik dzietności równy 1,0. Kraje skandynawskie, chwalone za najlepsze polityki prorodzinne, też nie wyróżniają się w statystykach urodzeń.

„Economist” przytoczył kilka innych, zaskakujących argumentów wysuwanych przez propagatorów wzrostu populacji zmartwionych starzeniem się społeczeństw. Na przykład „patenty zgłaszane przez najmłodszych wynalazców znacznie częściej obejmują przełomowe innowacje”.

Cóż, na liście krajów z największą liczbą patentów na głowę mieszkańca są wyłącznie kraje z niską dzietnością, poczynając od Szwajcarii. Szansa, że jakiś młody geniusz objawi się w kraju, gdzie pary mają 1-2 dzieci i są w stanie dużo zainwestować w ich edukację, jest znacznie większa, niż że stanie się to w Nigrze. Oczywiście jest możliwe, że wskutek spadku dzietności nie urodzi się zbawca świata, lecz z drugiej strony każdy łatwo sporządziłby listę tych, którzy dla dobra ludzkości urodzić się nie powinni. Podobnie dyskusyjny jest argument, że starsi wyborcy wybierają zachowawczą politykę, nie pozwalając dojść do głosu innowacyjnym wizjonerom. Gdyby młodzi częściej chodzili na wybory, mieliby większy wpływ na rzeczywistość.

Wydaje się, że zalety ograniczenia wzrostu populacji przewyższają zagrożenia. Mniej porodów jest korzystne dla zdrowia kobiet. Matkom wielodzietnym łatwiej jest wrócić na rynek pracy, co zwiększa dochód w rodzinie i krajowy dobrobyt. Im mniej dzieci, tym lepiej będą wykształcone i w przyszłości więcej zarobią. Im mniej ludzi, tym mniejsza presja na zużycie zasobów i środowisko.

Masowy głód przewidziany przez Malthusa nie wybuchł, ponieważ nastąpił nieoczekiwany wzrost produktywności dzięki rewolucji przemysłowej, a od lat 60. XX w. także rolnej. Dziś stoimy na progu kolejnej rewolucji, związanej z rozwojem sztucznej inteligencji. Gospodarka będzie wydajniejsza przy mniejszym zapotrzebowaniu na pracowników. AI może też wspierać rosnącą liczbę emerytów, co pozwoli ograniczyć wydatki socjalne.

Należy sobie życzyć, żeby mądrość przypadająca na te nienarodzone miliardy nie wyparowała, lecz skumulowała się w narodzonych – aby ludzie przestali konsumować bez opamiętania i niszczyć Ziemię, nie licząc się z kolejnymi pokoleniami. ●

Robert Stefanicki

Słynny pisarz chce wywołać dyskusję– kto może być ofiarą, kto może być oskarżonym i czy w swoich osądach w debacie publicznej nie posuwamy się za daleko

Lnowu hit i znowu ogólnofrancuska (albo wręcz ogólnofrankofońska) dyskusja: właśnie ukazała się nowa książka Michela Houellebecqa. „Quelques mois dans ma vie. Octobre 2022 – Mars 2023” – „Kilka miesięcy mojego życia. Październik 2022 – marzec 2023” – wydawnictwo Flammarion opublikowało z zaskoczenia. Najbardziej znany współcześnie francuski pisarz na 103 stronach napisał... w zasadzie nie wiadomo co. List otwarty? Esej? Kolejną prowokację? Nie jest to powieść, reportaż ani dziennik, raczej luźne refleksje na dwa tematy. Za to grube, w przeciwieństwie do książki: islamofobia oraz porno.

Pisarz przyzwyczaił nas do dekadencckiego wizerunku, którego nieodzownymi elementami stały się: alkohol, papierosy, kontrowersje, ironia, poczucie humoru, intelektualizm, czytanie, depresyjność i ogromny dystans do siebie samego. Przez lata wykreował swoje alter ego – męskiego bohatera, którego zauważyli czytelnicy na całym świecie.

Ten sukces tłumaczyć można wyrazistością i błyskotliwym, niepoprawnym humorem, którego niewiele jest współcześnie w literaturze pięknej. Postaci u Francuza przypominają sylwetki neurotyków Woody'ego Allena – przeskalowane, przerysowane, postawione w tragicznych i komicznych sytuacjach bez wyjścia – tylko brutalniej, surowiej, bardziej gorzko zarysowane. Na tym polega fenomen prozy Houellebecqa, że kontynuuje tradycję socjologicznej obserwacji Balzaca, nawiązuje do francuskiego kanonu, a jednocześnie potrafi wywołać salwy śmiechu. Bez wątpienia tchnął w tradycję życie, uczynił ją mniej poważną, ale przy tym nie mniej ważną.

Agathe Novak-Lechevalier, literaturoznawczyni i badaczka twórczości Houellebecqa, zauważyła, że pisarz wprowadził do wielkiej literatury wiele tematów, wątków i postaci dotąd w niej nieobecnych lub nieistotnych – całą pozbawioną doniosłości, niezauważalną codzienność, ludzkie niedoskonałości, małości i brzydotę, popkulturę i problemy naszych czasów. Można go lubić lub nie, ponieważ (delikatnie mówiąc) budzi skrajne emocje, ale należy podkreślić, że jest wyjątkowo utalentowany i wszystkie artystyczne aktywności prowadzi na wysokim poziomie.

A przy okazji jest prawdziwym człowiekiem renesansu – prócz powieści wydał też biografię i wiersze, organizował wystawy swoich zdjęć, zajmuje go muzyka, filozofia, literatura, polityka. Sprawdził się nawet

WOODY ALLEN ZNÓW SPOTYKA BALZACA

**Houellebecq bierze odwet na współczesnym świecie
w imieniu białych, dojrzałych mężczyzn**

Kinga Strzelecka-Pilch

w roli aktora – krytyka zauważyła jego talent komediowy i naturalność przed kamerą, gdy zagrał siebie samego w „Porwaniu Michela Houellebecqa” z 2014 roku oraz „Talasoterapii” z 2019 roku (gdzie partnerował mu Gérard Depardieu, podobnie jak pisarz obciążony na własne życzenie i z premedytacją – choć z mniejszą klasą i wagą, bo mowa o cieniu #MeToo, uskarżaniu się na podatki i pochwałach putinowskiej Rosji – wieloma problemami wizerunkowymi).

„Porwanie” z cechami komedii i dokumentu zarazem opierało się na rzeczywistej historii zniknięcia pisarza w 2011 roku podczas trasy promocyjnej powieści

„Mapa i terytorium”. W „Talasoterapii” natomiast Houellebecq próbuje odpocząć w spa, jego fizyczna niedoskonałość jest wyszydzona, kamera pokazuje nagie ciało, szczupłe nogi, rzędzące włosy, starzejącą się skórę. Krioterapia, bicz wodne, masaże i maseczki wyzwalają jego agresję. Wściekle smutny i zabawny film nie tylko obnaża kuriozalność idei zachodniego, snobistycznego odpoczynku, relaksu i dbania o siebie, ale także pokazuje emocje, które budzi Houellebecq we francuskim społeczeństwie. Jedną ze scen to konfrontacja Depardieu i Houellebecqa z klientem spa, który oświadcza z poważną miną: „Przynosisie wstyd Francji”.

Ale choć prowokacja i wykorzystywanie ciała w celach artystyczno-promocyjnych to dla pisarza chleb powszedni, tym razem chyba się poślizgnął. Houellebecq, wychodząc poza literaturę, prowadzi z czytelnikami rodzaj gry, w której zawsze jako czytelnicy przegrywamy. Czy to możliwe, że teraz przegrywa z nami po raz pierwszy?

Trudno uwierzyć, że ten 67-letni wyjadacz i mistrz autopromocji jest tak naiwny, że nikt (łącznie z nim samym) nie odrzucił mu publikacji tych tłumaczeń. Główne hipotezy są dwie: Houellebecq w końcu się załamał, pogubił i nie wie, co robić – albo to kolejna prowokacja.

„Kilka miesięcy mojego życia” zaczyna się powrotem do oskarżeń pisarza o islamofobię i do wywiadu, którego pod koniec zeszłego roku udzielił filozofowi Michelowi Onfrayowi dla prawicowego magazynu „Front Populaire”. Mówił w nim, że Francuzi tak naprawdę nie oczekują od muzułmanów asymilacji, tylko zaprzestania kradzieży i napaści, a najlepiej byłoby, gdyby z Francji wyjechali. W styczniu Związek Mezzetów Francuskich oskarżył pisarza o „prowokowanie do dyskryminacji, nienawiści i przemocy”.

Teraz Houellebecq przytacza poprawną według niego wersję własnych słów oraz przeprosza, tłumacząc, że w żadnym wypadku nie chciał generalizować, a jego wypowiedź była niefortunna „Szczepnie żałuję i przeproszam wszystkich muzułmanów, których ten tekst mógł obrazić – to znaczy, obawiam się, wszystkich. Miałem na myśli coś zupełnie przeciwnego. Bez wahania wyrzekam się zatem tego idiotycznego tekstu”.

O wiele więcej miejsca – te proporcje też dają do myślenia – poświęca sprawie filmu pornograficznego, o którym było głośno w lutym, kiedy opublikowano zwiastun z Houellebeckiem w roli głównej. Pisarz – z aprobatą żony – przyjeżdża do Amsterdamu, by przed kamerą kochać się



FOT. BORIS ROESSLER/AP



z młodą kobietą. Sceny w zwiastunie, nakręcone w hotelowym pokoju, wydają się profesjonalne technicznie, jest kilka kadrów, nie ma mowy o amatorstwie czy spontaniczności – Francuz, bez koszuli, leży w białej pościeli, dotyka pleców dziewczyny w kwiecistej sukience, całuje ją czule i delikatnie w usta. Na tym zwiastun się kończy, nie wygląda wulgarnie, przypomina zapowiedź zwykłego fabularnego filmu. Premierę zapowiedziano na marzec w jednej z płatnych platform, ale nadal się nie odbyła – za to gazety opublikowały oświadczenie prawników pisarza, którzy domagali się usunięcia filmu. Od tej pory toczą się procesy między pisarzem a realizatorami, a jeden w Amsterdamie został już przez „aktora” przegrany.

„Kilka miesięcy mojego życia” opowiada w szczegółach, jak doszło do nakręcenia filmu i co stało się potem. Tekst jest napisany w pierwszej osobie z pozycji ofiary. Pisarz wchodzi w nim w rolę wykorzystanej kobiety, której odebrano prawo do własnego ciała i samostanowienia. Porównuje się do ofiary gwałtu: został nagrany mimo woli, nie wiedział, że tego typu filmy wykorzystuje się komercyjnie, chciał się zabawić, a w zasadzie to był nieświadomy, bo pijany. Został oszukany przez aktorki i reżysera. Nie wiedział i nie przypuszczał, jak to się skończy, przecież zgodził się „tylko” na seks z młodymi wielbicielkami własnych książek oraz na filmowanie. W dodatku podpisał umowę, której nie przeczytał. Stało się, teraz próbuje zatrzymać publikację filmu.

Tłumaczenia brzmią niewiarygodnie i tylko podsycają kontrowersje: „Feministki mnie nie lubią. Ja też ich nie lubię. Uważam, że zaszkodziły relacjom między ludźmi i że współczesne feministki są czterdzieści siedem razy gorsze od swoich poprzedniczek. Z uwagi na nasze okropne relacje powinienem zachować ostrożność, i choć już słyszę ich wrzaski, to muszę napisać: pierwszy raz poczułem

coś, co opisują kobiety zgwałcone. Przede wszystkim bolesne uczucie, że moje ciało zostało mi odebrane, że nie mogę na nie patrzeć, że chcę je ukarać. Nie mogłem zmusić się do mycia, ilość spożywanego przeze mnie alkoholu i wypalanego tytoniu znacznie wzrosła, i co dla mnie zupełnie nowe – miałem objawy bulimii – robiłem wszystko, by się zniszczyć”.

Nie ma w tym tekście stylu typowego dla Houellebecqa, nie ma jego polotu, poczucia humoru i dystansu do siebie. Jest żal, rozczarowanie i pretensje.

Poprzednia książka była promowana cicho, tym razem pisarz udziela wywiadów i pojawia się publicznie. Kilka dni temu wystąpił w długim wywiadzie telewizyjnym, w którym padło wiele ciekawych zdań. Houellebecq wyglądał jak zawsze, był spokojny, przytomny, w dobrej – jak na niego – formie. Kontrolował dyskusję, jak zwykle bawił się nią. Tłumaczył, że „Kilka miesięcy...” to nie powieść, tylko autobiograficzny zapis piekła, które przeżywa, po kilku minutach zaczął przywoływać Balzaca, Kafkę, Dostojewskiego i przyznał, że dokonał „literackiej próby opisania współczesnego zła, które nigdy dotąd nie zostało opisane”. Gra między życiem a literaturą nigdy mu się nie znudzi.

Zaznaczył, mimo wcześniejszych oświadczeń, że nie walczy o skasowanie materiału wideo, tylko o prawo do kontrolowania nagrania i obejrzenia go przed pu-

blikacją. Zarzucił twórcom nieprzestrzeganie umowy, która miała gwarantować mu anonimowość. „Moją jedyną winą jest to, że nie przeczytałem umowy”.

Ale mimo że wróciła mu lekkość i swada, nie wycofuje się z pozycji ofiary i ryzykownego porównania: „Rozpoznaję w sobie symptomy opisywane przez kobiety w takich sytuacjach – chęć ukarania swojego ciała, nieuzasadniony wstyd i brak ochoty na seks”. I choć dziennikarz Augustin Trapenard zwraca rozmówcy uwagę, że porównanie jest raczej niewłaściwe, nieuzasadnione, a dla wielu krzywdzące, Houellebecq zostaje przy swoim: „Stałem się paranoikiem, mam poczucie, że wszyscy się ze mnie śmieją, to wszystko przez film pornograficzny umieszczony w internecie bez mojej zgody”.

Wielu krytyków zadaje pytanie, czemu pisarz wydał te publicystyczne tłumaczenia w formie książki, i to w renomowanym wydawnictwie. Elisabeth Philippe w „L’Obs” komentowała: „To niezrozumiałe, że coś takiego ujrzało światło dzienne w formie książki wydanej przez Flammarion”, po czym wyjaśniała: status niekwestionowanej gwiazdy nie pozwala odmówić wydawcy przyjęcia jego rękopisów.

Raphaëlle Leyris w „Le Monde” zauważa, że Houellebecq, będąc krytykiem ruchu #MeToo, korzysta z jego narzędzi, i broni książki, czy raczej jej formy – podkreśla, że za jej literackością przemawia sposób konstruowania głównych postaci: reżyser filmu Stefan Ruitenbeek funkcjonuje w tekście jako Karaluch, a aktorki odpowiednio jako Locha, Żmija i Gęś („Dinde” to dosłownie indyczka, w języku francuskim pejoratywnie „głupia kobieta”, polski odpowiednik to „głupia gęś”). Nawiązanie do bajek La Fontaine’a zauważa „Le Parisien”, a „Le

pardieu” zagrzewa go do walki o swoje prawa i dobre imię.

Wcalej tej prowokacji ważne jest to – kilka tygodni temu, w kwietniu, we Francji ukazała się książka przyjaciela Houellebecqa, Frédéric’a Beigbedera, „Confessions d’un hétérosexuel légèrement dépassé” – „Wyznania podstarzałego heteroseksualnego mężczyzny”, która nie bez powodu zaczyna się od słów „Moi aussi, je suis une victime” („Ja także jestem ofiarą”). Beigbeder to autor wpisujący się obok uznanych Ernaux, Houellebecqa i Emanuela Carrère’a we francuski nurt autofikcji. Jego książka jest rodzajem manifestu przeciwko poprawności politycznej i współczesności.

Manifestu, który wychodzi od aktu wandalizmu: oto dom i samochód pisarza zostały pokryte różową farbą po tym, jak sprzeciwił się ustawie penalizującej klientów prostytutek. „Jeśli uważacie, że literatura powinna być pisana przez świętych i żadna powieść nie może opowiadać o czynach zabronionych, proponuję porozmawiać o tym spokojnie, bez wylewania na mnie pomyj, bez wykolenia mi oka jak Rushdiemu w 2022 roku”. Autor zwierza się, że był świadkiem napadu rabunkowego i strzelaniny w 2018 roku w paryskim hotelu Ritz i (podobnie jak Houellebecq) z problemów zdrowotnych spowodowanych tym stresem: „stałem się paranoikiem”, „Od tego czasu nie mogę zasnąć bez środków nasennych. Mam problemy z czytaniem. Drętwieje mi prawa noga. Schudłem 10 kg”, „wykryto u mnie cukrzycę typu I”.

Po czym rzuca: „Ktoś może mi wskazać sens życia bez czekolady, Kit-Kata i cukierków Mi-Cho-Ko?”. Teza? Wszyscy jesteśmy ofiarami, wszyscy cierpimy, bez względu na wiek, płeć, pochodzenie i przekona-

Pisarz porównuje się do ofiary gwałtu: został nagrany mimo woli, chciał się zabawić, a w zasadzie to był nieświadomy, bo pijany, został oszukany przez aktorki i reżysera

Point” podkreśla, że ta mała książeczka to u Houellebecqa nowa jakość: po raz pierwszy nie ironizuje, nie dystansuje się do siebie samego.

Większość dowodów wskazuje, że to świadomie zorganizowana akcja, kolejna prowokacja Houellebecqa wymierzona we współczesny świat po #MeToo. Pisarz zmienił język na używany do tej pory przez kobiety opisujące przestępstwa seksualne i nadużycia, zaczął udzielać się w mediach, w każdym wywiadzie podkreśla, że jest ofiarą. Ten zabieg może mieć na celu podkreślenie różnic w traktowaniu kobiet i mężczyzn w kryzysowych sytuacjach i wywołanie dyskusji – kto może być ofiarą, kto może być oskarżonym i czy w swoich osądach w debacie publicznej nie posuwamy się za daleko.

Jeśli tak, to mamy rodzaj odwetu białych, dojrzałych mężczyzn na współczesnym świecie, kulturze, feminizmie, a Houellebecq jako król manipulacji, autokreacji, działalności pozaliterackiej przekracza kolejne nieprzekraczalne granice. Za kilka miesięcy wyda zapewne powieść inspirowaną tą prowokacją lub film. Podejrzanie uzasadnione, zważywszy na galopadę innych zaczepnych uwag: w rozmowie dla „Le Figaro” pisarz z lekceważeniem odnosi się do Annie Ernaux, tegorocznej literackiej noblistki i szermierki wyzwolenia kobiet, której książek (podobno) jeszcze nie przeczytał, oraz podkreśla, że De-

nia, a jednak to właśnie podstarzały heteroseksualny mężczyzna stał się wrogiem publicznym numer jeden.

Wszystko wskazuje na to, że we Francji przyszedł czas na intelektualną weryfikację współczesnej poprawności politycznej. A może tylko nowa moda?

Nie jestem ekshibicjonistą”, „nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie publikują swoje zdjęcia z wakacji w mediach społecznościowych” – wyznaje Houellebecq. Równolegle jego żona Lysis prowadzi konto na Instagramie opisane „Czytanie Houellebecqa jest cool”, raz na jakiś czas publikując prywatne zdjęcia ze wspólnych wyjazdów czy wizyt w restauracjach – Michel z kuflem piwa, na kanapie, podczas kolacji czy wykładu. „Moja żona potrafi korzystać z Instagrama, ja co najwyżej umiem pisać” – podsumowuje pisarz.

Tak oto Houellebecq napisał książkę zaangażowaną politycznie i ideologicznie, bez wartości literackiej (ups, brzmi jak zdanie wyciągnięte z prawniczych recenzji powieści „Empuzjon” Olgi Tokarczuk), a my znów o nim mówimy.

We francuskich księgarniach „Kilka miesięcy mojego życia” znaleźć można na półkach działu „Biografie”, a już dwa dni po premierze książka znalazła się na pierwszym miejscu list „Najlepsza sprzedaż”. ●

weekendówka
56



Autorem wielu haseł jest **Krzysztof Romański**

ODPŁYWAMY!

Zaczęło się od tego, że Charles Merivale, student Kolegium św. Jana uniwersytetu w Cambridge, miał kolegę z lat szkolnych Charlesa Wordswortha, który uczęszczał do Kolegium Domu Chrystusa uniwersytetu w Oksfordzie. Tych dwóch dżentelmenów umyśliło sobie, że dobrze byłoby sprawdzić, studenci której uczelni prezentują lepszą tężyznę fizyczną. Doświadczenie na tym polu już mieli – Wordsworth w 1827 roku zaaranżował pierwszy mecz krykieta między sławnymi uczelniami, który zakończył się sprawiedliwym remisem. Dwa lata później rozegrano kolejny pojedynek krykieistów, w którym lepszy okazał się Oksford.

Ale że nie samym krykietem student żyje, to zaledwie pięć dni później, 10 czerwca 1829 roku, osady wioślarskie Cambridge i Oksfordu – oczywiście te najbardziej prestiżowe, ósemki ze sternikiem – zmierzyły się po raz pierwszy w sławnych regatach, które z czasem zaczęto nazywać The Boat Race.

Rywalizacja uniwersyteckich załóg była ponoć wspólnym pomysłem Merivale’a i Wordswortha, na który obaj wpadli podczas wakacji. Jego rezultatem było potem oficjalne wyzwanie rzucone Oksfordowi przez Cambridge, w którym stało, że „Uniwersytet Cambridge niniejszym wyzywa Uniwersytet Oksfordu na wioślarski pojedynek ósemek, w Londynie bądź jego okolicach, po świętach wielkanocnych”.

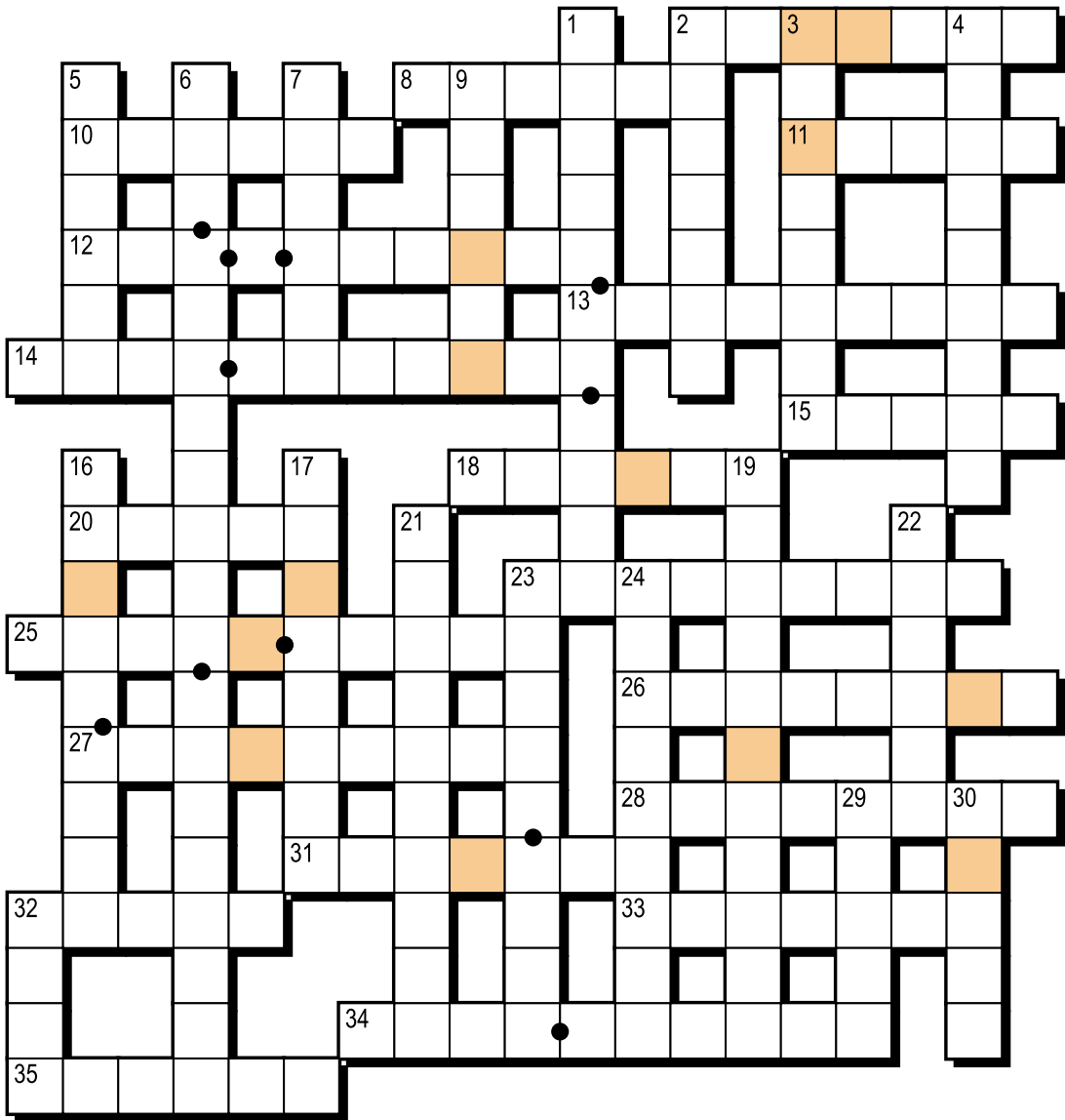
Pierwsze zawody odbyły się w Henley-on-Thames, rzecz jasna na Tamizie, na dystansie 2,25 mili (ok. 3,6 km), a dość łatwo zwyciężył w nich Oksford. Od tego czasu wyścigi odbywają się regularnie, w miarę możliwości – bo podczas obu wojen światowych się nie ścigało, zaś w 2020 roku regaty odwołano z powodu pandemii COVID-19.

W dotychczasowych starciach 86 razy triumfowało Cambridge, zaś 81 razy Oxford, raz wyścig był nierozstrzygnięty, a impreza urosła do rangi wielkiego sportowego widowiska, transmitowanego na cały świat przez czołowe stacje telewizyjne. W składach osad było kilku medalistów olimpijskich w wioślarstwie, a także brytyjski dokumentalista i fotograf Antony Armstrong-Jones czy aktor Hugh Laurie, znany m.in. z roli dr. House’a.

My dziś na wyścig Oksford – Cambridge nie zapraszamy – już od dawna rozgrywa się go w ostatnią sobotę marca bądź pierwszy piątek kwietnia, 26 marca 2023 triumfowało Cambridge – za to zapraszamy do żeglarsko-wioślarsko-morskiej „Weekendówki”. A do pomocy przy układaniu haseł zaprośiliśmy Krzysztofa Romańskiego, dziennikarza trójmiejskiego oddziału „Gazety Wyborczej”, nie łada znawcę i pasjonata wszelkiej tematyki związanej z żeglarstwem i pływaniem generalnie.

Milego pływania! ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 55 z 3.06:

Poziomo:

- 1) listwa 5) Włosz-czowska 7) pomoc 8) żel 9) pasy 13) pojazd 14) memoriał 15) znak 16) łuk 17) Tour de France 18) hala 20) ucieczka 21) Spruch 23) skateparki 25) czasówka 26) widełki 28) pedały 30) strata 31) Italia 32) Lance 33) Alpy 34) ranking 35) blokada
Pionowo: 2) idol 3) wicelider 4) Szwajcaria 5) współpraca 6) siodełka 7) peleton 10) sprinterka 11) kraksa 12) Rodriguez 13) przerzutki 18) Henryk Łasak 19) linie 21) Stanisław 22) Hiszpania 23) składaki 24) premia 26) wyścig 27) grupa 29) Majka.

HASŁO:
LIDER TEAMU

STATKI

Hasła Krzysztofa Romańskiego oznaczono inicjałami (K.R.). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) dowódca konwoju (K.R.)
8) „Pan i ...: Na krańcu świata”, film o losach załogi fregaty „Surprise”
10) ... na horyzoncie! (okrzyk z bocianiego gniazda)
11) ster trzy ... w prawo!
12) film Romana Polańskiego,

którego akcja toczy się na jachcie
13) miejsce ostatniej bitwy admirała Nelsona
14) zespół kojarzony z utworem 6 pionowo
15) ... Stryeńska, polska malarka, jej dzieła zdobiły wnętrza polskich transatlantyków, „Piłsudski” i „Batory”
18) przedłużenie kolumny masztu, do zawieszania rei
20) stary, podniszczony statek albo łódź
23) kojarzy żeglarzy
25) poetycko o sztormie
26) „Dar ...”, trzymasz-towiec, następca „Daru Pomorza” (wpisujemy w mianownik)

27) ... na rei. Jedna z najsurowszych kar na dawnych żaglowcach (K.R.)
28) napędza kanadyjkę, galerę
31) Tadeusz, bosman z książek o przygodach Tomka Wilmowskiego
32) na dawnych statkach służył jako łódko (K.R.)
33) „dopalacz” Popeye’a – marynarza z kreskówek
34) z niejednego pokładu chleb jadł...
35) element takielunku; liny
Pionowo:
1) szanta Jerzego Porębskiego
2) pierwszy po Bogu (KR)

3) można nim być albo w niego zagrać (K.R.)
4) statku – od nadbrzeża lub partnerki w tańcu (K.R.)
5) morska pieśń pracy (K.R.)
6) piosenka Maryli Rodowicz („Pozdrowione bądźcie morza, oceany i lądy...”)
7) ptak z otwartych przestrzeni wybrzeży morskich
9) pirogi, szalupy lub kozackie czajki
16) w morzach, oceanach
17) kolor kojarzący się z piratem, którego zagrał Burt Lancaster

19) przyrząd wyznaczający kurs statku na podstawie wizualnego namiaru na dane ciało niebieskie
21) Krzysztof, pierwszy Polak, który dwukrotnie opłynął samotnie kulę ziemską
22) potocznie: mały stateczek, krucha tódeczka
23) angielski żeglarz, odkrywca Australii
24) miejsce, w którym statki są „przywiązane” do nabrzeża
29) sznurki
30) żarłacz ludojad
32) położenie płynącego statku żaglowego w stosunku do wiatru

Leszek Rydz

Byle do

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play